

RUDYARD KIPLING

8295

DRUGA
KSIĘGA DŻUNGLI

POZNAŃ
WYDAWNICTWO POLSKIE

< R. WEGNER >

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
JÓZEFA BIRKENMAJERA



W 829

OKŁADKĘ RYSOWAŁ E. CZERPER

*

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

*

DRUKARNIA P. MITRĘGI, CIESZYŃ

*

PRINTED IN POLAND



KIP.
DRU.

359

Państwowe
Gimnazjum i Liceum Pedagogiczne
w Siedlcach

SKĄD SIĘ WZIAŁ STRACH

Kaluże wyschły — stan wody spadł —
więc żyjem z sobą zapanbrat!
Z pyłem na sierści i z ogniem w paszczy
tłoczym się wśród nadbrzeżnych haszczy.
Wśród lęku, spieki, ani nam w głowach
choćby przelotna myśl o łowach!
Sarniąt nie płoszy buremi kudły
wilk — jako one trwożny, wychudły;
łania też śmiało spogląda nań,
choć on jej ojcu przegryzł krtań!...
Kaluże wyschły — stan wody spadł —
bawmyż się z sobą zapanbrat!
O łowach nawet marzyć nie śmiejemy,
zanim deszcz splucze wszelkie rozejmy!

Prawo Dżungli — które jest chyba najstarszem prawem w świecie — uwzględnia i przewiduje niemal wszystkie przypadki, jakie się zdarzyć mogą Plemionom Leśnym, a czas i praktyka uczyniły zeń wprost wzór doskonałości, prawdziwe zwierciadło ustawodawstwa. Kto czytał poprzednie opowieści o Mowglim, ten wie, że chłopak spędził znaczną część życia w wilczej gromadzie seonejskiej, pobierając od brunatnego niedźwiedzia Baloo naukę prawa. Otóż ilekroć Mowgli niecierpliwił się i nudził słuchaniem ciągłych nakazów,

Baloo wyjaśniał mu, że Prawo jest podobne do olbrzymiego pnącza, gdyż okręca się każdemu dokoła grzbietu i nikt nie potrafi zeń się wywikłać.

— Gdy pożyjesz tak długo, jak ja, Mały Braciszku, przekonasz się ku wielkiej swej zgryzocie, że cała puszcza podlega jednemu prawu. Nie wiem, jak ci się wówczas spodoba ten widok.

Tak mawiał Baloo — ale te słowa wchodziły jednym uchem, a wychodziły drugim, boć młokos, którego całą troską jest myśl o jedzeniu i spaniu, nie zwykł przejmować się niczem, chyba że mu już bieda całkiem otwarciem zajrzy w oczy. Nadszedł jednakże wkońcu taki rok, kiedy sprawdzili się co do joty przepowiednie starego Baloo — i oto Mowgli obaczył, iż cała dżungla we wszystkim, co czyni, trzyma się jednego prawa.

Zaczęło się od tego, że zimowe deszcze zawiodły niemal zupełnie, a jeżozwierz Ikki, spotkawszy się z Mowglim w bambusowych zaroślach, zwierzył się mu, iż dzikie yamsy*) schną już docna. Wiadomo powszechnie, że Ikki jest do śmieszności wybredny w jedzeniu i że bierze do pyska tylko rzeczy co najlepsze i najdojrzsze. Roześmiał się więc Mowgli, słysząc jego zrzęczenie, i odburknął:

— A cóż mnie to może obchodzić?

— Narazie wolno ci drwić sobie z tego — odpowiedział Ikki, szeleszcząc kolcami oschle

*) Yams (czyt. jemz) — jadalne narośle pewnych roślin tropikalnych.

i nieprzyjemnie, — ale zobaczymy, jaką minę będziesz miał niezadługo. A zresztą, gdy chodzi i o chwilę obecną . . . czy potrafiłbyś, Maly Bracie, dać nura w głęboką roztokę koło siedliska pszczoł skalnych?

— Skądże znowu? Głupia woda kędyś sobie wyciekła, a ja nie pragnę rozbijać sobie głowy o kamienie na dnie! — odhuknął Mowgli, przekonany, że ma w tej głowie więcej oleju, niż pięciu razem wziętych mieszkańców puszczy.

— Szkoda! Przydałby ci się w lepecie mały otwór, by przezeń naciekła choć odrobina mądrości! — dociął mu Ikki i czem prędzej zaszył się w gęstwinię, nie chcąc, by go chłopak wytar mosił za szczeciaste wąsy.

Mowgli natychmiast powtórzył swemu nauczycielowi wszystko, co był opowiadał jeżozwierz. Bałoo sposepniał i mruknął jakby sam do siebie:

— Gdyby tu szło tylko o mnie, jużbym teraz zmienił łowisko, zanim inni o tem samym pomyślą. Atoli łowy wśród obcych zawsze kończą się zwa-
dą . . . a moje człowieczątko mogłoby przytem oberwać jakiego guza. Zaczekajmy jeszcze trochę i zobaczymy, jakim kwiatem zakwitnie *mohwa*.

Wkrótce nastala wiosna — atoli drzewo *mohwy*, które Bałoo tak ukochał, nie zakwitło wcale. Zielonawe, żółto nakrapiane woszczyste pąki powiędy od gorąca, a gdy Bałoo, stanawszy na dwóch łapach, potrząsnął drzewem, na ziemię spadło zaledwie parę płatków o niemilej woni.

Ale to był dopiero początek. Później było znacz-

nie gorzej. Skwar niepohamowany jał wdzierać się piędz za piędzia w sam matecznik dżungli, zmieniając jej zieleń w barwę żółtą, następnie brunatną, wreszcie czarną. Ziola i krzewy, rosnące na zboczach parowów, wypalily się doszczętnie, przeobraziwszy się w kłębowisko połamanych badyli i obwisającego martwo prętowia. Jeziorka, ukryte w leśnej gąszczy, skurczyły się i zgęstniały, a najlżejszy ślad stopy na ich brzegu utrwał się tak wyraziście, jak gdyby był odlany w żelazie. Dzikie pnącze, zazwyczaj jędrne i soczyste, teraz traciły swą giętkość i prężność, sztywniały i odrywały się od pni drzewnych, zamierając na ścielisku leśnego podszycia; bambusy poschnięte sterczały beznadziejnie, chrzęszcząc za każdym podmuchem gorącego wiatru, a mech odpadał ze skał, utajonych w głębi puszczy, tak iż stały огоlocone i rozpalone, jak migotliwe sinawe glazy w łożysku rzeki.

Ptactwo oraz małpie plemię, widząc na co się zanoszą, z początkiem roku powędrowało na północ; zaś jelenie i dziki zapędzały się daleko na zniszczone posuchą niwy wiejskie, ginąc częstokroć przed oczyma ludzi, którzy byli tak wycieńczeni, iż nie myśleli wcale o urządzaniu polowań. Ścierwik Chil trzymał się tego, a nawet utył, bo miał podostatkiem padliny; co wieczór znosił zwierzętom, zbyt osłabionym, by mogły wyprawić się na nowe łowiska, wieści o tem, że słońce szerzy rzeź w całej puszczy, na obszarze, jaki zasięgnąć można przez trzy dni lotu.

Mowgli, który dotąd nie zaznał prawdziwego głodu, musiał teraz poprzestać na starym trzy-letnim miodzie, wyskrobanym z opuszczonych ulów skalnych — czarnym jak owoce tarniny i okrytym warstwą skruszałej patoki. Łowił też czerwie owadów, ryjących korę drzewną i zabierał osom ich gąsieniczki. Na zwierzynie w kniei pozostała jedynie skóra i kości, tak iż pantera Bagheera nigdy nie była syta, choćby jej się udało trzy razy w ciągu nocy upolować zdobycz. Najwięcej jednak dawał się we znaki brak wody, bo plemiona puszczy piją wprawdzie rzadko, ale gdy piją — muszą się ożłopać obficie.

A posucha posuwała się dalej wciąż i dalej, spijając wszelką wilgoć, aż wkońcu macierzysty nurt Waingungi zamienił się w strumień, przeciekający nikłym pasemkiem wody przez zamarle wydmy piaszczyste. Gdy dziki słoń Hathi, który żyje sto lat z przysypką, ujrzał długi, wąski pas sinej opoki, wyłaniający się na samym środku rzecznego koryta, pojął odrazu, że spogląda na Skalę Pokoju. Wówczas zadarł do góry trąbę i ogłosił hasło Wodnego Rozejmu, podobnie jak to przed półwiekiem uczynił jego ojciec. Hasło to niezwłocznie podjęły jelenie, dziki i bawoły, grzmiąc chrapliwymi głosy, a ścierwik Chil jął zataczać w powietrzu olbrzymie kręgi, pogwizdując i rzucając ostrzegawcze krzyki.

Prawo Dżungli karze śmiercią każdego, kto by ośmielił się polować koło wodopojów z chwilą ogłoszenia Wodnego Rozejmu. Powód leży w tem,

że picie jest ważniejszą rzeczą, niż jedło. Gdy zabraknie zwierzyny, każdy z mieszkańców dżungli potrafi jeszcze jakoś przetrzymać biedę; ale co woda, to woda, obejść się bez niej niepodobna! Więc gdy pozostanie jedno tylko jej źródło, ustają wszelkie lowy — i wszystko, co żyje w dżungli, śpieszy tam, by ugasić pragnienie. Za lat szczęśliwych, gdy wody było pod dostatkiem, zwierzęta nieraz na szwank wystawiały swe życie, śpiesząc po ten napój ku brzegom Waingungi lub ku innym strumieniom; jednakże to niebezpieczeństwo jeno dodawało uroku nocnym przedsięwzięciom. Rozkosz to była prawdziwa skradać się tak zręcznie, by nie potrącić nawet najdrobniejszego listka — brnąć po kolana w huczących wodnych odmiałach, przygluszających wszelkie szmery na tyłach, — pić, oglądając się poza siebie i trzymając każdy mięsień w gotowości rozpaczliwej do skoku za pierwszym odruchem trwogi, — tarzać się po piaskowych usypiskach i powracać z mokrym pyskiem i napęczniałym od wody bandziochem do stada, stojącego opodal w niemym podziwieniu. Szczególne upodobanie w tem znajdowały młode kozły o rogach błyszczących — i to właśnie dlatego, że wiedziały, iż lada chwila może im skoczyć na kark Shere Khan lub Bagheera i rozszarpać je w kawałki. Teraz jednak skończyła się ta gra na śmierć i życie, a wygłodniałe i trudem zmęczone Leśne Plemiona — tygrysy, niedźwiedzie, jelenie, dziki i bawoły — wlokły się pospólnie ku zmalełej rzece, piły stęchlą wodę

i sterczały ponad nią, zbyt osłabione, by odejść w inne miejsce.

Jelenie i dziki dreptały bezradnie przez dzień cały, szukając pożywienia, któreby było strawniejsze, niż zeschnięta kora i zeschnięte liście. Bawołom zbrakło bajor, w których dawniej się chłodziły, nie miały też gdzie spasać zielonych zasiewów. Wężę wypelzły z gąszczy leśnej i wlekły się ku rzece, ludząc się nadzieją, że uda się im pochwycić choćby zblakana żabę; okręcały się dokoła wilgotnych kamieni i leżały w bezruchu, nie gotując się do ciosu nawet wtedy, gdy poszukujący korzonków odyniec wyforował je bezceremonjalnie z miejsca swym ryjem. Żółwie rzeczne dawno już wymordowała mistrzyni łowów, pantera Bagheera, a ryby pochowały się głęboko w splekanym mule. Wśród płytkich odmiałów widniała jedynie Skala Pokoju, podobna do długiego węża, a drobne, ociążałe wodne rozbryzgi syczały za każdym muśnięciem jej rozpalonych boków.

Tam to przybywał nocą Mowgli, szukając towarzysza i ochłody. Nawet najbardziej wygłodniałi jego nieprzyjaciele nie zwróciliby nań w taką chwilę najmniejszej uwagi; nieowłosiona skóra sprawiała, że wyglądał nędzniej i mizerniej od wszystkich towarzyszy niedoli. Włos mu wyblakł od słońca, jak lniane paczesie, zebra uwydatniały się silnie, jak pręty koszyka, a zgrubienia na kolanach i łokciach, powstałe wskutek czolganiania na czworakach, nadawały jego kończynom wygląd kłaczastych badyli; — jedynie oczy z pod zwich-

rzonej czupryny spoglądały chłodno i spokojnie, gdyż pantera Bagheera, jego przyboczny doradca w onych ciężkich chwilach, zaleciła mu, by poruszał się spokojnie, polował bez pośpiechu, przede wszystkim zaś nie unosił się gniewem, choćby niewiedzieć z jak słusznego powodu.

— Złe nastaly czasy — odezwała się Czarna Pantera w pewien wieczór, gdy na całym świecie było gorąco, jak w piecu piekarskim. — Ale kiedyś to przeminie . . . bylebyśmy tylko dotrwali do końca. Czy aby masz pełny żołądek, moje Człeczątko?

— Mam-ci coś niecoś w żołądku, ale niewielki mi z tego pożytek. Jak myślisz, Bagheero, czy deszcze zapomniały o nas i nigdy już do nas nie przyjdą?

— Nie mam tak czarnych myśli. Zobaczymy jeszcze *mohwę* obsypaną kwieciami, oraz młode sarniuki, wypasione świeżą trawą. Zejdźmy ku Skale Pokoju i posłuchajmy nowin. Hops na mój grzbiet, Mały Bracie!

— E, teraz nie czas na noszenie ciężarów. Potrafię jeszcze stać o własnej sile, ale . . . dalibóg, że oboje niebardzo jesteśmy podobni do tuczonych bawołów.

Bagheera obejrzała swe wyszargane, kurzem pokryte boki i szepnęła:

— Zeszłej nocy ubiłam wołu w jarzmie. Tak już nisko upadłam, że nie odważyłabym się skoczyć na niego, gdyby był wolny. Wou!

Mowgli roześmiał się.

-- Niema co mówić, tędzy z nas teraz myśliwi!
Ja zdobywam się na tę odwagę . . . iż zjadam gąsienice!

Przedzierając się przez trzeszczące, suche krzaki, dowlekli się we dwójkę do brzegu rzeki, od którego, naksztalt koronkowej robótki, snuły się na wszystkie strony pasmami lachy wodne i wstążki nędznych poników.

— Nienadługo starczy tej wody! — odezwał się Baloo, który spotkał ich w drodze. — Patrzcie-no tylko! Ot tam widać całe szlaki, podobne do ludzkich gościńców!

Na płaskim brzegu przeciwległym twarda trawa leśna już dawno wyschła i stężała w martwym bezruchu. Tę bezbarwną równię przerzynały w pewnych odstępach szerokie szlaki, wydeptane i ubite racicami dzików i jeleni, a zmierzające zawsze w stronę rzeki; wśród wysokiego na dzie sięć stóp lanu oczeretów wydawały się jakby przekopami, sączącemi nie wodę, lecz kurzawę. Godzina była wczesna — mimo to każdy z tych gościńców roił się od rychłych przechodniów, spieszących ku rzece. Już zdawało się slychać było pokaszliwanie lań i jelonków, krztuszających się kłębami lotnego pyłu.

W górze rzeki, gdzie gnuśna lacha skrzętem swym opłukiwała strażniczkę zgody — Skalę Wodnego Rozejmu — stał ze swymi trzema synami dziki słoń Hathi: wychudły, osędziały w księżycowej poświeli, — i kołysał się wciąż to w jedną, to w drugą stronę. Nieco poniżej stała przednia

straż jeleni; jeszcze poniżej biwakowały dzikie świnie i bawoły; na przeciwnym zaś brzegu, gdzie gonne śniaty drzew podchodziły niemal do samego skraju wody, było ustronie, przeznaczone dla tygrysów, wilków, lampartów, niedźwiedzi i innych mięsożerców.

— Tak jest! Teraz wszyscy podlegamy jednemu prawu! — mówiła pantera Bagheera, brodząc po wodzie i spoglądając ku szeregom dzików i jeleni, popychających się wzajem, zderzających się rogami i wybaluszających przerażone ślepia. — Szczęśliwych łowów, krewniacy! — dodała, wyciągając się całą długością ciała, przyczem jednak jeden bok wynurzał się z płytkiej wody. — Gdyby nie przepisy Prawa, możnaby tu mieć doprawdy łowy bardzo szczęśliwe!

Słowa te wypowiedziała przez zaciśnięte zęby, jednakże strzygące uchem jelenie podchwyciły końcowe zdanie — i przez ich zastępy przeleciał szmer trwogi.

— Rozejm! Rozejm! Pamiętaj o rozejmie!

— Spokój tam, spokój! — wybelkotał dziki słoń Hathi. — Dziś mamy rozejm, Bagheero; nie pora gawędzić o łowach!

— Któż o tem wie lepiej ode mnie? — odpowiedziała Bagheera, typiąc żółtawemi ślepiami w stronę, gdzie stał Hathi. — Przecież żywię się żółtawiami... i poławiam żaby. *Ngaayah!* O, gdybym jeszcze mogła głód zaspokoić przeżuwaniami gałązek!



— O, mybyśmy sobie tego bardzo życzyły! — zabeczał młody jelonek, który właśnie na wiosnę przyszedł na świat i był mocno z tego niezadowolony.

Pomimo całej biedy, jaka nawiedziła dżunglę, zwierzęta — nie wyłączając Hathięgo — nie mogły powstrzymać się od rześistego śmiechu, posłyszawszy te słowa. Mowgli, leżąc na brzuchu w ciepłej wodzie, śmiał się najgłośniej i bił stopami wodę, rozbryzgując kłęb piany.

— Dowcipny jesteś, roczniaku! — mruknęła Bagheera. — Mieć będę w pamięci twe słowa, gdy skończy się okres rozejmu.

I rzuciła bystre spojrzenie w pomrocz przedświtową, by w razie potrzeby móc kiedyś rozpoznać owego jelonka.

Od słowa do słowa — i po całej rzece, tak w górnym, jak w dolnym biegu, rozgwarzono się w najlepsze. Słychać było, jak szamotał się i pochrząkiwał odyniec, rozpychając się, by zdobyć sobie więcej miejsca, — jak postękiwały bawoły, brnąc z trudem przez lawice piaskowe, — jak jelenie skarżyły się, iż okrwawily sobie nogi w bezskutecznych poszukiwaniach paszy. Od czasu do czasu rzucano jakieś pytanie mięsożercom, obozującym za rzeką, — atoli wszystkie wieści brzmiały smętnie. Od strony dżungli, wśród skał i chrzęszczących gałęzi, z hukiem przeciągał gorący dech wiatru. sypiąc na wodę kurz i ułamki badyli.

— Ludzie też giną! — ogłaszał młody *sambhur*.
— Padają przy orce. Wczoraj po zachodzie słońca

natknąłem się na trzy ludzkie trupy. Leżały bez ruchu, a przy nich nieżywe woły. Maluczko, maluczko, a i nas czeka los podobny.

— Rzeka bardzo opadła od nocy ubiegłej! — stwierdził Baloo. — Hathi, czy widziałeś kiedy taką suszę?

— E, to przejdzie, to przejdzie! — odparł Hathi, spryskując sobie wodą grzbiet i boki.

— W naszym gronie jest stworzenie, które nie potrafi długo znieść tej spiekoty — rzekł Baloo, spoglądając na ukochanego chłopaka.

— Może ja? — obruszył się Mowgli, siadając w wodzie. — Prawda, że nie mam futra, by okryć gnaty, ale... gdyby z ciebie, Baloo, ściągnąć skórę...

Hathi drgnął na samą myśl o czemś podobnym, a Baloo odezwał się tonem surowym:

— Szczeniaku ludzki! Nie godzi ci się mówić w ten sposób o swym nauczycielu prawa. Odkąd żyję na tym świecie, jeszcze mnie nie widziano bez sierści.

— Dalibóg, nie chciałem cię urazić, mój Baloo. Przyszło mi tylko na myśl, że ty jesteś podobny do orzecha kokosowego w lupinie, ja zaś do takiego orzecha już wyluskanego. Otóż ta twoja brunatna lupina...

Mówiąc to Mowgli siedział w kukci i według swego obyczaju podkreślał gestami palca wskazującego rzecz każdą. Naraz w powietrzu śmignęła puszysta łapa Bagheery i przewróciła go nawznak w wodę.

— Coraz to gorzej! — odezwała się Czarna Pantera, gdy chłopak wstał, mamrocąc coś pod nosem. — Najpierw chciałeś swojego mistrza obłupić ze skóry, a teraz wymyślasz mu od kokosów! Uważaj, bo on może z tobą postąpić tak, jak kokos, gdy dojrzeje!

— Cóż on może mi zrobić? — zapytał Mowgli, zapominając na chwilę o wszelkich środkach ostrożności, mimo, że miał do czynienia z jednym z najbardziej oklepanych żartów, spotykanych w dżungli.

— Nabije ci guza! — odpowiedziała spokojnie Bagheera, strącając go powtórnie w wodę.

— Nie powinienesz stroić żartów ze swego nauczyciela! — odezwał się niedźwiedź, gdy Mowgli dał nurka po raz trzeci.

— Nie powinien! — ozwał się naraz głos jakiś groźny. — I cóż!? Ten nagus hasa sobie, gdzie mu się podoba, płata małpie psoty tym, którzy niegdyś byli tęgimi myśliwcami, i pozwala sobie dla płochej zabawy targać najlepszych z nas za wąsy!

Był to Shere Khan, Tygrys Kuternoga, który właśnie ociężałym krokiem przywłókł się ponad rzekę. Przystanął na chwilę, by napawać się wrażeniem, sprawionem pomiędzy stadem jeleni na przeciwnym brzegu, potem zaś spuścił kańciasty, nastroszony łeb i zaczął żłopać wodę, mrucząc przytem:

— Dżungla zamieniła się w wylęgarnię nieowło-

sionych szczeniąt... Spójrz-no na mnie, Ludzki Szczeniaku!

Mowgli spojrzal — a raczej wytrzeszczył oczy z całą zuchwałością, na jaką stać go było. Po niedługiej chwili Shere Khan odwrócił się z niechęcią.

— Ludzkie Szczenię tu, Ludzkie Szczenię tam! — zrzędził pod nosem, zabierając się znów do picia. — Ani to człowiek, ani szczenię... nie boi się wcale! Jeżeli tak pójdzie dalej, to za parę miesięcy będę musiał prosić tego berbecia, żeby pozwolił mi się napić. *Aurgh!*

— Może dojść i do tego! — potwierdziła Bagheera, patrząc nań uporczywie z pod oka. — Tak, może dojść i do tego!... A fe, Shere Khanie! Jakąż to nową zakalę zawlokłeś w nasze grono?

Z zanurzonej w wodę szczęki Kulasa spływała jakaś czarna maź, snująca się pasmami po powierzchni rzeki.

— To krew człowieka! — odrzekł Shere Khan najspokojniej w świecie. — Zabiłem go przed godziną.

I zaczął znów mruczeć i zrzędzić pod nosem.

Drgnęły i zakolysały się zwierzęce zastępy; przebiegł po nich szept, który spotężniał w ogromne wołanie:

— Krew człowieka! Krew człowieka! Kulasa zabił człowieka!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę, gdzie się znajdował dziki słoń Hathi — ale on stał nieporuszony, jakby nie słyszał. Hathi nigdy niczego nie przedsięwzię, póki nie nadejdzie

odpowiednia pora; jest to jeden z powodów jego długowieczności.

— Jakże można zabijać człowieka w czasach tak strasznych, jak obecne! Czyż nie miałeś innej zwierzyny? — zadrwiła Bagheera, wylaząc ze splugawionej wody i otrzepując, wedle kociego obyczaju, każdą łapę zosobna.

— Polowałem dla przyjemności, nie z głodu! — odburknął Kulas.

Znów się podniósł szept zgrozy, a Hathi tyknął w stronę Shere Khana białkami swych małych, czujnych oczu.

— Dla przyjemności — wycedził Shere Khan. — A teraz przychodzę napić się i umyć. Któż może mi tego zabronić?

Grzbiet Bagheery zaczął giąć się i prężyć, jak trzcina bambusowa na silnym wicherze, w tejże jednak chwili Hathi wznosił trąbę i przemówił spokojnie:

— Polowałeś dla przyjemności?

Gdy Hathi zapytuje, niema co zwlekać z odpowiedzią, to też Shere Khan odezwał się tonem ugrzecznionym:

— Nie inaczej. Moja to była noc i mój przywilej. Wiesz przecie o tem, Hathi.

— Owszem, wiem — odpowiedział Hathi, a po chwili dodał: — Czy napiłeś się dosyta?

— Tak, na dziś mi wystarczy.

— W takim razie oddal się stąd. Rzeka jest na to, by z niej pić, a nie na to, by ją brudzić. Prócz Kulawego Tygrysa nikt nie zdobyłby się

na to, by przechwalać się swem prawem, gdy ludzie narówni z plemionami dżungli cierpią biedę. Ale, czyś czysty, czy nieczysty: wracaj na swe leże, Shere Khanie!

Ostatnie słowa zabrzmiały jak głos srebrnych trąb. Na to hasło trzech synowie Hathiego postąpili pół kroku naprzód — zgoła bez potrzeby zresztą: w tejże chwili bowiem Shere Khan dał drapaka, nie śmiejąc choćby jednym mruknięciem wyrazić swego niezadowolenia. Wiedział dobrze — i nie on tylko jeden — że ostatecznie Hathi jest przecie najwyższym dygnitarzem całej dżungli.

— O jakim to przywileju wspominał Shere Khan? — szepnął Mowgli w ucho Bagheerze. — Wszak Prawo Puszczy głosi, że zabijanie człowieka jest zawsze czynem hańbiącym. A jednak Hathi powiada...

— Spytaj go sam o to, Mały Bracie! Ja nie potrafię ci na to odpowiedzieć. Zresztą cóż mnie obchodzą jego przywileje! Gdyby Hathi nie wdał się w tę sprawę, dałabym-ci ja temu kulawemu rzeźnikowi tęgą nauczkę! Przychodzić do Skąpy Pokoju tuż po zamordowaniu człowieka... i jeszcze przechwalać się tem zabójstwem... to zaiste postępek godny szakala! Nie mówię już o tem, że nam ten lotr zanieczyścił wodę!

Ponieważ nikt jakoś nie zwracał się wprost do Hathiego z owem zapytaniem, przeto Mowgli po chwili namysłu zdobył się wkońcu na odwagę i zawołał:

— Jakimże to przywilejem szczyci się Shere Khan? Powiedz nam, o Hathi!

Oba brzegi odkrzyknęły echem te słowa, boć wszystkie plemiona dżungli są niebywale ciekawe — a oto były świadkami czegoś takiego, czego nikt nie rozumiał... co najwyżej tylko jeden Baloo, który właśnie zamyślił się głęboko.

— Stare to dzieje — odrzekł Hathi — starsze, niżli sama dżungla. Uciszyć mi się tam na brzegach, to wam opowiem!

Dziki i bawoły szturchały się jeszcze i trykały przez dłuższą chwilę, ale już się w tę sprawę wmieszali przodownicy trzód, oznajmiając kolejno:

— Czekamy! Czekamy!

Hathi ruszył naprzód, stanął po kolana w wodzie przed samą Skalą Pokoju. Był chudy, pomarszczony, a kły dawno mu pożółkły — mimo to wyglądał istotnie na Władcę Dżungli, za jakiego go uważano.

— Wiadomo wam, moje dzieci — przemówił — że ze wszystkiego, co żyje na ziemi, największym strachem przejmuje was Człowiek.

Szmer potakiwania był odpowiedzią na jego słowa.

— Ta opowieść ciebie dotyczy, Mały Bracie — rzekła półgębkiem do Mowgliego Bagheera.

— Mnie? — zachnął się Mowgli. — Należę przecie do wilezej drużyny... jestem myśliwcem Wolnego Plemienia! Cóż łączy mnie z ludźmi?

— Ale pewno nie wiecie, co jest przyczyną waszej bojaźni? — ciągnął dalej Hathi. — Oto jaka jest przyczyna. W początkach istnienia dżungli (nikt nie wie, jak dawno to było) plemiona dżungli chodziły pospołu, nie żywiąc obaw wzajemnych. W owych to czasach nie bywało posuchy; na drzewach nigdy nie brakło liści, kwiatów i owoców, a zwierzęta nie żywiły się niczem, jak tylko liśćmi, kwiatami, trawą, korą i owocami.

— Jakże się cieszę, że nie było mnie wówczas na świecie! — zauważyła Bagheera. — Kora, to rzecz dobra jedynie do ostrzenia pazurów!

— Władcą Dżungli był naówczas Tha, proajciec Słoni. On to trąbą swą wydobyl dżunglę z wód głębokich; tam, gdzie klami swemi poczynił brzozy w ziemi, popłynęły rzeki, gdzie zasię stąpił nogą, tworzyły się stawy, pełne wybornej wody, a gdy zaryczał na trąbie — o tak, jak ja w tej chwili — drzewa waliły się pokotem. W ten sposób Tha stworzył dżunglę i w ten sposób opowiedziano mnie tę legendę.

— Nie schudła ona napewno w opowiadaniu — szepnęła Bagheera, a Mowgli począł się śmiać, zakrywszy twarz dłonią.

— W owym to czasie nie było ani zboża, ani melonów, ani pieprzu, ani trzciny cukrowej, nie było też owych małych chatynek, które nam wszystkim tak dobrze są znane. Plemiona dżungli nie wiedziały o istnieniu człowieka i żyły spolem,

tworząc jedną gromadę. Ale w czas jakiś zaczęły klócić się o jadlo, mimo że paszy było wbród dla wszystkich. Ot poprostu rozleniwiły się; każdy chciał mieć żer tuż pod nosem, nie ruszając się z miejsca, jak to czasem i nam się przytrafia, gdy na wiosnę spadną obfite deszcze. Tha, pra-ojciec Sloni, był naówczas zajęty tworzeniem nowych dżungli i wprowadzaniem strumieni w łożyska. Ponieważ nie mógł przebywać wszędzie, przeto mianował Pierwszego Tygrysa wielkorządcą i sędzią dżungli i zalecił, by plemiona dżungli zwracały się do niego ze swemi sprawami spornemi i zażaleniami. W owych błogich czasach pra-ojciec tygrysów żywił się, jak inne stworzenia, trawą i owocami. Był on tego wzrostu, co ja, odznaczał się wielką urodą, a barwa jego sierści przypominała kwiat żółtych powojów. Na całym jego ciele nie było ani jednego pasma ani pręgi. Wszystkie plemiona dżungli stawały przed nim bez trwogi, a jego słowo było prawem dla całej dżungli. Pamiętajcie, że byliśmy wówczas jednym plemieniem. Atoli w jedną noc powstała pomiędzy dwoma kozłami zwada — ot, taki spór o paszę, jaki teraz zwykliście rozstrzygać zapomocą przednich odnoży i rogów, — a gdy się prawowały z sobą wobec tygrysa, wylegującego się na kwiecistej łące, zdarzyło się (jak opowiadają), że jeden z nich trącił go nieostroźnie rogami. Wówczas Pierwszy z Tygrysów, zapomniawszy, że jest namiestnikiem i sędzią dżungli, rzucił się na winowajcę i położył go trupem.

— Do owej nocy nie wiedzieliśmy jeszcze, co to śmierć, przeto Pierwszy z Tygrysów, widząc, co uczynił, i odurzony zapachem krwi, zbiegł na trzęsawiska w kraju północnym, a plemiona dżungli, zdane na własny rozsądek (czy nierozsądek), jęły żreć się i walczyć między sobą. Posłyszał Tha wrzawę tej walki i wrócił co rychlej. Zwierzęta starały się go zagadać, mówiąc o tem i owem, atoli on dostrzegł nieżywego kozła, leżącego w trawie, i nuże pytać o zabójcę. Nikt jednak nie odpowiedział, bo zapach krwi oszołomił i oszalenił wszystkie zwierzęta, jak to się dzieje i dzisiaj w podobnym wypadku; kto żyw, biegł tam i sam, jak w kołowaciźnie, potrząsał lbem, fikał kozły i krzychał przeraźliwie. Tha, nie mogąc doczekać się odpowiedzi, wydał rozkaz obwisłym krzewom i przyziemnym pnączom, by napiętnowały onego kozłobójcę tak, iżby mógł go rozpoznać. I spytał wielki Tha: „Kto będzie teraz władcą plemion dżungli?“ Szara Małpa, żyjąca wśród konarów, skoczyła ku niemu i zawołała: „Ja teraz będę panią dżungli!“ Tha ryknął śmiechem, ale odrzekł: „Niech się stanie zadość twej woli!“ — i odszedł, wielce zagniewany.

— Dzieci, wszak wszyscy znacie Szarą Małpę. W owym czasie była ona taka sama, jak dzisiaj. Zrazu stroiła mądre miny, ale niebawem zaczęła się iskać, hasać po drzewach, skakać to wdół, to do góry — a gdy Tha powrócił, ujrział Szarą Małpę, wiszącą lbem wdół na gałęzi i wykrzywiającą się stojącym w dole swym podwładnym;

ma się rozumieć, że i podwładni nie zostawali jej w tem dłużni, to też w puszczy nie było ladu, ani prawa. Jeden w drugiego plótl gorsze androny; niedorzecznościom i głupocie nie było końca.

— Wówczas Tha zwołał wszystkie stworzenia i rzekł: „Pierwszy z waszych rządców ściągnął na puszcę Śmierć, drugi zaś Sromotę. Czas, byście otrzymali Prawo --- i to takie Prawo, którego nikt z was nie zdoła przełamać. Przeto poznacie Strach, gdy zaś go obaczycie, poznacie, iż on jest waszym panem... Reszta już nie od was zależy.“ Zwierzęta jęły pytać: „Co to jest Strach?“ A Tha odrzekł: „Szukajcie, a znajdziecie“. Poszły więc zwierzęta i jęły przetrząsać całą puszcę, nie mogły jednak znaleźć Strachu. Aż dopiero bawoły...

— My-y! — zaryczał Myso, stadnik bawolów, podnosząc łeb z nad ławicy piaskowej.

— Tak, Myso, bawoły! — potwierdził Hathi; — przybyły z wiadomością, że w jednej jaskini wśród puszczy mieszka Strach... tak, Strach, straszędło nieowłosione, chodzące na dwóch nogach! Plemiona dżungli, poruszone tą wieścią, poszły za stadem bawolem i dotarły do owej jaskini. U wnijscia jaskini stał istotnie Strach... Był nieowłosiony — jak go opisały bawoły — i chodził na dwóch nogach. Gdy ujrział zwierzęta, krzyknął przeraźliwie, a głos jego napęłił nas strachem, który nam pozostał po dziś dzień. Zwierzęta poczęły uciekać, tratując się i rozdzierając wzajemnie w popłochu. W ową noc, jak mi

opowiadano, mieszkańcy Dżungli nie leżeli pospół, jak to było dotąd ich obyczajem, ale każdy szczerp obral sobie oddzielne legowisko: dziki z dzikami, jelenie z jeleniami — rogi przy rogach — racica przy racicy — słowem, swój do swego.

— Tak drżąc i dygocąc ze strachu, zwierzęta przeleżały noc całą. Jedyne praojca Tygrysów nie było pomiędzy nimi: wciąż bowiem ukrywał się wśród trzęsawisk na północy. Gdy dotarła do niego wieść o Istocie, którą zwierzęta widziały w jaskini, powiedział sobie: „Pójdę tam i ukręcę kark tej Istocie“. Biegł więc przez całą noc, póki nie dotarł do jaskini. Atoli znajdujące się po drodze krzewy i pnącze, pomne rozkazu, wydanego przez Tha, zniżyły swe gałęzie i zaczęły piętnować przebiegającego winowajcę, smagając go swemi prątkami po grzbiecie, bokach, czole i szcękach. Gdziekolwiek go dotknęły, tam pozostawał odcisk lub pręga na jego żółtej skórze. *Takie pręgi są po dziś dzień znamieniem jego dzieci.* A gdy podszedł ku jaskini, wówczas bezwłosy Strach wyciągnął rękę i przewal go pręgatym nocnym włóczęgą; zaś Pierwszy z Tygrysów przeraził się bezwłosej istoty i wśród przeraźliwego wycia zbiegł zpowrotem na trzęsawiska.

W tem miejscu Mowgli zachichotał zcicha, pogrążywszy podbródek w wodzie. Tymczasem Hathi mówił dalej:

— A wyl tak głośno i przeraźliwie, iż usłyszał go Tha i zapytał: „Cóż to cię boli?“

— A pierwszy z tygrysów, podnosząc pysk

w stronę świeżo stworzonego nieba, które dziś już tak jest wiekowe, odrzekł: „Przywróć mi moc dawną, o Tha! Stałem się pośmiewiskiem całej dżungli! Uciekłem przed Bezwłosą Istotą, a ona obdarzyła mnie hańbiącym przewiskiem“. „Czemuż to?“ — zapytał Tha. „Dla tego, że jestem umazany błotem trzęsawisk“ — odrzekł Pierwszy z Tygrysów. „Wykąp się więc i wytarzaj się w mokrej trawie, a napewno pozbędziesz się błota“ — poradził mu Tha. Pierwszy z Tygrysów począł pływać po rzece i tarzać się po trawie, aż mu cała puszcza zawirowała przed oczyma, jednakże ani jedna pręga nie znikła z jego sierści. Widząc to, Tha śmiał się serdecznie. Wówczas Pierwszy z Tygrysów zapytał: „Cóżem ja złego uczynił, iż spadło na mnie takie nieszczęście?“ Tha odpowiedział: „Zabiłeś kozła i wprowadziłeś do puszczy śmierć; zaś wraz ze śmiercią wtargnął tu strach, iż plemiona dżungli boją się jedne drugich, podobnie jak ty boisz się Bezwłosej Istoty“. Pierwszy z Tygrysów rzekł na to: „One mnie nie będą się bały, boć znam się z niemi oddawien dawna“. Odrzekł mu Tha: „Idź, przekonaj się“. Wówczas pierwszy z tygrysów jął biegać na wszystkie strony, przywołując głośno to jelenie, to dziki, to *sambhury*, to jeżozwierze, to inne jeszcze plemiona dżungli. One jednak uciekały przed swoim byłym sędzią, bo przejmował je strach wielki.

— Pierwszy z Tygrysów wrócił jak niepyszny. Bijąc pokornie łbem w ziemię i drapiąc się pazu-

rami, przemówił: „Pamiętaj, że byłem niegdyś zwierzchnikiem dżungli! Nie zapominaj o mnie, o Tha! Niechaj dzieci moje pamiętają, że w swoim czasie byłem bez skazy i trwogi!“ A Tha odpowiedział: „Uczynię zadość twojej prośbie przez wzgląd na to, że obaj jednocześnie byliśmy świadkami powstawania dżungli. Przez jedną noc każdego roku tobie i twoim dzieciom przysługiwać będą te przywileje, jakimi cieszyłeś się przed zabiciem kozła. Jeżeli w tę jedyną noc spotkasz Bezwłosą Istotę (a jej imię jest Człowiek), nie będziesz się jej lękał, owszem, ona będzie bała się ciebie i twoich potomków, jakgdybyście to wy byli sędziami dżungli i panami wszechrzeczy. Okaż się dla niej wspaniałomyślnym w ową noc strachu, boć sam doświadczyłeś na własnej skórze, czym jest strach“.

— Na to odrzekł Pierwszy z Tygrysów: „Zgadzam się na to!“ — Atoli wkrótce potem, gdy stanął nad rzeką, by napić się wody, obaczył czarne pręgi na swym grzbiecie i bokach, a przypomniawszy sobie przyzwisko, nadane mu przez Bezwłosą Istotę, wpadł w gniew wielki. Rok cały spędził wśród oczeretów, czekając chwili, w której Tha ziści swą obietnicę. I oto pewnej nocy, gdy Szakal Księżycy (gwiazda wieczorna) jaśniał nad dżunglą, Tygrys wyczuł, że nadeszła noc upragniona. Ruszył więc ku wiadomej pieczarze, by spotkać się z Bezwłosą Istotą. Wówczas ziściło się to, co był przyrzekł Tha. Istota Bezwłosa upadła przed Tygrysem i rozciągnęła się na ziemi,

zasię Pierwszy z Tygrysów jednym uderzeniem zdruzgotał jej kręgosłup. Mniemał, iż w dżungli żywie jedna tylko taka istota i że udało mu się zgładzić strach. Gdy obwąchiwał trupa, naraz posłyszał stąpanie słonia Tha, nadchodzącego z lasów północnych, a wnet potem zabrzmiał mu w uszach głos Pierwszego ze Sloni, który właśnie słyszemy w tej chwili.

Po wyschłych, spękanych wzgórzach przebiegł huk piorunu, ale nie sprowadził za sobą ulewy — jego lyskańce, upału będące oznaką, zamigotały za nią ich krawędzią. Hathi ciągnął dalej:

— Taki to głos on wówczas posłyszał, a głos ten mówił: „Takaż to twoja wspaniałomyślność?“ Pierwszy z Tygrysów oblizal sobie wargi i odrzekł: „O cóż znowu chodzi? Przecież zabiłem Strach!“ A Tha odezwał się: „O, nierozumny i ślepy! Zdjąłeś pęta z nóg Śmierci, przeto ona będzie szła twym śladem, póki nie zembrzesz. Tyżeś człowieka nauczył zabójstwa“.

— A Pierwszy Tygrys, przystanąwszy nad ubitym człowiekiem, rzekł: „Toż on taki sam, jak ów kozieł. Już po strachu! Teraz ja będę ponownie sędziował plemionom dżungli“. Zasię Tha odpowiedział: „Już nigdy tobie podlegać nie będą puszczańskie plemiona. Nigdy nie przejdą wpoprzek twej ścieżki, nie będą spały koło ciebie, nie pójda za tobą, ani nie będą się pasły w pobliżu twego legowiska. Sam jeno Strach chadzać będzie za tobą i niewidzialnymi ciosy będzie cię zmuszał do służenia jego zachciankom. Za jego sprawą

ziemia będzie się rozstępowała pod twemi stopami, pnącza okręcać się będą dokoła twej szyi, a pnie drzew wokół ciebie wyrosną ścianą tak wysoką, że nie zdołasz jej przeskoczyć. Nadmiar wszystkiego złupi on z ciebie skórę i będzie otulał nią swe szczenięta, by uchronić je od chłodu. Nie okazałeś mu litości — i on jej nie okaże względem ciebie“.

— Pierwszy z Tygrysów czuł się wielce pewnym siebie, bo jego noc jeszcze się nie skończyła, przeto odparł: „Obietnica, którą złożył Tha, winna go obowiązywać! Chyba nie odbierzesz mi prawa mej nocy?“ A Tha rzekł na to: „Noc ta jedyna, jakom powiedział, do ciebie należy — atoli musisz złożyć za nią okup. Oto nauczyłeś człowieka, jak się zabija, a trzeba ci wiedzieć, że znalazłeś w nim pojętnego ucznia.“

— Pierwszy z Tygrysów odrzekł: „Ależ on leży u stóp moich, bom-ci połamał mu żebra! Rozgłoś w puszczy całej, że m zglądził Strach!“ Na to roześmiał się Tha i rzecze: „Zabiłeś jednego z wielu... a wieść tę rozgłaszaj sobie sam, bo noc twoja już się skończyła“.

— Zaszarzał dzień i oto z czeluści jaskini wyszła druga Bezwłosa Istota, a ujrzawszy Pierwszego Tygrysa nad zwłokami swej ofiary koło wydeptanej ścieżki, ujęła kij z ostrym końcem.

— Oni teraz rzucają czemś takim, co przecina skórę — wtrącił jeżozwierz Ikki, sunąc z chrzęstem po wybrzeżu. Gondowie, którzy zwią jezo-

zwierza Ho-Igoo, uważają go za wielki przysmak, przeto Ikki wiedział coś niecoś o paskudnych, choć drobnych siekierkach gondyjskich, które fruwały niby ważki poprzez leśne uroczyiska.

— Był to kół zaostrzony, podobny do tych, jakie oni umieszczają na dnie pułapek — ciągnął dalej Hathi. — Kół taki, rzucony przez Istotę Bezwłosą, utkwił głęboko w boku tygrysa. Stało się zatem, jako był przepowiedział Tha. Albowiem Pierwszy z Tygrysów jął z wyciem przeraźliwym biegać po całej puszczy, póki nakoniec nie udało mu się wyszarpnąć pocisku. Cała puszcza dowiedziała się, że Istota Bezwłosa umie zranić nawet na odległość, przeto zwierzęta ogarnął jeszcze większy strach, niż wprzód. Tak więc doszło do tego, iż Pierwszy z Tygrysów nauczył Bezwłosą Istotę sztuki zabijania — a wiecie wszak, ile stąd spadło na nas szkód i nieszczęść... komuż nie znane są pętlice, sidła, oklepce, latające kije, kłujące muchy, wylatujące z białego dymu (Hathi miał na myśli kule myśliwskie) i Czerwony Kwiat, który wygania nas z kryjówek? Atoli przez jedną noc w roku Istota Bezwłosa hoi się tygrysa, jako przepowiedział Tha, a trzeba przyznać, że tygrys czyni, co w jego mocy, by strach ten uzasadnić i powiększyć. Gdziekolwiek wtedy napotka Bezwłosą Istotę, zabija ją na miejscu, mając w pamięci hańbę, jaką okrył się praojciec tygrysów. Poza-tem jednak Strach krąży wciąż po całej puszczy, zarówno dniem, jak i nocą.

— Ahi! A-u! — ozwały się jelenie, rozmyślając

nad nauką moralną, płynącą dla nich z tej opowieści. A Hathi ciągnął dalej:

— I jedynie wtedy, gdy ponad wszystkim zacięży Wielki Strach, jako w obecnej chwili, — jedynie wtedy my, mieszkańcy dżungli, zdolni jesteśmy pozbyć się pomniejszych strachów i zgromadzić się pospólnie, jako teraz, na jednym miejscu.

— Czy tylko przez jedną noc człowiek boi się tygrysa? — zapytał Mowgli.

— Tak jest, tylko przez jedną noc — potwierdził Hathi.

— No, ale ja... ale i my... ale wszystkie plemiona puszczańskie wiedzą, że Shere Khan zabija ludzi po dwa i trzy razy na miesiąc.

— Prawda. Ale wówczas skacze z tyłu, a uderzając zwraca w bok głowę, bo przepelniony jest lękiem. Uciekłby, gdyby zetknął się ze wzrokiem człowieka. Atoli w swoją noc zachodzi jawnie do osiedli ludzkich, przechadza się pomiędzy domami i wtyka łeb do sieni; ludzie upadają na twarz przed nim, a on wybiera sobie z pośród nich zdobycz — jedną tylko zdobycz w ciągu owej nocy.

— Hoho! — rzekł Mowgli do siebie, staczając się w wodę. — Teraz już wiem, dlaczego Shere Khan domagał się, bym spojrział mu w oczy. Nie przyszło mu nic z tego, bo nie potrafił znieść mojego spojrzenia... a ja bynajmniej nie upadłem mu do nóg. Zresztą nie jestem człowiekiem; zaliczam się przecie do Wolnego Plemienia.

— Umm! — mruknęła nagle Bagheera z głębi włochatej gardzieli. — Czy tygrys potrafi rozpoznać swą noc?

— Nie potrafi, póki Szakal Księżycy nie wyłoni się jasno z wieczornej mgły. Noc ta niekiedy przypada podczas skwarów letnich, niekiedy zaś w mokrej porze deszczowej. W każdym razie, gdyby nie Pierwszy z Tygrysów, nie zdarzyłoby się to nigdy, a nikt z nas nie wiedziałby nawet, co to Strach...

Jelenie poczęły chrząkać smutnie, a wargi Bagheery wykrzywiły się złośliwym uśmiechem.

— Czy ludzie znają tę... powiastkę? — zapytała Czarna Pantera.

— Nie zna jej nikt, prócz tygrysów i prócz nas słoni, dziatwy wielkiego Tha. Teraz poszeliście ją i wy, którzyście obsiedli kaluże i bajora. Skończyłem!

To rzekłszy, Hathi zanurzył trąbę w wodę, na znak, że nie ma ochoty mówić dłużej.

— Ale... ale... ale... — zwrócił się Mowgli do niedźwiedzia Baloo — czemuż to Pierwszy z Tygrysów nie żywił się nadal trawą, liśćmi i gałązkami? Przecież tylko połamał gnaty kozłu, ale go nie pożarł? Cóż to go przywiodło do żywienia się świeżym mięsem?

— Drzewa i pnącze napiętnowały go i zrobiły zeń taką pręgą stworę, jaką teraz widzisz, mały Braciszku! — odrzekł Baloo. — Odtąd już tygrys nigdy nie chciał kosztować ich owoców, a zato

wywierał zemstę na jeleniach i innych zjadaczach trawy.

— Aha, więc ty znasz tę powiastkę? Czemuś nigdy mi jej nie opowiedział?

— Knieja pełna jest takich opowieści, mały Braciszku. Gdybym raz zaczął, jużbym nigdy nie miał spokoju. Zostawisz ty wreszcie moje ucho w spokoju?

PRAWO DŻUNGLI

Ażebym dać wam jakie takie pojęcie o przeogromnej rozmaitości Puszczanieckiego Prawa, przetłumaczylem wierszem garść przepisów, odnoszących się do gromady wilczej (Baloo wygłaszał je zawsze jakby monotonnym półśpiewem). Przepisów tych, trzeba wam wiedzieć, jest postokroć i jeszcze raz postokroć więcej, może jednak wiersze poniższe wystarczą wam jako wzory prostszych prawideł.

*Oto jest zbiór praw dżungli — jak niebo
wieczysty, niemylny.*

*Ginie wilk, co je łamie; wilk co ich słucha, jest
szczęśliw i silny.*

*

*Jak pnącze, co pień opasuje, tak prawo wkoło nas
się winie:*

*Bo wilk jest siłą drużyny, a wilka siła —
w drużynie.*

*

*Pij dosyła, lecz w miarę. Kap się codziennie
od kity do głowy,
A pomnij, że dzień jest od spania, a noc
przeznaczona na łowy.*

*

*Niech szakał się łasi tygrysom! Lecz ty, gdy
wyrośniesz, o szczenię,
Pamiętaj, że wilk jest łowcem — i sam ma
zdobywać jedzenie.*

*

Nie klóć się z kniel władcami: Tygrysem,
Niedźwiedziem, Lampartem,
Nie drażnij Hathiego, gdy milczy, a dzika
w komyszy nie obraź złym żartem!

*

Gdy się spotkają dwa stada i nie chcą sobie ustąpić
uprzejmie,
Leż spokojnie — bo może starszyzna bezkrwawo
spór ten rozejmie.

*

Gdy zwaśniesz się z wilkiem z drużyny, sam na sam
się bijcie we dwójkę,
By złego przykładu nie dawać i nie osłabiać
drużyny przez bójkę.

*

Nora jest wilka schronieniem, a gdzie on swój
dom ustanowi,
Nie wolno tam wejść nawet Radzie, nawet Drużyny
Herzstowi.

*

Nora jest wilka schronieniem, lecz gdy ją wykopał
nazbyt widocznie,
Rada mu przyśle przestrozę, ażeby się przeniósł
niezwłocznie.

*

Gdyś zaczął łów przed północą, milcz — nie
budź lasu szczekaniem,
Bo spłoszysz nam wszystką zwierzynę i my bez
łupu zostaniem.

*

Poluj dla siebie, dla szczeniąt, dla druhów. Krew
taka nie brudzi!
Lecz bez potrzeby nie poluj! — *Po siedmkroć
wara polować na ludzi!*

*

Gdy porwiesz zdobycz słabszemu, nie pożrej
wszystkiego w chępliwej próżności.
Nędzarz jest w prawa opiece — więc zostaw mu
skórę i kości!

*

Zdobycz drużyny ma służyć za jadło całej dru-
żynie,
A ktoby tę zdobycz chciał unieść do własnej nory —
niech zginie!

*

Zdobycz wilka jest jego własnością. On rządzi nią
prawem wszelakiem;
Lecz póki sam wilk nie pozwoli, drużyna musi
obywać się smakiem.

*

Szczenie, nim rok ukończy, powinno się suto
odżywiać.
Gdy ono jadła od kogo zażąda, nie wolno się jemu
sprzeciwiać.

*

Wilczyca ma prawo do leża. Gdy samcom powiodą
się łowy,
Wolno jej żądać dziesięcin dla wilcząt — i nigdy
nie dozna odmowy!

*

Wilk-ojciec jest panem w swej norze. To wolny
myśliwiec-włóczęga!
Sądzi go jeno Rada, a władza drużyny go nie
dosięga.

*

Gdy prawo jest w czemś niedokładne, szukajcie
pomocy w swym Herszcie:
On starszy, mocniejszy i mędrszy — więc jego
przepisów się dzierżcie!

*

*Takie są prawa puszczańskie. Wyliczyć je wszyst-
kie — niepodobieństwo!
Lecz sercem prawa i głową i kośćcem...
jest posłuszeństwo!*

CUD PURUNA BHAGATA

Czując, że ziemia w gruz się wali,
na pomoc jemu szliśmy tłumnie
w noc ową — — bośmy go kochali
świadomie, chociaż nierozumnie.

A gdy z loskotem pękły skały,
gdy powódź rwała wazelkie tamy,
ocalił go nasz Ludek Mały,..
Lecz dziś... ach!..., czyż go odzyskamy?

Kochaliśmy go ubożuchną
miłością, co w zwierzętach drzemie...
Och, żal!... nasz brat na wieki usnął,
a dziś nas gnębi — jego plemię...

Żalobna pieśń langurów.

Pewnego razu żył w Indjach człowiek, który był pierwszym ministrem jednego z napółzawisłych państweczek tubylczych w północno-zachodniej części kraju. Był on braminem, kasty tak wysokiej, iż kasta poprostu przestała mieć dlań jakiegokolwiek znaczenie. Ojciec jego piastował w swoim czasie ważny urząd na pewnym dworze indyjskim, gdzie zachowywano staroświeckie obyczaje i gdzie wszystko stroiło się w pstre i jaskrawe szaty, pełne frendzli, obszywek

i figłasów. Purun Dass, doszedłszy lat męskich, doszedł do przekonania, że stary porządek już w gruzy się wali, a wobec tego każdy, kto chce się utrzymać przy władzy, powinien żyć w przyjaźni z Anglikami i naśladować wszystko, co Anglicy uważają za dobre. Z drugiej strony nie należy zapominać i o tem, że urzędnik-krajowiec musi stale dbać o względy swego właściwego zwierzchnika i liczyć się z jego wolą. Pogodzenie tych dwóch stanowisk jest hazardem nielada, ale młody bramin, z natury spokojny, przezorny i małomówny, przeszedłszy wyborną tresurę na uniwersytecie w Bombayu, grał z zimną krwią, posuwając się krok za krokiem naprzód, aż wkońcu doszedł do stanowiska pierwszego ministra przy boku królewskim, inaczej mówiąc, zdobył sobie faktycznie władzę większą, niż jego zwierzchnik, maharadża.

Gdy stary król, zawsze niechętnem okiem spoglądający na Anglików, na ich koleje i telegrafy, zszedł z tego padółu płaczu, Purun Dass uzyskał przemożny wpływ na jego młodego następcę, który dotąd wychowywał się pod opieką gubernera-Anglika. Dbając pilnie o to, by do jego władcy odnoszono się z pełnym szacunkiem i zaufaniem, zakładał jednak do spółki z nim przeróżne szkółki dla dziewcząt, budował gościńce, urządzał wystawy narzędzi rolniczych, uruchomił apteki publiczne, a z końcem każdego roku ogłaszał błękitną księgę o „Moralnym i materialnym postępie państwa“. Angielskie ministerjum

spraw zagranicznych oraz Rząd Indyjski nie posiadały się z radości. Mało jest takich państw tubylczych, które przyjmują bez zastrzeżeń postępowanie narzucone im przez Anglików; jakoś bowiem niebardzo chce im się wierzyć — jak wierzył Purun Dass — że to, co Anglikom bywa na rękę, musi być na rękę i Azjatom. Nie dziwota przeto, że pierwszy minister został zaszczycony przyjaźnią wicekrólów, gubernatorów, wicegubernatorów, misyj sanitarnych i duchownych, oraz twardo w siodle siedzących oficerów angielskich, zjeżdżających co pewien czas na polowania w leśnych rezerwach państwowych, — nie mówiąc już o rzeszach turystów, którzy w porze chłodnej wędrowali tam i zpowrotem po całych Indjach, nie szczędząc nikomu swych cennych rad z zakresu administracyjno-gospodarczego. W chwilach zbywających mu od pracy, zaprawiał młodzież do rękodziel i studjów lekarskich — idąc i w tem za przykładem Anglików; pisywał też korespondencje do „Pioniera“, największego podówczas dziennika w Indjach, wyjaśniając zapatrywania i dążności swego władcy.

Wkońcu wybrał się w podróż służbową aż do samej Anglii. Po powrocie musiał złożyć ogromny okup kapłanom, albowiem nawet bramin tak wysokiej kasty, jakim był Purun Dass, może utracić godność kastową, gdy przebył tak wielki szmat morskich przestworów. W Londynie spotykał się i rozmawiał z wszystkimi osobistościami sławnymi i zasługującymi na poznanie, — a widział

znacznie więcej, niż zwykł był w słowach wyjawić. Zdobywał honorowe stopnie akademickie na naj-słynniejszych uniwersytetach, wygłaszał przemówienia na towarzyskich i publicznych zebraniach, a wieczorami bawił strojne damy wytworną i ciekawą rozmową o hinduskich reformach społecznych, aż wkońcu wszystkie kobiety londyńskie poczęły wołać, jak jeden mąż — a raczej, jak jedna kobieta:

— Od czasu, jakeśmy po raz pierwszy włożyły suknie, nie zdarzyło się nam siedzieć przy stole i rozmawiać z tak czarującym mężczyzną!

Jeszcze żywszym ogniem zapłonęła jego chwala, gdy stanął znowu na ziemi indyjskiej. Oto sam wicekról wybrał się ze specjalną wizytą, by wręczyć maharadży Wielki Krzyż Gwiazdy Indyjskiej — cały w brylantach, wstęgach i emalji; podczas tegoż obrzędu, przy huku dział, Purun Dass został mianowany Komandorem Orderu Cesarstwa Indyjskiego*; odtąd pełne jego nazwisko brzmiało: Sir Purun Dass K. C. I. E.

Tegoż wieczoru była w wielkim namiocie wicekróla wspaniała uczta, podczas której Purun Dass powstał, mając na piersi godło i wstęgę swego orderu, i w odpowiedzi na toast ku czci swego władcy, wygłosił mowę tak świetną, iż mało który z rodowitych Anglików poważylby się iść z nim w zawody.

*) Knight Commander of the order the Indian Empire.

W miesiąc później, gdy stolica kraju powróciła do dawnej, skwarnej i słonecznej ciszy, Purun Dass uczynił rzecz taką, o jakiej nawetby się nie śniło żadnemu z Anglików: — ot, mówiąc poprostu, umarł dla świata... Wyszadzany brylantami order komandorski powędrował zpowrotem do kancelarji wicekróla, kierownictwo spraw państwowych wziął w swe ręce nowy minister, a główna dyrekcja poczt i telegrafów wszczęła wielki ruch we wszystkich jej podległych urządach. Kapłani wiedzieli, a gmin odgadywał, co się stało, — atoli Indje są na całej kuli ziemskiej jedynym terytorjum, gdzie człowiek może robić, co mu się żywnie podoba, i nikt nie zapyta go o przyczynę. To też nie widziano w tem nic osobliwego, że Dewan Sir Purun Dass wyrzekł się swego stanowiska, pałacu i politycznego znaczenia, by wziąć w rękę miseczkę żebracza i przywdziać ceglaste go koloru strój, w jakim chodzą świątobliwi pątnicy, zwani *sunnyassi*. Zgodnie z przepisami starodawnego prawa był on przez dwadzieścia lat młodzieniaszkiem, przez drugie dwadzieścia wojownikiem (aczkolwiek nigdy w życiu nie tknął oręża), a przez trzecią dwudziestkę głową rodziny. Używał swych bogactw wedle wartości, jaką umiał w nich dostrzec; przyjmował zaszczyty, gdy nań sływały; przyjrzał się wielu ludziom i ludzkim siedliskom, zarówno dalekim, jak bliskim — wszędy doznawał czci, wszędy witano go chętnie. Teraz postanowił z tem zerwać — porzucić to wszystko, podobnie jak

porzucamy płaszcz, który stał się już nam niepotrzebny.

Gdy bosy, samotny, z oczyma utkwionemi w ziemię, szedł przez ulice stołeczne, niosąc pod pachą skórę antylopy i okuty mosiądzem kosztur, a w ręku miseczkę żebraczą z brunatnej, gładkiej łupiny kokosa, słyszał poza sobą wystrzały armatnie, grzmiące z bastjonów na cześć jego szczęśliwego następcy. Słyszał je i kiwał głową. Całe dotychczasowe życie stało się dlań już bezpowrotną przeszłością; odnosił się do niego z taką obojętnością, z jaką człowiek, ze snu wytrzeźwiony, zwykł się odnosić do szarych, mglistych mar nocnych. Teraz był *sunnyasim* — bezdomnym żebrakiem-włóczęgą, z łaski sąsiadów pożywającym chleb powszedni; trzeba zaś wiedzieć, że póki zostanie choćby kęs do podziału, żaden kapłan ani żebrak w Indjach nie umrze z głodu. Purun nigdy w życiu nie skosztował mięsa, a nader rzadko jadał rybę. Banknotem pięciofuntowym potrafiłby opędzić wydatki osobiste na wikt przez każde z tych lat, w ciągu których był niezależnym panem milionowych sum pieniężnych. Nawet w czasie pobytu w Londynie, gdy go ugaszczano i podziwiano, marzył o spokoju i ciszy — o tym długim, białym, zakurczonym trakcie indyjskim, poznaczonym śladami bosych stóp, o płynącej zwolna, ale nieprzerwanie fali ludzkiej — i o gryzącym dymie kłód drzewnych, wijącym się o zmroku pod figowcami, gdzie wędrowcy zatrzymywali się celem spożycia wieczerzy.

Gdy nadszedł czas, w którym ten sen miał się ziścić, pierwszy minister „poczynił odpowiednie kroki“, — a w trzy dni potem łatwiejbyś odszukał bańkę piany na rozścieżach oceanu Atlantyckiego, aniżeli Purun Dassa wśród wędrujących, to skupiających się, to rozpraszających się milionów ludności indyjskiej.

Nocą rozścielał skórę antylopy w miejscu, gdzie zaskoczyła go ciemność. Miejscem tem zaś był czasem przydrożny klasztor *sunnysich*, czasem próg ceglanej, na filarach wspartej kapliczki Kala Pir, gdzie ludzie święci odrębnego, choć niezbyt wyraźnego typu, zwani *jogi*, przyjmowali go, jak przystało tym, co znają się na wartości kast i odrębności społecznych; czasem przysiółek jakiejś niewielkiej osady hinduskiej, gdzie przekradały się doń dzieci, niosąc warzę, przygotowaną przez rodziców, — czasami wzgórek pośród nagiego stepu, gdzie blask ogniska, roznieconego przezeń z suchych badyli, budził drzemiące wielbłądy. Było to zgoła obojętne Purun Dassowi — czyli raczej Purun Bhagatowi, — bo takie miano przybrał obecnie. Nie dbał o ziemię, ludzi i strawę. Nogi same go niosły niepostrzeżenie na wschód i na północ, od południa ku Rohtakowi, od Rohtaku do Kurnool, od Kurnool do zwalisk Samanah, a następnie w górę rzeki Gugger, której wyschnięte łożysko napelnia się wodą tylko wtedy, gdy w górach spadną obfite deszcze. Tak idąc, pewnego dnia ujrzał rysujący się w oddali, wyniosły grzbiet Himalajów.

Wówczas uśmiechnął się Purun Bhagat, wspomniawszy, że matka jego pochodziła z rodu brami-
nów radźputańskich, zagnieżdżonych w okolicach
Kulu, — że zawsze tęskniła za śniegiem swych
gór ojczystych — i że najmniejsza nawet kropelka
krwi góralskiej przyciąga człowieka prędzej czy
później w te strony, skąd wziął początek.

— Tam osiedę i zdobywać będę wiedzę! —
powiedział sobie Purun Bhagat, wdzierając się na
stoki Sewalików, zarosłe kaktusami, sterczącemi
naksztalt świeczników siedmioramiennych. Gdy
wszedł na trakt, wiodący do Simli, zaświstał mu
kolo uszu rzeźwy wiatr, płynący od gór hima-
lajskich.

Inaczej przebywał tę drogę Purun niedawnym
czasem! Jechał okazale, z przybocznym oddzia-
łem jazdy, w odwiedziny do najszlachetniejszego
i najslawniejszego z wielkorządców Indyj; godzinę
całą trwała ich rozmowa o wspólnych przyjacio-
łach w Londynie i o ustosunkowaniu się ludu
indyjskiego do spraw politycznych. Obecnie Purun
Bhagat nie myślał o składaniu wizyt, tylko oparł
się o barjerę gościńca, przyglądając się wspania-
łemu widokowi na niziny, rozpościerające się
przed nim w promieniu mil czterdziestu. Stał tak
długo w zapatrzeniu, póki policjant, krajowiec-
mahometanin, nie upomniał go, że tamuje ruch
uliczny. Purun Bhagat czolobitnie poklonił się
przedstawicielowi władzy; wiedział bowiem, co to
prawo — i teraz wszak poszukiwał prawa, coby
nim kierowało. Następnie ruszył w dalszą drogę

i przenocował w pustym szalasiu w Chota Simla. Miejscowość ta, która turystom wydaje się najdalejszym krańcem świata, była dla Puruna początkiem podróży. Odtąd posuwał się szlakiem himalajskotybetańskim, wąską, dziesięć stóp szerokości mierzącą drożyną, wylamaną dynamitem w twardej opoce, lub wyciętą potężnymi kłodami drzewa ponad brzegiem przepaści na tysiąc stóp głębokiej — opadającą w młeczne i parne kotliny — to znów pnącą się po nagich połoninach, gdzie słońce przypieka jak soczewka szkła powiększającego — to wreszcie wijącą się przez podmokłe ciemne lasy, gdzie pnie drzewne od korzeni po gałęzie zarastają pękami paproci, a po gąszczach wabią się bażanty. Spotykał tu pasterzy tybetańskich, wiodących psy i stada owiec z woreczkami boraksu, zawieszonymi wśród wełny. Spotykał zakutanych w wełniane opony lamów tybetańskich, pielgrzymujących do Indyj. Kiedy indziej mijali go wysłannicy małych udzielnych państw górskich, cwałując, jak opętani, na łaciatych i przegatych kucykach, lub spędzał go z drogi orszak konny jakiegoś radży, odbywającego podróż dyplomatyczną. Bywało też, że przez cały dzień — od rana do świtu — nie napotkał nikogo, prócz czarnego misia, sapiącego ciężko i wygrzebującego korzonki na stokach górskiej doliny.

Z rozpoczęciem wędrówki gwar porzuconego świata dzwonił mu jeszcze w uszach, podobnie jak gwar tunelu rozlega się jeszcze przez chwilę za pociągiem, który zeń wyjechał. Lecz po prze-

byciu przełęczą Mutteeanee wszystko ucichło — i Purun Bhagat był pozostawiony sam sobie. Szedł, przyglądał się i rozmyślał — wodząc wzrokiem po ziemi i myślą po obłokach.

Pewnego wieczoru przebył najwyższą przełęcz, jaka stanęła mu w drodze — wspinanie się na nią zabrało mu całe dwa dni — i ujrzał łańcuch śnieżnych szczytów, opasujących cały widnokrąg; były to góry, mierzące od piętnastu do dwudziestu tysięcy stóp wysokości; wydawały się tak bliskie, iż, rzekłbyś, można było dorzucić do nich kamieniem. — w rzeczywistości jednak znajdowały się w odległości mil kilkudziesięciu. Przełęcz wieńczyły gęste ciemne bory; rosły tam deodary, orzechy włoskie, dzikie czereśnie, dzikie oliwki i dzikie grusze, najwięcej jednak było deodarów, czyli cedrów himalajskich.

W cieniu deodarów wznosiła się opuszczona kapliczka bóstwa Kali — zwanego też Durga, albo Sitala — które tu i owdzie doznaje czci, jako mające moc ratowania od czarnej ospy.

Purun Dass zamiótł kamienną posadzkę, uśmiechnął się do rozdziawionej gęby bóstwa, założył sobie w głębi kapliczki małe palenisko z gliny, rozpostarł skórę antylopy na postaniu z świeżego igliwia, włożył pod pachę godło swoje — *bairagi*, czyli kosztur o mosiężnej rękojeści — i usiadł, by wypocząć z podróży.

Tuż u stóp jego staczało się zbocze górskie, ciągnące się stromo hen ku przyklepionej do urwiska gromadce kamiennych domków o dachach

z ubitej ziemi. Wokoło tej wioszczyny leżały, niby laciasty fartuch na kolanach góry, maluchne, tarasowato ułożone poletka, a krowy, niewiększe od chrząszczy, pasły się wśród wałów kamiennych, ogradzających klepiska. Spoglądając na drugą stronę doliny, oko myliło się w ocenie wielkości przedmiotów i nie odrazu miarkowało, że to, co zdawało się niskiem zaroślem na przeciwległym zboczach, było w istocie lasem sosnowym, wybujałym na sto stóp wysokości. Purun Bhagat zapatrzył się w orla, szybującego ponad olbrzymią otchłanią — ale wielki ptak zmalął do rozmiarów drobnego punkciku, zanim przebył połowę drogi. Obloki, rozproszone po dolinie, nizały się jakby w wiązanki lśniących paciorków, to uczepiając się grzbietu gór, to znów wznosząc się wgórze i niknąc, gdy stały na jednym poziomie z wierzchołkiem przełęczy.

— Tu znajdę ciszę — powiedział sobie Purun Bhagat.

Dla górala drobnostką jest przebycie kilkuset stóp wdół czy wgórze, więc gdy wieśniacy ujrzeli dym, wznoszący się nad opuszczoną kapliczką, natychmiast kapłan miejscowy wdrapał się po uplazach na wyżnię, by powitać przybysza.

Wejrząwszy w oczy Purun Bhagata — oczy człowieka, nawykłego rozkazywać tysiącom poddanych — skłonił się nisko do samej ziemi, nie mówiąc ani słowa, poczem równie bezsłownie zabrał jęgo miseczkę żebraczą i powrócił do wio-

ski. Wieśniakom, dopytującym się o wynik wyprawy, taką ogłosił nowinę:

— Oto do nas narazście zawitał mąż święty. Nigdy nie widział człowieka, co by mu był równy. Jest rodem z nizin, ale lica ma białe. Prawdziwy bramin z dziada-pradziada.

Gażdziny góralskie, wiedzione kobiecą ciekawością, zaczęły się dopytywać:

— Jak myślisz? Czy aby on pozostanie między nami?

Otrzymawszy odpowiedź potwierdzającą, jęły gotować na wypródki co najsmaczniejsze potrawy dla Bhagata. Jadło góralskie jest niewymyślne, ale z hreczki, kukurydzy, ryżu, papryki, drobnych rybek ulowionych w górskim potoku, z termeryku, miodu, podebranego w skalnych barciach, suszonych moreli, dzikiego imbiru i ciasta niezaprawnego potrafi bogobojna kobieta przyrządzić prawdziwie smakowitą ucztę. Całą misę takich frykasów zaniósł kapłan Bhagatowi i jął się go dopytywać, czy zamierza pozostać u nich — czy nie życzyłby sobie *cheli*, czyli ucznia, któryby za niego żebrał. — czy ma derkę, któraby go zabezpieczyła przed zimnem i słońcem, — czy smakuje mu jadło — i tak dalej i dalej...

Purun Bhagat jadł i dziękował ofiarodawcy, oświadczając, że owszem z chęcią pozostanie między nimi. Kapłanowi wystarczyło to zapewnienie. Prosił więc Bhagata, by zostawiał miskę przed kapliczką w malej jamce, utworzonej przez splecione korzenie drzewne, a może być pewny, że nie

dozna nigdy głodu — albowiem cała wieś czuje się niezmiernie szczęśliwą, że mąż tak dostojny (to mówiąc, spojrział z lękiem w oblicze Purun Bhagata) raczy przebywać pomiędzy nimi.

Dzień ów był kresem wędrówek Purun Bhagata; oto bowiem pielgrzym dotarł do przeznaczonego dlań miejsca. — gdzie znalazł ciszę i przestrzeń. Czas tu niejako stanął w miejscu tak, iż Purun, siedząc u wniścia kapliczki, nie umiał orzec sam o sobie, żyje-li jeszcze, czy jest już umarły; nie wiedział, czy władnie swemi członkami, czy też obszarem gór, obłokami, blaskiem słonecznym i ulewą. Powtarzał sobie cicho postokroć jedno imię, a za każdym powtórzeniem wydawało mu się, iż bardziej odrywa się od ciała i bardziej się zbliża do wrót jakiejś przerażającej tajemnicy; atoli, gdy wrota już się otwierały, ciało ciągnęło go zpowrotem i ze smutkiem uświadamiał sobie, że jest uwięziony w ciele Purun Bhagata.

Każdego ranka ktoś pocichu stawiał napelnioną miseczkę żebraczą w występie korzeni pod kapliczką. Czasem przynosił ją kapłan; czasem zasię zamieszkały w wiosce ladakhijski przekupień piał się po stromej perci, by zdobyć sobie zasługę. Najczęściej jednak drogę tę odbywała jedna z gąździn wiejskich — ta właśnie, która przez noc daną trudziła się gotowaniem strawy. Przeszedłszy pod kapliczkę, mruzczała półgłosem:

— Przemów za mną do bogów, Bhagacie. Przemów za... (tu podawała imię swoje i swoje go męża).

Niekiedy powierzano tę zaszczytną misję któremuś z odważniejszych chłopców, a wtedy Purun Bhagat słyszał, jak wysłaniec stawiał prędko miskę i umykał, co sił w nogach.

Sam Bhagat nigdy nie zachodził do wioski. Leżała ona zawsze, niby jakowaś mapa, u jego stóp. Widywał wieczorynki, które urządzano na klepiskach — owych, jedynych w całej wiosce przestrzeniach, gdzie grunt był jako tako równy. Widywał przedziwną, niewysłowioną zieleń runi ryżowej, indygowy błękit kukurydzy, puszyste zakosy hreczki, oraz czerwone kwiecie amarantu, którego małe nasionka, nie będące ani zbożem, ani kaszą, dają pożywne jadlo, dozwolone według prawa Hinduom nawet w czasie postów.

Ze schyłkiem roku dachy chat stały się płytami najczystszej złota, gdyż zaczęto tam składać, celem wysuszenia, snopy zżętego zboża. Młocka i sianokosy, przesiewanie i luskanie ryżu — wszystko to działo się przed oczyma pustelnika — tam w dole, na tle haftu wielobocznych poletek. Purun Bhagat rozmyślał o wszystkim, co widział, i zastanawiał się, jaki cel i wynik może mieć rzecz każda.

Nawet w ludnych okolicach Indyj niepodobna przesiedzieć spokojnie przez dzień cały, nie będąc napastowanym przez złośliwe stworzenia, które snadź uważają człowieka nieporuszonego za bryłą głazu. Nie dziwota, że żyjące w tem pustkowiu różne dzikie stworzenia, zdawiendawna obeznane z kaplicą Kali, rychło poczęły ją nawiedzać, by

przyjrzeć się intruzowi. Pierwsze oczywiście pojawiły się *langury*, siwowąsę małpy himalajskie, które są uosobieniem ciekawości. Przewróciwszy miseczkę żebraczą i potoczywszy ją po ziemi, wypróbawwszy mocy swych zębów na mosiężnej galce kostura i naznęcawszy się dowolni nad skórą antylopy, doszły do przekonania, że siedząca nieruchomo istota ludzka nie może im uczynić nic złego. Wieczorem zeskakiwały z sosen i wyciągały ręce, żebrząc pożywienia, a potem umykały, wyginając się w zgrabnych podrygach. Upodobały sobie ciepło ogniska, więc skupiały się koło niego i siedziały przykucnięte, póki nie zostały nabok odsunięte przez gospodarza, zamierzającego dorzucić większej ilości paliwa. Rankiem Purun Bhagat nierzadko znajdował przy sobie kosmatą małpę, dzielącą się jego kocem, zaś przez cały dzień stale jedna z nich siadywała przy jego boku, gapiąc się na śniegi, papląc coś pod nosem i wybierając niesłychanie mądre i frasośliwe miny.

Za małpami nadciągnął wielki jeleń *barasingh*, podobny do naszego jelenia, ale znacznie okazałszy; pragnął zetrzeć scypuł ze swych rogów o twarde głazy posągu Kali. Ujrzawszy człowieka w kaplicy, królewski zwierz począł ze złości wierzeć nogami; atoli widząc, że Purun Bhagat wcale nie rusza się z miejsca, podszedł boczkciem ku niemu i jął ocierać się chrapami o jego ramię. Purun Bhagat pogłaskał chłodną dłonią jego rozparzone poroże. Dotknięcie to przyniosło ulgę zgorączkowanemu zwierzęciu; jeleń pochylił gło-

wę, a Purun Bhagat z wielką ostrożnością start i wyskubał sierść z rogów. Wkrótce potem *barsingh* zaczął przyprowadzać swą lanię i jelonki — przemiłe stworzonka, które miamały rozkosznie, leżąc na derce świętego męża; czasami zachodził nocą tylko sam, lśniąc zielonemi oczyma w odbłasku ogniska, i pożywał się porcją świeżych orzechów. Wkońcu zawitał tu również i piżmowiec, najpłochliwszy i najmniejszy z leśnych zwierzaków, wiecznie nadstawiający wielkich, zajęczych uszu. Ba, nawet centkowany, wiecznie milczący *mushick-nabha* wymyszkował widocznie, co oznacza światło w kapliczce, bo poczał gmerać swym pociesznym ryjkiem w zanadrzu Purun Bhagatowem, biegając tam i sam w zawody z cieniarniami ogniska.

Wszystkie te zwierzęta zwał Purun Bhagat swoimi braćmi, a jego ciche nawoływanie „*Bhai! Bhai!*“ wywabiało je w biały dzień z lasu, o ile znajdowały się nieopodal. Czarny niedźwiedź himalajski, podejrzliwy dziwak Sona, noszący na podgardlu białe znamię w kształcie litery V, przechodził niejednokrotnie tą drogą; ponieważ zaś Bhagat nie okazywał strachu, więc i Sona nie myślał okazywać gniewu, tylko przyglądał się odważnie mieszkańcowi kapliczki, niebawem zaś podszedł ku niemu i zaczął dopraszać się o pieszczoty wraz z przyczynkiem chleba lub dzikich jagód. Nieraz o cichym świcie, gdy Bhagat wdzierał się na sam wierzchołek wrębu przełęczczy, by przyjrzeć się rumianym blaskom dnia, posuwają-

cym się wzdłuż śnieżnych szczytów, widywał, jak Sona drepce i sapie tuż poza nim, wsadza wścibską łapę pod zwalone pnie drzewne i wyciąga ją stamtąd z fuknięciem, znamionującym zniecierpliwienie. Wychodząc rankiem z kapliczki, nieraz odgłosem kroków budził Sonę, zwiniętego w kłębek pod progiem; niedźwiedzisko natychmiast zrywało się na równe nogi, gotowe do walki, póki nie posłyszało głosu Bhagata i nie rozpoznało swego najlepszego przyjaciela.

Niemal wszyscy pustelnicy i ludzie święci żyjący zdala od wielkich miast uchodzą za cudotwórców, zdolnych rozkazywać dzikim zwierzętom. W całym owym cudotwórstwie zasadą główną bywa zazwyczaj: zachowywać się spokojnie, nie wykonywać nagłych poruszeń, a przez czas dłuższy nie spojrzeć ani razu wprost na przybysza. Mieszkańcy wioski widywali sylwetkę *barasingha*, kroczącego niby cień przez ciemny bór za kapliczką; widywali himalajskiego bażanta *minaula*, gorejącego całą tęczą barw przed obliczem posągu Kali; widywali i *langury*, co, przycupnąwszy w świątynię, igrały łupinami orzechów. Ba, niektóre z dzieci słyszały, jak Sona, schowany za zwalem skalnych piargów, nucił sobie jakąś śpiewkę niedźwiedzią pod nosem. Przeto sława Bhagata, jako cudotwórcy, utrwaliła się i była niezachwianą — jakkolwiek jego duszy nic tak nie było obce, jak cudotwórstwo. Bhagat wierzył, że wszystko w świecie jest jednym wielkim cudem, — i że człowiek, który sobie to uświadomi, nie

potrzebuje już szukać innych podstaw swego żywota. Wiedział — i miał za rzecz pewną, że niemasz nic wielkiego ani małego na tym świecie, — a dniem i nocą wmyślał się zwolna w samą istotę wszechrzeczy, kierując się ku źródłisku, z którego wyszła jego dusza.

Rozmyślał, rozmyślał i nie było końca rozmyślaniom... Nieczesane włosy spływały mu długą falą na barki; w kamiennej płycie obok skóry antylopy utworzył się dołek, wyżłobiony mosiężnym okuciem kostura, zaś wnęka wśród kłodzin drzewnych, kędy codzien stawiano miseczkę żebraczą, pogłębiła się w kształt jamki, niemal tak wklęsłej i gładkiej, jak powierzchnia kokosowej łupiny. Zwierzęta zadomowiły się już na dobre koło ogniska — każde z nich miało tam swoje miejsce. Pola z każdą porą roku zmieniali swą barwę; gumna napełniały się zbożem, opróżniały się i znów się napełniały; ilekroć zasię nadeszła zima, *langury* hasały żwawo wśród gałęzi, oprószonych śniegiem, póki z nastaniem wiosny małpie matki nie wyhodowały nowego pokolenia kłapouchych małpiątek w ciepłym zaciszu parowów. W wiosce mało się zmieniało. Kapłan się postarzał, a małe berbecie, które wpierw nosiły miseczkę żebraczą, teraz wysyłały z nią własną swą dziatwę. Gdy zaś pytano wieśniaków, jak dawno święty mąż przemieszkuje w świątyni Kali przy siodle przełęczy, odpowiadali: „Mieszkał tu zawsze“.

Pewnego roku nastaly latem takie deszcze, jakich nie widywano w górach od dłuższego czasu.

Przez trzy — prawdziwie „oblewane“ — miesiące dolina była spowita chmurami i rozkisłą siapawicą; deszcz mżył bez przerwy, uporeczywie, raz po raz przechodząc w nawałną ulewę. Kaplica bóstwa Kali po większej części stała w chmurach, a był i taki miesiąc, w którym Bhagat ani razu nie dostrzegł najmniejszego nawet skrawka wioski; ukryła się bowiem pod białym stropem mgły, który chwiał się, przesuwiał się z miejsca na miejsce, falował i wydymał się w górę, ale nigdy się nie zwalił ze swoich filarów — z zalanych wodą stoków doliny.

Przez cały ten czas Bhagat nie słyszał nic, oprócz miljona drobnych strużek, szumiących to pomiędzy gałęzmi nad głową, to po rozmiękłym gruncie pod nogami — sączących się poprzez iglaste sosny korony — ociekających z koniuszków strzępiastej paproci — to znów toczących się utartymi dopiero co koleinami źlebów. Potem wyjrzało słońce, przywodząc błogą woń deodarów i różokrzewów, oraz ten daleki, rzeźwiący zapach, który górale nazywają „zapachem śniegów“. To ciepło słoneczne trwało cały tydzień, poczem znów zebrały się deszcze, by lunąć po raz ostatni; nawał wody był tak wielki, iż zdarł całą zwierchnią warstwę gruntu i bryzgał na znaczną wysokość kłębamii błota. W ową noc Purun Bhagat przygotował wielki stos opału, bo był pewny, że zziębnięci jego bracia łaknąć będą ciepła. Wszelakoż ani jedno zwierzę nie przybyło do kapliczki, mimo że Purun wabił je serdecznie i długo — aż wkońcu

usnął znużony, dziwując się mocno, co też takiego zdarzyć się mogło w głębi horu.

W najciemniejszą godzinę nocy, gdy ulewa dudniła jak tysiąc tarabanów, zbudziło go ze snu jakieś szarpnięcie za kołdrę. Wyciągnawszy się, uczuł koło siebie drobną dłoń *langura*.

— Tutaj lepiej, niż pod drzewami — ozwał się sennie Purun Bhagat, odgarniając jeden ze zwiniętych brzegów derki, — wleź-że do mnie i ogrzej się!

Ale małpka złapała go za rękę i poczęła ją ciągnąć.

— Aha! dopominasz się jadła? — dorozumiewał się Purun Bhagat. — Poczekaj, zaraz ci przygotuję.

Atoli, gdy przyklęknął, by dorzucić drew do ognia, *langur* pobiegł ku drzwiom kapliczki, zaskrzeczał żalośnie i wróciwszy chyżo do świętego męża, uchwycił go za kolano.

— Co się stało? Cóż cię tak zaniepokoiło, bracie? — zapytał Purun Bhagat, widząc, że w oczach *langura* malują się jakieś rzeczy, których biedne zwierzę nie umie wypowiedzieć. — O ile nikt z twych pobratymców nie wpadł w pułapkę (zresztą, o ile mi wiadomo, nikt tu nie zastawia pułapek!), nie mam ochoty wychodzić na slotę i zawieruchę. Patrz-no, bracie, nawet *barasingh* przyszedł szukać u mnie schronienia.

Jakoż w tejże chwili królewski zwierz wszedł wspaniałym krokiem do świątyni. Szczęknął rogami o posąg hóstwa Kali, szczerzącego zęby w szero-

kim uśmiechu, poczem nachylił leb w stronę Purun Bhagata i jał wierzgać złowrogo, parskając przez półprzymknięte chrapy.

— Hej! hej! hej! — zawołał Bhagat, trzaskając palcami. — Czy to ma być zaplata za nocleg?

Jeleń nie zważał na te słowa, tylko w dalszym ciągu popychał go ku drzwiom. Jednocześnie Purun Bhagat posłyszał jakiś jęk, czy zgrzyt i obaczył, że dwie płyty w podłodze rozsunęły się na pewną odległość, a pod nimi zaczęła chlupotać i mlaskać grząska ziemia.

— Aha! teraz rozumiem! — rzekł do siebie Purun Bhagat. — Nie mam żalu do mych braci, że nie zasiedli dziś nocą przy mem ognisku! Więc to góra zaczyna się obsuwać i grozi zawaleniem!... Ale... ale, pocóż mam odchodzić?

Wzrok jego padł na pustą miseczkę żebracza — i twarz mu się zmieniła.

— Tu obdarzano mnie wyborną strawą codziennie od czasu... od czasu, gdym tu przybył... Jeżeli się nie pośpieszę, jutro może ani jeden człowiek w dolinie nie pozostanie przy życiu. Niema co zwlekać! Muszę zejść nadół i ostrzec mieszkańców wioski. Odsuńcie się, bracia! Pozwólcie mi podejść do ognia.

Barasingh odsunął się niechętnie, a Purun Bhagat wetknął głownię głęboko w ogień i obracał ją tak długo, póki nie rozgorzała silnym płomieniem.

— Więc przyszlście mnie przestrzec! — rzekł,

powstając. — Ale uczynimy coś jeszcze lepszego, niż wam się zdaje. Wyjdźmy już, a ty, bracie, użyj mi swego karku, bo mam tylko jedną parę nóg.

To rzekłszy, objął prawą ręką szczęciasty grzbiet *barasingha*, w lewicy uniósł pochodnię i wyszedł z kapliczki w ponury, nieprzenikniony mrok nocny. Wiatru wcale nie było, ale deszcz omało co nie zagasił pochodni, gdy wielki zwierz, ślizgając się na pośladkach zbiegał pędem po stoku góry. Gdy wydostali się z lasu, przyłączyło się do nich więcej braci Bhagata. Nie widząc nikogo, słyszał przecie wokół siebie zwinne kroki *langurów*, a poza niemi basowe sapanie Sony. Ulewa zmierzwiła długie, siwe włosy Bhagata, iż obwisły wdół, jak postronki; woda pluskała pod bosemi stopami starca, a żółta odzież przylgnęła do jego słabowitego ciała — mimo to stapał uporczywie i wytrwale, opierając się na grzbiecie *barasingha*. Dokonała się w nim zmiana. Nie był to już asceta-pustelnik, ale Sir Purun Dass, K. C. I. E., pierwszy minister pokaźnego państwa, człowiek nawykły do rozkazywania, śpieszący ratować swych podwładnych. Stromą, oślizgłą, rozchlapaną drogą posuwali się wdół — Bhagat ze swoją bracią. Szli coraz to niżej i niżej, póki jelenie nie zaczęły potykać się i trącać rogami o ogrodzenie gumna; wówczas stanęły i jęły parskać, bo zwęszyły człowieka. Jakoż znajdowano się już u wylotu jednej z krętych uliczek wioski. Bhagat zastukał kosturem w zawarte okiennice domu kowala,

a podniesiona pochodnia rozjarzyła się żywym blaskiem pod osłoną okapu.

— Wstawajcie i uciekajcie! — krzyknął Purun Bhagat, nie rozpoznając własnego głosu, gdyż od lat całych nie zdarzyło mu się przemawiać do ludzi. — Góra się wali! Góra wkrótce runie! Zbudźcie się i uciekajcie, wieśniacy!

— To nasz Bhagat! — zawołała kowalowa. — On tu przyszedł ze wszystkimi swymi zwierzętami. Zbierz dziatwę i poślij ich do wioski. Niech pobudzą, niech zawiadomią wszystkich!

Wieść pobiegła od domu do domu, a tymczasem zwierzęta, stłoczone w ciasnej przestrzeni, lawą falującą oblegały Bhagata. Sona sapał z niecierpliwości.

Ludzie wypadli na ulicę — było ich, razem wzięwszy, dusz około siedemdziesięciu — i przy blaskach pochodni ujrzeli Bhagata opartego o bok przerażonego *barasingha*, rzeszę małp, szarpiających go niespokojnie za rękawy, oraz Sonę, który ryczał przeraźliwie, przysiadłszy na ziemi.

— Wyminąć dolinę i wejść na najbliższą górę! — huknął Purun Bhagat. — Niech nikt się nie ociąga! My pójdziemy za wami!

Wówczas ludziska poczęli śmigać pod górę, jak to śmigać umieją jedynie górale. Wiedzieli, że w razie obsunięcia się ziemi należy wdrapać się na najwyższy upłaz poza doliną. Mknęli więc chyżo, brnąc z chlupotem przez małą rzeczulkę na dnie doliny, a dostawszy się na tarasowate poletka po drugiej stronie, jęli piąć się po nich

z mozołem. Bhagat szedł za nimi, otoczony swą bracją. Wspinali się coraz wyżej i wyżej na przeciwnie leżące zbocze, nawołując się wzajemnie po imieniu — hasłem używanem w wiosce. Tuż poza nimi sunął wielki *barasingh*, obarczony słabnącym coraz bardziej Purun Bhagatem. Szedł i szedł z wielkim trudem — aż nakoniec zatrzymał się w cieniu gęstego lasu sosnowego, o pięćset stóp od podnóża góry. Ten sam instynkt, który ostrzegł go przed zbliżającą się katastrofą, szepnął mu teraz, że w tem miejscu będzie bezpieczny.

Purun Bhagat osunął się bezwładnie przy boku zwierzęcia, bo przenikliwy ziąb ulewy i zawziętość wspinaczki dały mu się śmiertelnie we znaki. Zanim jednakże omdlał, zdołał krzyknąć w stronę rozproszonych ludzi z pochodniami:

— Stańcie i policzcie się!

A obaczywszy, że światła skupiły się w jednym miejscu, szepnął do jelenia:

— Pozostań przy mnie, bracie. Pozostań... póki nie... odejdę!...

W powietrzu ozwał się jakiś jęk, który niebawem wzmógł się w groźny pomruk, następnie zaś spotężniał w huk, przechodzący wszelką granicę ludzkiego sluchu. Zbocze górskie, na którym stali wieśniacy, zatrzęsło się w ciemności i zakolysało wskutek jakiegoś uderzenia. Potem przez dobre pięć minut buczała w powietrzu jakaś nuta wyraźna, głęboka i przeciągła, podobna do niskiego C w organach, od której pnie sosen dygotały aż po same korzenie. Gdy skończył ostatni jej pogłos, nie

dawał się już więcej słyszeć gromki stukot strug deszczowych o twardą skałę, jaki w pierw rozbrzmiewał o kilka mil opodal; zamiast niego wpadał teraz w ucho głuchy, stłumiony chłupot wody na miękkim gruncie... Głosy te starczyły za całą opowieść.

Żaden z wieśniaków — nawet sam kapłan — nie był na tyle śmiały, by przemówić choć słówkiem do Bhagata, który uratował im życie. Wszyscy przycupnęli pod sosnami i czekali nadejścia poranku. Gdy niebo poszarzało, jęli spoglądać w dolinę. Tam, gdzie w pierw był las, uprawne stoki i poprzerzynane ścieżkami hale, teraz widniało grząskie i szorstkie, w kształt wachlarza usypane rumowisko, na którego krawędzi zwisało kilka drzew, wyrzuconych korzeniami do góry. Ta maź czerwona podbiegła hen aż pod wzgórze, użyczające schronienia wieśniakom. Zatomowana tem usypiskiem rzeczulka poczęła się rozlewać w jeziorko ceglastej barwy. Z wioski, z drogi, wiodącej ku kapliczce, z samej kapliczki i lasu poza nią nie pozostało ani śladu. Całe zbocze, na milę szerokości i na dwa tysiące pionowej wysokości, oderwało się od pnia góry i runęło w dolinę, równając wierzchołek swój z podnóżem.

Wieśniacy zaczęli jeden po drugim przekradać się przez las, by pomodlić się Purun Bhagatowi. Ujrzeni przy nim stojącego *barasingha*, który pierchnął na ich widok, posłyszeli żalosne kwilenie *langurów* pośród gałęzi, oraz rozpaczliwe jęki Sony, gdzieś na zboczu góry. Atoli sam Bhagat

już nie żył. Siedział nieruchomo na podwiniętych nogach, oparty o drzewo, trzymając kostur pod pachą, a twarzą obrócony w stronę północno-wschodnią. Kapłan, widząc to, przemówił:

— Zważcie, jaki to cud nad cudy! W takiej to postawie powinno się grzebać wszystkich *sunnyasich*. Przeto w tem miejscu, gdzie on spoczywa w tej chwili, zbudujemy świątynię naszemu świętemu człowiekowi.

Nim rok upłynął, postawili w tem miejscu świątynię z niewielkim ołtarzykiem kamiennym i ceglana kapliczką; na górze tej, którą nazwano górą Bhagata, po dziś dzień odbywają się nabożeństwa z świecami, kwiatami i ofiarami. Jednakże nikt z ludzi miejscowych nie domyśla się nawet, że świątek, któremu tu cześć oddają, jest to nieboszczyk Sir Purun Dass, K. C. I. E., D. C. L.*), Ph. D.***) etc., b. pierwszy minister postępowego i oświeconego państwa Mohiniwala, członek honorowy i członek-korespondent towarzystw naukowych o wiele liczniejszych, niżby ich było komukolwiek potrzeba na tym lub na drugim świecie.

*) Doctor of Civil Law — doktor praw.

**) Philosophiae Doctor — dr. filozofji.

PIEŚŃ KABIRA

Jakiż lekki był świat, który w dłoniach on ważył!
Jak ciężyły mu ziemie, nad którymi włodarzył!
Rzucił tron, wdział lachmany, wziął żebracze
bieszagi;
W tem przebraniu w świat ruszył — jako pątnik-
bairagi.

Biała droga do Delhi jest kobiercem nóg jego,
Sal i kihar w tej drodze od upałów go strzegą;
Domem jest mu włóczęga, ciżba ludzka, step nagi;
Szuka drogi Zbawienia święty pątnik-*bairagi*.

Człowiekowi się przyjrzał — i przewidział oczyma
(Kabir mówi: „Jest Jednia i prócz Jedni nic
niema“);
Znalazł Drogę, co pierwiej uszła jego uwagi,
Z oczu Krwawą Mgłę Złudy stracił pątnik-*bairagi*.

Żeby prawdy się uczyć, zbyć się błędnych omamień,
I za braci poczytać Bóstwo, zwierzę i kamień,
Rzucił dwór, przywdział lachman i żebracze bieszagi
(Kabir rzecze: „Słysz, człeczko!“) — i w świat ruszył
bairagi.

NAJAZD DŻUNGLI

Zaduśmy ich, skrępujmy w bujnych łodyg pęta,
o kwiaty i chwasty i ziola!
Niech głos ludzki, ich widok i woń ich przekłeta
w pamięci nam zatra się zgola!
Na ołtarzach leżący popiół gęsty, czarny
niech w świecie wichura rozproszy;
na polach niezasiałych niech się lęgną sarny
i nikt już ich odtąd nie spłoszy —
i niech nikt już nie mieszka wśród gruzów i zwalisk
w tej gluchej, zapadłej pustoszy!

Kto czytał opowiadania, zawarte w pierwszej Księdze Dżungli, przypomni sobie niezawodnie, jak to Mowgli, przytwierdziwszy skórę Shere Khana do Skály Narady, oznajmił niedobitkom wilczej gromady seconejskiej, że odtąd będzie polował w kniei samopas, — i jak cztery szczenięta Ojca-Wilka i Matki-Wilczycy oświadczyły, że będą wiernie towarzyszyły mu w łowach. Ale nielatwo to przychodzi zmienić odrazu tryb życia — szczególnie w puszczy. Przeto Mowgli, gdy mu się powiodło rozpędzić niesforną gromadę, przedewszystkiem udał się do ojczystej jaskini i przespał tam całą dobę.

Wypawszy się, jął opowiadać Ojcu Wilkowi i Matce Wilczyca wszystkie przygody, jakich zaznał pomiędzy ludźmi. Słuchali go oboje bardzo uważnie, starając się wszystko zrozumieć. Gdy zaś zaczął w blaskach wschodzącego słońca migotać klingą myśliwskiego noża — tego samego, którym wypatroszył Shere Khana — przyznali mu, że nauczył się przecie czegoś pożytecznego. Następnie przyszła kolej na Szarego Brata i Akelę, by opowiedzieli o swym pościgu za bawołami w wężozie. Baloo wygramolił się na sam szczyt góry, by posłuchać całej opowieści, a Bagheera gładziła się po puszystej sierści, uradowana sprawnością, jaką okazał Mowgli w owej walce.

Słońce już dawno wstało, atoli nikt nie zabierał się do spania. Matka Wilczyca raz po raz wznosiła łeb w górę i z rozkoszą wciągała w nozdrza cuch skóry tygrysy, nadlatujący z wiatrem od Skąły Narad.

— Ale gdyby nie Akela i obecny tu Szary Brat, nie dokazalby niczego! — rzekł Mowgli na zakończenie swej opowieści. — Ach, matko, matko! Gdybyś ty widziała, jak siwe buhaje gnały przez wążoz . . . i jak gracko wpadły przez wrota do wsi wówczas, gdy ludzka gromada obrzuciła mnie kamieniami!

— Cieszę się, że tego nie widziała — odpowiedziała chłodno Wilczyca. — Nie mam zwyczaju pozwalać, by moje dzieci odpędzono precz, niby bandę szakalów! Jabym nie omieszkała odplacić się należycie za to ludzkiej gromadzie; oszczędziła-

bym tylko tę kobietę, która karmiła cię mlekiem. Tak! tylko ją jedną pozostawiłabym przy życiu!

— Cicho, cicho, Raksha! — odezwał się Ojciec Wilk tonem niedbałym, — nasz żabuś powrócił do nas... tak mądry, że własny jego ojciec musi lizać jego stopy! Cóż wobec tego znaczy parę sińców na głowie? Dałabyś spokój ludziom!

A Baloo i Bagheera zawtórzyli:

— Dałabyś ludziom spokój!

Mowgli, przytuliwszy głowę do boku Matki Wilczycy, uśmiechnął się z zadowoleniem i oświadczył, że nie chce odtąd widzieć ludzi, słyszeć o nich, ani czuć ich zapachu.

— Ale co będzie, Braciszku, jeżeli ludzie nie zechcą zostawić cię w spokoju? — zagadnął Akela, nadstawiając jedno ucho.

— Nas jest pięciu! — warknął Szary Brat, rozglądając się po towarzyszach, poczem kłapnął głośno zębami.

— My też możemy przyłączyć się do łowów! — rzekła pantera Bagheera i śmignęła zlekka ogonem, patrząc porozumiewawczo na Baloo. — Ale czemuż mamy sobie teraz zaprzętać głowy człowiekiem, Akelo?

— Owszem, jest powód — odpowiedział Wilk-Samotnik. — Gdy rozwiesiliśmy na skale skórę tego żółtego rozbójnika, pobiegłem przebyłym już szlakiem w stronę wsi, zacierając kierunek śladów, zbaczając to w prawo, to w lewo, to wreszcie tarzając się po ziemi, by zbić ludzi z tropu, w razie, gdyby zamierzali nas ścigać. Gdy już tak spląta-

lem tor naszego biegu, że sam nie potrafiłbym go rozeznaczyć, nagle z pośród drzew cichym lotem wyfrunął nietoperz Mang i zawisłszy tuż nad moją głową, oznajmił: „W wiosce ludzkiej, skąd wygnano Szczenię Ludzką, słychać pobrzęk i gwar donośny, niby w gnieździe szerszeni!“

— Widać, że wrzuciłem spory kamień do tego gniazda! — zaśmiał się Mowgli, który nieraz zabawiał się wrzucaniem dojrzałych owoców papawy do gniazd szerszeni, poczem, ma się rozumieć, drałował zawsze, co sił w nogach w stronę najbliższego jeziora, gdzie żądliste owady nie mogły mu już nic zrobić.

— Zapytałem Manga, czy co widział. Odpowiedział mi, że Czerwone Kwiecie zakwitło u wrót wioski, a wokół niego zasiedli ludzie ze strzelbami. Otóż miałem sposobność przekonać się na własnej skórze — (to mówiąc, Akela przyjrzał się zastarzałym bliznom na bokach i grzbiecie) — że strzelby ludziom nie służą do zabawy. A teraz właśnie, gdy z tobą wiodę rozmowę, Braciszku, pewien człowiek szuka naszego tropu, być może nawet, że nań natrafił!

— W jakimże celu? Przecież ludzie wygnali mnie od siebie. Czegóż jeszcze im ode mnie potrzeba? — zapytał Mowgli z gniewem.

— Jesteś przecie człowiekiem, Braciszku! — odparł Akela. — Jakoż my, wolni łowcy, mamy ci tłumaczyć, co czynią twoi bracia i z jakiej przyczyny?

Ledwo starczyło mu czasu, by podnieść łapę

i uchronić ją przed ostrzem noża, który, przeciąwszy powietrze, zarył się głęboko w ziemię. Ruch, który wykonał był Mowgli, uszedłby baczności człowieka, atoli Akela nie był człowiekiem, lecz wilkiem; wszak nawet pies, który bardzo się już odrodził od swego pradziada, dzikiego wilka, potrafi zbudzić się z najgłębszego snu, gdy nadjeżdża wóz, i uskoczyć bez szwanku w porę przed mogącemi go stratować kołami.

— Na przyszły raz pamiętaj, że nie wolno jednym tchem mówić o mnie i o ludzkiej hałastrze! — rzekł Mowgli, chowając spokojnie nóż do pochwy.

— Fiu-u! To ci ostry kiel! — rzekł Akela, obwąchując ślad noża w ziemi. — Powiem ci jednak, Braciszku, że pożycie z ludźmi źle wpłynęło na sprawność twego wzroku. Przez ten czas, gdyś ty na mnie się zamierzał, jabym już dawno zabił kozła!

Bagheera zerwała się na równe nogi, zadarła łeb w górę i jęła węszyć, prężąc się każdą krzywizną swego ciała. Szary Brat poszedł wlot za jej przykładem, stając nieco na lewo od niej celem lepszego rozpoznania wiatru, ciągnącego z prawej strony, jednocześnie zaś Akela pomknął pięćdziesiąt sążni pod wiatr i przypadł do ziemi, również prężąc się na całem ciełe. Mowgli patrzył na nich z zazdrością. Umiał węszyć, jak mało kto z ludzi, jednakże nigdy nie udało mu się zdobyć subtelnej wrażliwości węchu, jaką odznaczają się zwierzęta puszczy, zresztą trzy miesiące pobytu w kurnej

chacie wiejskiej oddziaływały nań pod tym względem nader niekorzystnie. Mimo wszystko poślinił palec, potarł nim koniec nosa i stanął prosto, by chwycić górny cuch, który, choć najslabszy, jest przecie najpewniejszy.

— Człowiek! — warknął Akela, przysiadając na tylnych łapach.

— Buldeo! — dodał Mowgli, kładąc się na ziemi. — Idzie wtrop za nami... Patrz, tam słońce odbłysło od jego strzelby!

Był to zaledwie jeden błysk mosiężnych sworzni starego towerskiego muszkietu — błysk, który trwał bodaj że ćwierć sekundy, atoli w dżungli nigdy nic nie błyska się w sposób podobny — chyba, że po niebie pędzą gromowe chmury; wówczas istotnie lada okruch miki, najmniejsza kaluża wody, a nawet co gładsze liście błyskają zdala, jak telegraf świetlny. Atoli ów dzień był bezchmurny i spokojny.

— Wiedziałem, że ludzie puszczą się za nami w pościg! — zawołał Akela z triumfem. — Nie-darmo byłem Hersztem Gromady!

Cztery wilczęta nie odpowiedziały nic na to, tylko na brzuchach zczółgały się ze wzgórza i zaszyły się w gąszcz krzaków.

— Dokąd idziecie... tak bez słowa? — zahukał na nich Mowgli.

— Pst! Nim nadejdzie południe, przytaszczy-my tu jego czaszkę! — odpowiedział Szary Brat.

— Wracać! — krzyknął Mowgli. — Wracać i czekać! Człowiek nie zjada ludzi!

— A któż to był przed chwilą wilkiem? Kto dobył na mnie noża za to, iżem go uważał za człowieka? — zaśmiał się Akela, gdy czwórka wilcząt zawróciła z drogi, acz z wielką niechęcią, i układła się w ordynku obok Mowgliego.

— Czyż mam się wam tłumaczyć z wszystkiego, co mam ochotę uczynić? — burknął Mowgli z wściekłością w głosie.

— To człowiek! Tak przemawia człowiek! — mruknęła Bagheera pod wąsem. — W ten właśnie sposób rozmawiali ludzie koło klatek zwierzyńca królewskiego w Oodeypore. My, starzy obywatele dżungli, wiemy, że człowiek jest ze wszech istot najmędrszy... choć sądząc z tego, co słyszymy, moglibyśmy go uważać za najgłupszą istotę pod słońcem.

I podniósłszy głos, dodała:

— Tym razem ludzkie szczenię ma słuszność. Ludzie polują gromadnie. Zabijanie jednego, dopóki nie wiemy, co inni zamierzają uczynić, to niedobry sposób polowania. Chodźmy zobaczyć, jakie zamiary ma względem nas ten człowiek.

— Nie pójdziemy! — zawarczał Szary Brat. — Poluj w pojedynkę, Mały Bracie! My wiemy, jakie są nasze zamiary! Teraz możnaby w sam raz przynieść czaszkę tego nędznika!

Mowgli spoglądał kolejno to na jednego, to na drugiego ze swych przyjaciół; pierś mu falowała, a oczy napelnione były łzami. Postąpił naprzód i przyklękawszy na jedno kolano, przemówił:

— Więc ja nie wiem, jakie są moje zamiary?
Spójrzcie na mnie!

Zwierzęta z nieukrywaną niechęcią posłuchały rozkazu; ilekroć odwróciły głowy, Mowgli natychmiast przywoływał je ponownie i wpatrywał się w nie uporczywie, aż im się wkońcu sierść zjeżyła ze strachu i poczęły drżeć na całym ciele.

— A teraz kto z nas pięciu będzie wodzem? — zapytał Mowgli.

— Ty, ty, Maly Bracie! — odrzekł Szary Brat, liżąc stopy Mowgliego.

— A więc za mną! — zakomenderował Mowgli, a cała czwórka ruszyła za nim potulnie, podkułwszy ogony.

— To są skutki obcowania z ludzką gromadą! — zauważyła Bagheera, wlokąc się za nimi. — Ej, Baloo, jest-ci w puszczy rzecz niejedna, o jakiej się nie śniło Prawom Dżungli!

Stary miś nie odrzekł nic, ale co myślał, to myślał...

Mowgli przedzierał się bezszelestnie przez knieję, zmierzając boczkim ku ścieżce, którą szedł Buldeo. Niebawem, rozchyliwszy krzaki, ujrzał starego myśliwca z muszkietem na ramieniu, biegnącego truchcikiem wzdłuż śladu zprzed dwóch dni.

Przypominacie sobie zapewne, że Mowgli uciekł był od wioski, dźwigając na plecach ciężką skórę, zdartą z Shere Khana, a za nim pomknął Szary

Brat i Akela; ślady ich, jak łatwo zgadnąć, uwydatniały się na ziemi bardzo wyraziście. Postępując z tropu w trop, Buldeo dotarł do miejsca, gdzie, jak wiadomo, Akela, zawróciwszy z drogi, pozacierał poza sobą i poplątał wszystkie ślady. Usiadł tu stary strzelec, chrząknął, burknął coś pod nosem i jał bacznie rozglądać się na wszystkie strony, by rozplątać ową gmatwaninę — a przecie każdej chwili mógł rzutem kamienia dosięgnąć tych, którzy nie spuszczaali go z oka. Nikt nie potrafi sprawiać się tak cicho, jak wilk, gdy nie chce, by go posłyszano — a Mowgli, choć wedle zdania wilków poruszał się bardzo niezgrabnie, przecie umiał przemykać się jako cień niepostrzeżenie. Otoczyli starego wygę, jak stadko delfinów opasuje statek, pędzący całą siłą pary — i gawędzili przytem niefrasobliwie, gdyż mowa wilcza zaczyna się poniżej skali głosów, uchwyt-nych dla niewprawnego ludzkiego ucha. Przeciwległym punktem tej skali jest gwizd nietoperza Manga, tak wysoki, że większość ludzi nie słyszy go wcale. Od tego tonu w górę rozpoczynają się wszelkie rozmowy ptaków i owadów.

— Hej, tu można się lepiej ubawić, niż na polowaniu! — rzekł Szary Brat, gdy Buldeo schylał się, oglądał bacznie ślady, sapał i mrucał coś gniewnie. — Ten człowiek wygląda jak warchlak, zbłąkany w kniei nad rzeką. Cóż on tak wygaduje pod nosem?

Mowgli jał tłumaczyć słowa ludzkie na język wilczy.

— On mówi, że chyba całe stada wilków hasały koło mnie... Mówi, że takiego śladu jeszcze nie widział nigdy w życiu... Mówi, że już się zmęczył...

— Wypocznie sobie, zanim natrafi na właściwy trop — rzekła chłodnym głosem Bagheera, przesuńjąc się koło pnia i przyłączając się do tej gry w ciuciubabkę, w jaką zabawiały się wilczęta.

— No, i cóż porabia ta chuda istota?

— Polyka dym, albo go wypuszcza ustami. Ludzie zawsze tak się zabawiają — odpowiedział Mowgli.

Czatownicy poczęli przyglądać się strzelcowi, który tymczasem nabił *huqa**) tytoniem, zapalił i począł z niej pykać. Zapamiętali sobie dobrze zapach tytoniu, by w razie czego móc rozpoznać Buldea nawet w najczarniejszych mrokach nocnych.

Niebawem pojawiła się na ścieżce gromadka węglarzy. Zatrzymali się, rzecz oczywista, by pogawędzić z Buldeo, którego sława myśliwska rozbrzmiewała co najmniej na dwadzieścia mil wokół. Usiedli i zapalili fajki, zasię Bagheera i towarzysze podeszli bliżej, by przyjrzeć się lepiej Buldewi, który tymczasem jął opowiadać od samego początku historję o djabłatku Mowglim, nie szczędząc przytem nowych dodatków i upiększeń. Opowiedział więc, jak to w rzeczy samej on,

*) Fajkę z chłodnicą.

Buldeo, zabił Shere Khana; jak Mowgli zmienił się w wilka i walczył z nim przez całe pół dnia, poczem przybrał zpowrotem postać chłopca i czarował mu strzelbę myśliwską tak, iż kula poszła w bok i trafiła jednego z bawołów Buldeowych; jak to wreszcie mieszkańcy wioski, wiedząc, iż Buldeo jest najlepszym strzelcem w Seonee, wysłali go, by zabił owo djablątko, przyczem uwięzili, jako zakładników, Messuę i jej męża, którzy byli niewątpliwie rodzicami tego piekielnika. Zamknięto oboje w ich własnej chałupie i właśnie miano ich poddać męczarniom, by wymusić od nich zeznanie, iż są czarownikami, poczem czekała ich śmierć na stosie.

— Kiedyż to nastąpi? — zapytali węglarze, gdyż mieli wielką ochotę być świadkami tego obrzędu.

Buldeo odpowiedział, że nic nie stanie się przed jego powrotem, gdyż wieśniacy domagali się, by on w pierw zgladził chłopca; dopiero wtedy bowiem będą mogli rozprawić się z Messuą i jej mężem, oraz podzielić między siebie ich grunta i bawoły... a wspomnieć się godzi, że mąż Messui miał niezgorsze stado bydła. Tępienie czarowników, jak mniemał Buldeo, było rzeczą chwalebną, a już chyba nie było gorszych czarowników nad tych, którzy wywołali wilka z lasa — i chowali go u siebie.

— Hm! — rzekli węglarze. — Ale co to będzie, kiej o tem posłyszają Anglikowie? Dyć te Angliki, jak o nich opowiadano, to istne waryjaty, co po-

rządnym ludziskom nie pozwalają w spokoju ducha mordować czarowników.

— Eee! — lekceważąco odpowiedział Buldeo. — Jest na to sposób! Wójt pójdzie do władzy i zrobi doniesienie, że Messua i jej mąż zmarli wskutek ukąszenia żmii. To wszystko już przewidziano... teraz pozostało tylko zabić tego wilkołaka. Widzieliście może kiedy takie dziwo?

Węglarze rozejrzeli się bojaźliwie wokół, i dziękowali niebiosom, że nie spotkali się nigdy z wilkołakiem; nie mieli jednak najmniejszej wątpliwości, że jeżeli kto, to Buldeo potrafi go wytropić. Słońce już nachyliło się ku zachodowi, więc węglarze wstali, gdyż mieli ochotę pójść do wioski i obaczyć straszną czarownicę. Słyszając to, Buldeo oświadczył, że choć uważa za swą powinność zabicie djabłatka, to jednak nie może pozwolić na to, by garstka ludzi bezbronnych wędrowała bez jego osłony przez puszcę, gdzie każdej chwili może przed nimi pojawić się upiorny wilkołak; zdecydował się przeto im towarzyszyć, a gdyby ów czarci syn zaszedł im drogę — ho! ho! — wówczas on, Buldeo, najlepszy strzelec w Seeonee, będzie wiedział, jak sobie z nim poradzić!... wszak otrzymał od bramina amulet, zabezpieczający go najzupełniej przed mocą złych uroków.

— Co on gada?... co on gada? — dopytywały się wilki co chwilę. Mowgli tłumaczył im słowo za słowem, póki nie doszedł do opowieści o czarownikach; ponieważ niebardzo ją rozumiał, więc

poprzestał na oznajmieniu, że ów mężczyzna i kobieta, którzy byli dla niego tak dobrzy, znajdują się w pułapce.

— Więc ludzie zastawiają pułapki i na ludzi? — zapytał Szary Brat.

— On tak opowiada. Nie mogę się w tem wszystkim połapać. Oni chyba wszyscy poszaleli... Nie wiem, co Messua i jej mąż mają wspólnego ze mną, że ich wtrącono do pułapki... i czemu to oni tyle bają o Czerwonym Kwieciu. *) Muszę przyjrzeć się temu osobiście. Cokolwiek zamierzają uczynić z Messuą, nie uczynią tego, póki Buldeo nie wróci. A więc...

Tu Mowgli zamyślił się głęboko, przebierając palcami po rękojeści noża. Tymczasem Buldeo i węglarze ustawili się gęsiego i różnym krokiem ruszyli w stronę wioski.

— Pójdę, co żywo, tam, gdzie mieszka ludzka gromada! — odezwał się nakoniec Mowgli.

— A co będzie z nimi? — zapytał Szary Brat, patrząc łapczywym wzrokiem na brunatne plecy węglarzy.

— Zaśpiewaj im „czas do domu, czas!“ — zaśmiał się Mowgli. — Nie chciałbym, by stanęli u wrót wioski jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu. Czy potrafisz opóźnić ich przybycie?

Szary Brat pogardliwie wyszczerzył zęby.

— E, wielka mi sztuka! Potrafię wodzić ich

*) Ogień.

wkółko, jak uwiązane kozy! Przecie znam się na ludziach...

— Nie wymagam tego, byś tak z nimi tańczył, jak wilk z kozą. Śpiewaj im tylko, ot tak troszkę, żeby się im nie cniło w drodze, — ale, proszę cię, Szary Bracie, nie dobieraj nuty zbyt czulej. Ty, Bagheero, idź też z nimi i wtóruj im w tej pieśni. Gdy się ściemni zupełnie, spotkamy się przy wiosce... Szary Brat będzie wiedział, w którym miejscu...

— Ej, to prawdziwa mordęga takie lowy! Łażże, bestyjo, z tropu na trop, dla jakiegoś tam ludzkiego szczenięcia! Kiedyż się wyśpię! — mamrotała Bagheera poziewując, ale oczy świadczyły, że jest zachwycona zabawą. — Słyszane rzeczy! Mam przyśpiewywać do marszu golasom, ludziom! Ale nie zawadzi spróbować!

Zniżyła głowę, by głos mógł popłynąć swobodnie i długo, przeciągle, zawyla hasło „Pomyślnych lowów!“ — owo hasło godziny północnej, które brzmi najstraszliwiej, gdy się odezwie w porę przedwieczorną. Mowgli, pomykający chyżo przez dżunglę, śmiał się do rozpuku, słysząc za sobą owo pienie, co rozległo się pogrzmotem echa, spotężniało, potem jęło słabnąć, aż skonało, zamknięte przytłumionym skowytom. Widział, jak węglarze zbili się w gromadkę, — jak lufa Buldeowego muszkietu kręciła się na wszystkie strony, niby liść bananu. A oto już Szary Brat zagrał groźną pobudkę myśliwską *Ya — la — hi! Ya — la — ha!* — używaną w czasie polowania na anty-

lopy, gdy wilcze stado pędzi przed sobą siwą samicę *nilghai*.) Zew ten biegł kędyś zdaleka, jakby z samych krańców świata, i coraz to się zbliżał, zbliżał i zbliżał, aż zakończył się przeraźliwym wrzaskiem, urwanym z nagłą, jakby zdławionym. Odpowiedziały mu trzy inne głosy — tak donośnie, iż nawet sam Mowgli gotów był przysiąc, że słyszy zespół całej wilczej gromady — a nagle wszystkie wraz zanuciły wspaniałe Hejnał Dżungli, nie szczędząc wszelkich wywijasów, fanfar i ozdobników, na jakie tylko zdobyć się może przepastna gardziel stadnego wilczura. Poniżej podajemy nakreślony odręcznie tekst słowny owej pieśni; zamykając oczy na usterki opracowania, wyobraźcie sobie, jak straszliwie brzmieć muszą te zwrotki, gdy zakłóca popołudniową drzemkę kniei:

Jeszcze ot przed godziną, gdyśmy szli tą równiną,
nie majaczył na ziemi cień mgławcy;
teraz cieniów gromada wład za nami się skrada,
a my do dom wracamy z wyprawy.
W cichym rannym pomroku już widoczne są oku
kępy krzewów, zrąb skal, drzew korony —
więc podniemy wołanie: *Czas już spocząć każdemu,
kto przestrzega praw dżungli zielonej!*

Teraz nocni włóczędzy w gąszcz się kryją czempredzej,
nie chcąc skóry narażać i rogów;
teraz chylkiem i milczkiem lampart z dzikiem i wilczkiem
powracają do jam i barlogów.

*) Rodzaj antylopy. Przewisko to nosi jeden z przyjaciół Dicka Heldara w powieści Kiplinga „Światło, które zagasło”. (P. tł.)

Już po roli, po łęgu idą woły w zaprzęgu:
do roboty je ludzie zaprzęgli!

Zorza — błada, nieśmiała — blaskiem krwawym już pała,
jako Kwiecie Czerwone wśród węgla.

Hej, kto żyw! w łęgowska! Bo już słońce rozbłyska
ponad trawą szumiącą i bujną;
przez trzciny młodych łąn gęsty ciągną szmery i chrzęsty,
jakby straż tam odprawiał ktoś czujną.
Blask nas razi, co dnieje — a więc, biegnąc przez knieję,
mrużym ślepią, by widzieć zdaleka;
a na niebie złowieszczą dzikie kaczkę gdzieś wrzeszczą:
„Dzień już nastał — czas władzy człowieka!”

Na ścieżynach już docna wyschła rosa ta nocna,
ode której grzbiet cały nam wilgnał;
a tam, kędyśmy pili, pełno błota w tej chwili —
i do hrzegów muł przywarł i przyłgnał.
Ciemność, podła zdrajczyni, jawnym każdy ślad czyni,
kędy przeszły pazury lub szpony.
Więc słuchajcie wezwania: *Czas już spocząć każdemu,
kto przestrzega praw dżungli zielonej!*

Jednakowoż żaden przekład nie jest mocen
oddać wrażenia, jakie pieśń ta wywiera, ani też
przeraźliwie brzmiącej nuty szyderstwa, jaką
czwórka wilków przesyciała każde słowo, słysząc,
jak gałęzie drzew trzeszczały pod ciężarem wdra-
pujących się na nie ludzi, i jak Buldeo mruzczał
coraz to inne modły i zaklęcia. Odśpiewawszy
pieśń całą, wilczki pokładły się i zasnęły, albo-
wiem — narówni z wszystkimi istotami, żyjącymi
własnym przemyśleniem — miały usposobienie bar-
dzo pedantyczne i wiedziały, że nie pracuje
dobrze, kto się dobrze nie wyśpi.

Tymczasem Mowgli mknął przed siebie z szybkością dziewięciu mil na godzinę, radując się, iż po tylu miesiącach gnuśnego życia pomiędzy ludźmi nie utracił przecie gibkości i zwinności ciała. W głowie tętniła mu jedyna myśl — by wyswobodzić z pułapki Messuę i jej męża; do wszelkich bowiem pułapek, jakiegokolwiekby one były, czuł wielką niechęć i nieufność. Pozatem obiecywał sobie, że zacznie spłacać z nawiązką wszystkie długi, jakie zaciągnął wobec mieszkańców wioski.

Już się zmierzchało, gdy obaczył pamiętne pastwiska oraz drzewo *dhak*, gdzie oczekiwał go Szary Brat w ów rano, gdy urządzano obławę na Shere Khana. Pomimo całej zawziętości, jaką Mowgli żywił w stosunku do społeczności ludzkiej, coś zaczęło dusić go w gardle, gdy spozierał na dachy wioski. Zauważył, że wieśniacy wrócili z pół niezwykłe wcześniej i, zamiast wziąć się do wieczery, zgromadzili się tłumnie pod figowcem i wiedli z sobą ożywioną rozmowę, często gęsto przerywaną krzykami.

— Ludzie wciąż muszą na siebie wzajem zastawić pułapki — mówił w duchu Mowgli. — Bez tego żyć nie mogą. Dwie noce temu zastawili ją na Mowgliego... choć wydaje się, jakoby już wiele pór deszczowych minęło od tego czasu. W dzisiejszą zaś noc podobny los ma spotkać Messuę i jej męża. Jutro... a może w jedną z nocy późniejszych... przyjdzie znów kolej na Mowgliego.

Jął skradać się wzdłuż wału, póki nie doszedł do znajomej sobie chaty. Zajrzawszy przez okno wgląb izby, obaczył Messuę. Leżała na ziemi, mając pęta na rękach i nogach, a w ustach knebel; nie mogąc krzyczeć, jęczała i dyszała ciężko. Mąż jej był przywiązany do jaskrawo malowanego łoża. Drzwi chałupy, wychodzące na ulicę, były na noc zamknięte, tuż zaś siedziało kilku mężczyzn, opierając się o nie plecami.

Mowgli znał doskonale obyczaje i nalogi więźniaków. Miał nieraz sposobność przekonać się, że póki jedzą, gawędzą i palą fajki, póty są nieszkodliwi; ale gdy się najedzą, to już nie pokazują się im na oczy! Lada chwila mógł powrócić Buldeo, a jeżeli wilczki wywiążą się należycie ze swego zadania, to stary łgarz będzie miał wątek do nader zajmującego opowiadania! Wziąwszy to wszystko pod uwagę, Mowgli przelazł szybko przez okno, pochylił się nad więźniami, przeciął im więzy, wyjął z ust kneble i rozejrzał się po izbie, by znaleźć choć odrobinę mleka.

Messua, którą bito i kamienowano przez dzień cały, była bliską szaleństwa, przeto Mowgli w samą porę zatkał jej usta dłonią, by zapobiec krzykom. Jej mąż, choć gniewny i oszolomiony, usiadł spokojnie i zaczął wygarniać kurz i śmieci z rozwichrzonej brody.

— Wiedziałam . . . wiedziałam, że on przyjdzie — zaszlochala Messua. — Teraz już wiem na pewno, że to mój syneczek!

To rzekłszy, chwyciła Mowgliego i przycisnęła go do serca.

Do tej chwili Mowgli doskonale panował nad sobą, teraz jednak — ku niezmiernemu swemu zdumieniu — zaczął drżeć na całym ciele.

— Do czego służą te pęta? Czemu cię związano? — zapytał po chwili milczenia.

— A czemużby, jak nie dlatego, żeśmy cię przyjęli za syna? — odrzekł posepnie mężczyzna.

— Skazano nas za to na śmierć. Patrz! ze mnie krew ciecze.

Messua nic nie mówiła, ale Mowgli przyjrzał się uważniej jej ranom... i słyhać było, jak zgrzytał zębami na widok krwi płynącej.

— Czyja to sprawka? — zapytał. — Trzeba będzie za to komuś zapłacić.

— To robota całej wsi. Byłem zbyt bogaty... miałem za wiele bydła... Przeto uznano nas za czarowników, i żeśmy cię przytulili w chałupie.

— Nic z tego nie rozumiem. Niech Messua opowie wszystko, jak było.

— Tożem ci dała mleka... czy se to przypominasz, Nathoo? — odpowiedziała Messua bojaźliwym głosem. — Boś ty był moim synaczkiem, zabranym mi przez tygrysa, a jam cię kochała tak gorąco. A oni powiedają, że ja, twoja matka, jestem matką djabła, a więc zasługuję na śmierć.

— A cóż to djabeł? — zapytał Mowgli. — Śmierć to już widywałem, ale djabła nie...

Mężczyzna spojrzal z pod brwi posepnie, Messua zaś roześmiała się.

— Widzisz! — rzekła do męża. — Wiedziałam i powiadałam ci, że on nie jest nijakim czarownikiem. To mój syn!... mój syn!

— Cicho — mruknął mąż. — Syn, czy czarownik, jedno lichy! Wiele nam z tego nie przyjdzie, kiej już wnetki wyciągniemy kopyta!

— Droga przez puszcę stoi przed wami otworem — odrzekł Mowgli, wskazując palcem okno. — Zdjąłem wam pęta z rąk i nóg. Jesteście wolni. Uciekajcie!

— Dyc nie znamy puszczy... tak, jak... ty ją znasz, mój synaczku! — jęła mówić Messua. — Widzi mi się, że pewnikiem nie polezę daleko!

— A chłopci i baby wejdą nam na kark i sprowadzą nas tutaj zpowrotem — dodał mąż.

— Hm! — mruknął Mowgli i poskrobał się w dłoń ostrzem noża. — Narazie nie pragnę wyrządać szkody żadnemu z mieszkańców wioski. Ale sądzę, że oni nie będą cię zatrzymywali. Oho! — zadziwił się, podnosząc głowę i zaczął przysłuchiwać się wrzawie głosów i kroków ludzkich we wsi. — A więc nareszcie udało się Buldeowi wrócić do domu?

— On wyprawił się dziś rano, żeby cię sprzątnąć ze świata! — zawołała Messua. — Czy spotkałeś się z nim?

— Tak! spotkaliśmy... to jest spotkałem się z nim! Teraz on musi opowiedzieć ludziom nader ciekawą historję... a przez ten czas, gdy ją będzie opowiadał, można dokonać niejednej rzeczy. Ale w pierw muszę się dowiedzieć, jakie

oni knują zamiary. Namyślcie się, dokąd macie powędrować, a gdy wrócę, opowiecie, coście postanowili.

Wyskoczył przez okno i jął biec znów wzdłuż muru wioski, póki nie dotarł do miejsca, skąd było widać tłum, zgromadzony pod figowcem. Buldeo leżał na ziemi, kaszląc i wzdychając, a obecni zasypywali go pytaniami. Włosy rozsypały mu się w nieładzie po ramionach; ręce i nogi miał odrapane wskutek łażenia po drzewach, a słowa więzły mu w gardle — mimo to czuł się osobą ważną, niejako władcą w tem ludzkim gronie. Od czasu do czasu mruknął coś o djabłach, djablich śpiewach i czarodziejskich zaklęciach... ot, żeby zaostrzyć ciekawość na to, co miało nastąpić. Niebawem zażądał wody.

— No, no! — mruknął Mowgli. — Baj, baj! Pleć, pleciugo, byle długo! Ludzie są bliskimi krewniakami *bandar-logu*. Teraz on sobie będzie plukał gębę wodą... potem sobie zakurzy fajkę... a gdy już odprawi te wszystkie obrządki, zacznie opowiadać duby smolone! To-ci mądrale z tych ludzi! Nikt nie będzie pilnował Messui, póki sobie nie nabiją uszu Buldeowemi bajędami. A ja... ja staję się tak leniwy, jak oni!

Otrząsnął się i wymknął się zpowrotem do chaty. Właśnie dochodził do okna, gdy poczuł jakieś lepkie dotknięcie w nogę.

— Matko! — odezwał się, bo dobrze mu było znane ciepło języka wilezycy. — Co ty tu porabiasz?

— Posłyszałam, jak synowie moi śpiewają w lesie, i poszłam w ślad za tym, którego miluję nad życie. Chciałabym bardzo, Mała Żabko, zobaczyć tę kobietę, która karmiła cię mlekiem — mówiła Matka-Wilczyca, cała nasiąkła od rosy.

— Ludzie ją związali i chcieli zabić. Przeciąłem jej pęta, a teraz ona ujdzie w puszcę wraz ze swym mężem.

— Pójdę i ja za nimi. Jestem stara, ale jeszcze nie straciłam zębów.

To rzekłszy, Matka-Wilczyca wspięła się w górę i zajrzała przez okno w mrok chalupy. Po chwili zsunęła się cicho na ziemię i rzekła krótko:

— Ja pierwsza karmiłam cię mlekiem, ale prawdę mówi Bagheera, że człowiek wkońcu wraca do ludzi.

— Być może — odparł Mowgli z wyrazem niezadowolenia na twarzy, — ale w noc dzisiejszą nie myślę iść tą drogą. Zaczekaj tutaj, ale staraj się, by cię nie dostrzeżono.

— Ty nigdy nie bałeś się mnie, Żabusiu — rzekła Matka-Wilczyca, chowając się w wysoką trawę, co czynić umiała wybornie.

— Teraz oni, jak muchy, obsiedli Buldeo, który im opowiada niestworzone historie. Gdy się skończą te koszalki-opalki, ludzie (jakom słyszał) przyjdą tu z Czerwonem Kwieciem... chciałem powiedzieć — z ogniem... i spalą was oboje. A więc...?

— Jużem rozmawiała z mym chłopem — rzekła Messua. — Prawda-ć, że Kanhiwara jest aż

o trzydzieści mil stąd, ale w Kanhiwarze znajdzie-
wa Anglików . . .

— Cóż to za plemię? — zapytał Mowgli.

— A dyć sama nie wiem. To tacy dziwni biali
ludkowie, co podobno rządzą całym krajem i nie
pozwalają palić ludzi, a nawet bić ich, gdy niema
dowodu winy. Jeżeli się tam dostaniesz dziś nocą,
to życie nasze uratowane. Jeżeli się nie uda, to
trza uświerknąć!

— A więc ratujcie życie. Dziś nocą nikt nie
wyrzy z chałupy. Ale cóż to on tam wyrabia?

Mąż Messui ukląkł w kącie chałupy i obiema
rękami rozgrzebywał ziemię.

— To trochę pieniędzy, jakie on sobie usparo-
wał — wyjaśniła Messua. — Nic innego nie może-
my z sobą zabrać.

— Pieniądzy? — rzekł Mowgli. — Aha! To
takie coś, co wędruje z ręki do ręki i nigdy się
nie zagrzeje. Czy poza tą wsią ludzie też się tem
posługują?

Mąż Messui spojrział gniewnie.

— To nie djabeł, ale głupiec! — zamruczał. —
Dyć za pieniądze mogę se kupić konia. Jesteśwa
tak potluczeni, że trudno nam będzie wlec się
prędzej, a za godzinę cała wioska pewnością puści
się w pogoń za nami.

— Ręczę ci, że nikt was nie będzie ściгал!
Już moja w tem głowa! W każdym razie przydałby
ci się konik, bo Messua jest zmęczona setnie.

Chłop wstał i zawiązał resztę rupij w połę
kaftana. Messua z pomocą Mowgliego przełaziła

przez okno. Orzeźwil ją chłodny dech nocy, ale dżungla na tle gwiazdzistego nieba wydała się kobiecinie nader ciemną i straszną.

— Czy znacie drogę do Kanhiwary? — szepnęła Mowgli.

Skinęła głową.

— To dobrze... A teraz pamiętajcie, że nie macie czego się lękać. Nie potrzebujecie też przyspieszać kroku... Tylko... tylko chciałem was uprzedzić, że od czasu do czasu posłyszycie w dżungli za sobą albo przed sobą, jakieś niewinne pośpiewywania.

— To ty se myślisz, że odważylibyśmy się spędzić noc w puszczy, gdyby nam nie była straszno umierać w ogniu? Dyć lepiej uświerknąć od zębisków wilczych, niż z rąk ludzi! — zamruczał mąż Messui, ale Messua spojrziała na Mowgliego i uśmiechnęła się.

— Powiadam wam — mówił dalej Mowgli tym tonem, jakim przemawiał Baloo, gdy pakował odwieczne prawo dżungli w głowę jakiegoś roztrągniętego wilczęcia, — powiadam wam, że ani jeden kiel w całej dżungli nie wyszczerzy się przeciw wam i ani jedna łapa przeciw wam się nie podniesie. Żaden człowiek ani zwierzę nie poważy się stanąć wam na przeszkodzie, póki nie dojdziecie do samej Kanhiwary. Będziecie mieli straż przy sobie.

Tu zwrócił się szybko w stronę Messui i dodał:

— On niedowierza moim słowom... Ale ty chyba mi ufasz?

— Juści, juści, synaczku, że ci wierzę. Już ta o to nie stoję, kto będzie szedł z nami: czy człowiek, czy duch, czy wilczyśko.

— On się przestraszy, gdy posłyszysz śpiew mego plemienia, ale ty będziesz wiedziała, co to się dzieje. No idźcie już, idźcie, ale powoli, bo niema co się śpieszyć. Wrota są pozamykane.

Messua rzuciła się z szlochaniem do stóp Mowgliego. Chłopak drgnął i podniósł ją z ziemi. Wówczas ona zawisała mu na szyi i poczęła go obsypywać błogosławieństwami. Natomiast mąż wodził zawistnym wzrokiem po swoich niwach.

— Jeżeli uda się nam dotrzeć do Kanhiwary i uzyskam posłuchanie u Anglików, to wytoczę braminowi, staremu Buldeowi, i ich kamratom taki proces, że z całej wsi ledwo szczątki zostaną! Muszą mi oni w dwójnasób zapłacić za moje niezżęte zasiewy i niewypasione bydło. Sprawiedliwość być musi!

Mowgli roześmiał się.

— Nie wiem, co to sprawiedliwość, ale... przyjdźcie tu w najbliższej porze deszczowej, to zobaczycie, co tu się jeszcze ostanie z całej wioski.

Oni ruszyli w stronę dżungli, a Matka-Wilczyca wyskoczyła ze swej kryjówki.

— Idź za nimi, matko, i pilnuj, by cała dżungla wiedziała, że nie wolno krzywdzić tych dwojga. Odzywaj się co czas pewien. Ja tymczasem przywołam Bagheerę.

Przeciągle, ponure wycie zabrzmiało i umilkło. Mowgli spostrzegł, że mąż Messui zawraca z drogi

i już namyśla się, czyby nie pobiec zpowrotem do chałupy.

— Idźcie bez trwogi! — krzyknął Mowgli głosem zachęcającym. — Wszak mówiłem, że nie obejdzie się bez śpiewu. To wołanie towarzyszyć wam będzie aż do Kanhiwary. Jest to znak, że dżungla darzy was swą życzliwością.

Messua popchnęła męża. Ruszyli naprzód — wraz z Matką-Wilczycą, idącą wślad za nimi. Niebawem wszyscy troje zniknęli za nieprzebitą ścianą ciemności. W tejże chwili cień jakiś zjawił się u stóp Mowgliego. Była to Bagheera. Drżała na całym ciele, upojona czarem nocy, oszołomiającym wszelkie leśne zwierzęta.

— Wstydzę się twoich braci — miauknęła zcicha.

— Czemuż to? Czyż nieładnie przyśpiewywali Buldeowi? — zdziwił się Mowgli.

— Aż za pięknie! Za pięknie! Tak mnie oczarowali, że nie bacząc na własną godność (klnę się na kratę przeze mnie wylamaną!) szłam za nimi przez puszcę, śpiewając, jakgdybym się wybierała na marcowe miaukoty! Słyszałeś nasz śpiew?

— Jam przez ten czas inną tropił zwierzynę. Zapytaj Buldea, czy mu się podobały wasze śpiewy. Ale gdzież jest czwórka mych braci? Chcę, by dziś nocą nikt z ludzi nie wychodził poza wrota.

— POCO CI AŻ CZTERECH DO TEGO? — odburknęła Bagheera, poczem jęła przestępywać z nogi na nogę, mrucząc głośniejsz, niż zazwyczaj, i sypiąc

skry z oczu. — Ja sama dam sobie radę z ludźmi. Czy już nareszcie rozpoczęły się łowy? Owo śpiewanie oraz widok ludzi, wdrapujących się na drzewa, obudziły we mnie żyłkę myśliwską. Czemuż to mamy bawić się w takie cegiele z człowiekiem... tym brunatnym golasem... bezwłosym i bezzębnym oraczem i zjadaczem ziemi? Ścigałam ich przez dzień cały... przy jarkim blasku słonecznym. Gnałam go, jak wilki ganiają kozła. Jam-ci jest Bagheera! Bagheera! Bagheera! Jak teraz tańczę z tym oto moim cieniem, tak tańczyłam z ludźmi...

Rzekłszy to, olbrzymia pantera podskoczyła w górę, jak skacze młode kociątko na widok zeschłego listka, trzęsącego mu się nad głową, — jęła bić łapami powietrze, co świszczowało głośno za każdym uderzeniem, i opadła bez szelestu na ziemię. Powtórzyła to wszystko jeszcze raz jeden, drugi, trzeci — i wydając przez cały ten czas nito jęk, nito głuche warczenie, podobne do świstu pary, ulatniającej się z hulgocącego imbryka.

— Jam jest Bagheera! Bagheera! Jest noc, a jam jest w puszczy i siła moja jest we mnie! Któż oprze się memu ciosowi? Ej, człowieczku! Jednem machnięciem łapy mogłabym główkę twą zmiażdżyć, jak zdechłą żabę w lecie!

— Spróbuj uderzyć! — zawołał Mowgli, posługując się nie mową dżungli, lecz narzeczem wioski.

Na dźwięk ludzkiego głosu Bagheera cofnęła się nagle, zatrzęsała się, przysiadła na tylnych łapach,

a leb jej znalazł się na jednym poziomie z głową Mowgliego. Chłopak wpatrzył się w nią wzrokiem karcącym, jakim zwykł był nieraz wpatrywać się w ślepia niesfornych wilcząt. Czerwony żar, płonący poza zieloną jak beryl tęczęwką źrenic pantery, począł mętnieć i przygasać, niby blask latarni morskiej, oddzielonej od okrętu dwudziestoma milami topieli — niebawem zaś same ślepia zniżyły się ku ziemi, a wraz z niemi sam potężny leb zaczął pochylać się coraz niżej i niżej — aż wkońcu czerwony płat jęzora otarł się o stopy Mowgliego.

— Bracie! Bracie! Bracie! — wyszeptał chłopiec, głaszcząc olbrzymiego zwierza zlekka, ale nieprzerwanie po szyi i kołyszącym się grzbiecie. — Uspokój się! Uspokój się! To wina nocy, nie twoja!

— Tak, wszystkiemu winny te nocne zapachy — odrzekła Bagheera ze skrucą. — To powietrze tak na mnie podziało... ono wprost jakby krzyczy na mnie! Ale skąd ty wiesz o tem wszystkim?

Powietrze dokoła wsi indyjskiej jest w rzeczy samej przesycone wszelakimi zapachami, a dla stworzeń, które nieomal wszystkie swe spostrzeżenia zawdzięczają powonieniu, zapach bywa czemś tak oszołomiającem, jak muzyka lub wysokie napoje. Mowgli jeszcze przez chwilę gładził puszystą sierść Bagheery, aż wkońcu wielka pantera ułożyła się na ziemi, jak kot, grzejący się przed kominkiem — przymrużywszy oczy i podkuliwszy nogi pod siebie.

— Tyś jest z kniei i nie z kniei! Cóż ja znaczę przy tobie... ot zwykła czarna pantera! Ale ja ciebie kocham, braciszku!

— Coś tam oni długo gawędzą pod figowcem — mruknął Mowgli, nie zwracając uwagi na zdanie ostatnie. — Pewno im tam Buldeo napłócił niestworzonych dziwów. Ale wkrótce pewno tu nadciągną, by wywlec z pułapki kobietę i jej męża i wrzucić ich między Czerwone Kwiecie. Ho! ho! Będą się mieli zpyszna, gdy nie znajdą nic w pułapce!

— O nie! Posłuchaj! — miauknęła Bagheera. — Już krew we mnie ostygła, więc pozwól, że ja tam pójdę! Niewielu będzie śmialków, którzy będą mieli ochotę wydalać się z domów, gdy mnie zobaczą! Toż mi nie pierwszyczna siedzieć w klatce... a nie przypuszczam, by chciano krępować mnie powrozami.

— No, urządz wszystko sprytnie! — roześmiał się Mowgli, bo i jemu przyszła ochota na podobne figle. Tymczasem pantera już wślizgnęła się do izby.

— Brr! — rozległo się jej mruczenie. — To miejsce przesiąkło wonią człowieka, ale barłóg jest taki sam, na jakim wylegiwałam się w królewskim zwierzyńcu oodeyporskim. Trzeba się trochę wyciągnąć! — (Do uszu Mowgliego doszedł chrzęst sznurów wiszącego łoża, prężących się pod ciężarem cielska pantery.) — Na wyłamaną kratę, która mnie wyzwoliła! Ludzie gotowi pomyśleć, że schwytali zdobycz nielada! Chodź tu

i usiądź przy mnie, braciszku! Zaśpiewamy im
we dwójkę nasze hasło: pomyślnych łowów!

— Nie! Powziąłem zgola inną myśl. Ludzka
gawiedź nie powinna wiedzieć, że maczam palce
w tej całej sprawie. Poluj na własną rękę. Ja nie
pragnę ich oglądać!

— Niechże tak będzie — rzekła Bagheera. —
Oto oni nadchodzą.

Pogwarka pod drzewem figowem stawała się
coraz głośniejsza — już z końca wsi poczęły
dobiegać jej urywki. Naraz rozległy się ludzkie —
choć raczej nieludzkie wrzaski, oraz tętent kroków
gromady. Pod wodzą strzelca Buldeo i bramina
ciągnęła tłuszcza mężczyzn i kobiet, zbrojnych
w pałki, kije bambusowe, sierpy i noże, wrzeszcząc
w niebogłosość:

— Czarownik i czarownica! Zaraz się przeko-
namy, czy rozpalone żelazo nie zmusi ich do
wyznania winy. Spalić im dach nad głową! Niech
mają naukę za to, że udzielali schroniska wilko-
lakom! Nie! Nie! Nie! Wprzód trzeba ich wy-
grzmocić kijami! Hej, przynieść żagwi! Więcej
żagwi! A huknij-no ze swej strzelby na roz-
grzewkę!

Wylamanie drzwi okazało się przedsięwzięciem
dosyć trudnem, były bowiem mocno zaryglowane.
Wkońcu jednak tłum dał sobie z niemi radę,
wyrывая je wraz z zawiasami. Światło pochodni
wplynęło jaskrawą smugą w mroczną głąb izby —
i oczom napastników przedstawił się widok
groźny:

Rozciągnawszy się całą długością ciała na wieśniaczym łożu, skrzyżowawszy straszliwe łapska ponad jedną z jego krawędzi — czaiła się, czarna jak smoła — straszna, jak wcielenie djabła — olbrzymia groźna Bagheera.

Pierwsze szeregi przybyłych jęły cofać się od progu. Nastąpiła chwila rozpaczliwego milczenia. W tą chwilę Bagheera podniosła w górę drapieźną paszczę — i ziewnęła — przeciągle, z namysłem, wyniośle i okazale — jak ziewała zawsze, ilekroć zamierzała wydrwić kogoś z równych sobie. Nastrzępiona wąsami warga górna uniosła się i odgięła wstecz; czerwony jęzor wywinął się w trąbkę, dolna szczeka jęła opadać i opadać coraz niżej, odsłaniając niemal do połowy przepastną czeluść gorejącej gardzieli, a wielgaśne psie zębcze wychylały się zwolna na samą krawędź dziąseł — aż znienacka zwarły się z sobą wśród głośnego łoskotu, przypominającego nagle zatrzaśnięcie rygli kasy ogniotrwalej. W chwilę później ulica była pusta — jakby wymarła. Bagheera jednym susem przesadziła okno i stanęła pobok Mowglięgo, wsłuchując się w piekielną wrzawę ludzkiego motłochu, gnającego w trwodze na łeb na szyję ku zagrodom.

— Teraz już do białego ranka nie ruszą się z domów! — stwierdziła Bagheera spokojnie. — A my czem się zabawimy?

Nad wioską — zdawałoby się mogło — zaległa trupia cisza, z jaką równać się może jedynie cisza poobiedniej drzemki. Atoli, wytężywszy słuch,

posłyszalbyś w każdej chacie głuchy łoskot skrzyń ze zbożem, które, celem zatarasowania drzwi, przesuвано po glinianem klepiaku. Słuszność miała Bagheera, mówiąc, że wieśniacy nie opuszczają domów do samego rana.

Mowgli siedział cicho, w zamyśleniu, a twarz poępniała mu coraz bardziej.

— No, i jakże się spisalam? — zagadnęła go Bagheera, lasząc mu się do kolan.

— Owszem, bardzo pięknie! Pilnuj ich teraz aż do rana, a ja zdrzemnę się trochę.

To rzekłszy, pobiegł w las, leął za skalą i zasnął. Przespał całą dobę — i jeszcze jedną nockę na przyczynku. Gdy się obudził, ujrzał przy sobie Bagheerę — tuż obok zaś, u nóg jego, leżał sarniak, upolowany przed chwilą. Chłopak wydobyl nóż myśliwski, wypatroszył i odarł ze skóry zwierzynę, najadł się, popił wodą — i ułożył się na brzuszku, podparłszy rękami podbródek. Bagheera wpatrywała się weń pytająco, poczem oznajmiła:

— Człowiek i jego żona doszli bez szwanku pod samą Kanhiwarę. Wieść o nich przysłała nam twoja matka za pośrednictwem Chila. Jeszcze przed połową owej nocy, gdyśmy ich wyswobodzili, udało się im dostać konia, więc pomknęli szybko. Nieźleśmy się sprawili, he?

— Owszem, bardzo pięknie! — przyznał Mowgli.

— Ludzka zgraja dopiero dzisiaj w południe odważyła się wyjść ze swych nor wiejskich.

Podjedli sobie, a potem co tchu umknęli zpowrotem.

— Czy przypadkiem nie spostrzegli ciebie?

— Bardzo możliwe. O świcie tarzałam się w piasku przed bramą, a zdaje mi się, żeś sobie przytem coś nucila pod nosem. A teraz, braciszku, już nam nic nie pozostało do roboty. Chodź polować ze mną i z niedźwiedziem Baloo. On właśnie odkrył gdzieś jakieś ule i chce ci je pokazać, a my wszyscy bardzo pragniemy bawić się znów z tobą, jak za dawnych czasów. Przestań spoglądać tym wzrokiem, który nawet mnie przejmuje trwogą. Twoja kobieta i jej mąż nie będą oddani na pastwę Czerwonego Kwiecia, a w puszczy wszystko układa się jak najlepiej. Może to nieprawda? Zapomnijmy już o ludziach... puśćmy ich w trąbę!

— O tak! Wkrótce... wkrótce zapomną o nich w puszczy... Tak! Puśćmy ich w trąbę! Czy nie wiesz, gdzie popasa Hathi w noc dzisiejszą?

— To już jego rzecz! Któż może mieć jaką pewność co do Milczącego? Ale na cóż ci Hathi? Czy masz jaki zamiar, którego nie moglibyśmy spełnić bez jego pomocy?

— Oznajmij jemu i jego trzem synom, że mają przyjść do mnie!

— Ależ, braciszku!... Wyznam ci szczerze i rzetelnie, iż nie godzi się mówić do Hathiego: „Przyjdź!” lub „Odejdź!” Pomnij, że on jest władcą kniei i zanim współzycie z ludźmi odmie-

niło wyraz twej twarzy, on ciebie nauczył pewnego czarnoksięskiego zaklęcia.

— Wszystko mi jedno! Teraz ja znam pewne zaklęcie, któremu on oprzeć się nie zdoła. Przykaż mu, by przyszedł do Mowgliego, który jest Żabą. Jeśli zaś prośby nie posłucha, tedy każ mu przyjść w imię spustoszonych pól w Bhurtpore.

— Spustoszonych pól w Bhurtpore — powtórzyła Bagheera kilkakrotnie, by lepiej zapamiętać. — Pójdę! Hathi pewnie z początku bardzo się rozgniewa, ja zaś chętnie poświęciłabym całomiesięczną zdobycz, byle posłyszeć czarnoksięskie zaklęcie, które Milczącego Władcę Kniei zniewala do posłuszeństwa.

To rzekłszy, oddaliła się. Mowgli, pozostawszy sam, jął dźgać zaciekle nożem w ziemię. Jako żyw, nigdy dotąd nie zdarzyło mu się widzieć krwi ludzkiej; pierwszy raz ujrzał ją — a co ważniejsza, poczuł jej zapach — na więzach, które krępowały kobietę. Messua była dlań zawsze dobrą, przeto — o ile u niego można było mówić o uczuciach — darzył ją uczuciem miłości tak gorącej, jak gorąco nienawidził innych ludzi. Jednakowoż, choć żywił wstręt i nienawiść do ludzi, do ich języka, okrucieństwa i tchórzostwa, za żadne skarby dżungli nie wymóglby tego na sobie, by targnąć się na życie ludzkie i znów chłonąć nozdrzami straszliwy cuch krwi człowieczej. Powziął zamiar prostszy, lecz skuteczniejszy — i uśmiechnął się na wspomnienie, że pomysł tego przedsięwzięcia poddała mu jedna z baśni, o-

wiadanych przez starego Buldea o szarej godzinie pod figowcem.

— Tak! To było istotnie czarnoksiężskie zaklęcie! — posłyszał w tej chwili szept Bagheery. — Zdybałam ich pasących się nad rzeką. Poszli za mną potulnie, jak cielęta. Patrz, już nadchodzą!

Jakoż nadchodził Hathi wraz z trójką swych synów — nie czyniąc, jak zwykle, najmniejszego szmeru swem stąpaniem. Ich podbrzusza i kłęby były utyłane nieobeschłym jeszcze rzeczonym namulem, a Hathi żuł w zamyśleniu zieloną lodygę młodego drzewka pandanowego, które wyszarpnął potężnymi kielcami. Atoli Bagheera, obdarzona wzrokiem bystrym a przenikliwym, zmiarkowała z całej postawy olbrzyma, że nie jest to już Władca Dżungli, przemawiający do ludzkiego szczenięcia, lecz łęklive gruboskórne zwierzę, stojące przed obliczem istoty nieulekłej. Trzej synale-dragale toczyli się, ramię przy ramieniu, tuż za swym tatą.

Na rzucone przez Hathiego pozdrowienie „szczęśliwych łowów“ Mowgli ledwie raczył podnieść głowę i nie odpowiedział nic, pozwalając olbrzymowi przez dłuższą chwilę kołysać się nieśmiało i przestępować z nogi na nogę. Kiedy nakoniec przemówił, słowa jego zwracały się nie ku słoniom, lecz w stronę Bagheery:

— Opowiem ci historję, jaką usłyszałem z ust myśliwca, na którego urządziliście dziś obławę. Mówi ona o pewnym starym i mądrym słoniu, który wpadł w pastkę i natknąwszy się na ukryty

w niej ostry kół, rozdarł sobie skórę od kostki w nodze aż niemal po sam obojczyk; śladem tej rany pozostała wielka biała blizna.

To rzekłszy, Mowgli skinął ręką, a gdy się Hathi odwrócił, na jego szarym boku ukazała się widoczna w księżycowym świetle długa, biała blizna, jakby wypalona rozżarzoną do czerwoności prętą żelazną.

— Nadeszli ludzie, by wyciągnąć go z pułapki — ciągnął dalej Mowgli — on jednakże zerwał pęta (taki był z niego osilek!) i zaszył się w knieję. Siedział tam, póki nie wylizal się z zadanej mu rany. Wówczas — w noc jedną — powrócił z nagłą i z wściekłością wtargnął na pola, należące do obławników. A miał z sobą (jak sobie przypominam) trzech synów-olbrzymów. Wszystko to zdarzyło się przed wieloma, wieloma porami deszczowymi... hen, daleko stąd... wśród pól Bhurt-pore'u. I jak to było, o Hathi, z temi polami podczas następnych żniw?

— Ja wraz z trójką mych synów zabawiliśmy się w żeńców! — odparł Hathi.

— A jak to było z orką po tych żniwach? — spytał Mowgli.

— Orki już nie było! — odpowiedział Hathi.

— A co się stało z ludźmi, którzy żywili się plonem zielonych zbóż? — spytał znów Mowgli.

— Poszli sobie precz.

— A z chatami, w których sypiali?

— Poszarpaliśmy w drobne strzępki ich strze-

chy, a puszcza porosła wokół i przeżarła ściany ich mieszkań — odpowiedział Hathi.

— I cóż dalej? — dopytywał się Mowgli.

— Puszcza pochłonęła obszar żyznej ziemi tak znaczny, iż trzebaby dwóch nocy, bym mógł go przebyć od wschodu na zachód, a trzech nocy, bym mógł przejść go z północy na południe. Pięć wsi stało się pastwą dżungli... a w tych wsiach i w przyległych włościach, zarówno na niwach, jak pastwiskach, niema dziś ani jednego człowieka, któryby z ziemi ciągnął pożywienie. W taki to sposób ja i trzej moi synowie dokonaliśmy Spustoszenia Pól Bhurtpore'u. Teraz zaś zapytam ciebie, o Dziecię Człowiecze, jaką drogą dotarła do ciebie wieść o tem?

— Opowiadał mi o tem jeden z ludzi. Teraz widzę, że nawet i Buldeo umie czasem mówić prawdę. Dobrze się spisałeś, Hathi o białem znamieniu, ale tym razem spiszesz się jeszcze lepiej, ponieważ krokami twojemi pokieruje człowiek. Czy znasz wieść, z której mnie wygnano? Jej mieszkańcy są niedołężni, bezmyślni i okrutni; zabawiają się puszczeniem pary z ust, a polują nie z potrzeby, lecz dla rozrywki. Najadłszy się do sytości, rzucają własne potomstwo do Czerwonego Kwiecia. Widziałem to na własne oczy. Oni nie powinni tu już żyć dłużej. Ja ich nienawidzę!

— A więc urządź łowy! — odezwał się najmłodszy z trzech synów Hathiiego, poczem wyrwał z ziemi pęk trawy, otrząsnął go z kurzu uderzeniem o lapy przednie i odrzucił precz, a małe

czerwone ślepki spoglądały ukradkiem to w jedną, to w drugą stronę.

— I cóż mi przyjdzie z białych kości? — odburknął gniewnie Mowgli. — Czy jestem wilczęciem, bym bawił się w słońcu gołą czaszką? Jam zabił Shere Khana, a jego skóra butwieje na Skale Narady... ale... ale... nie wiem, dokąd poszedł Shere Khan... a mój żołądek jest jeszcze próżny. Teraz zabiorę coś takiego, co mogę dostrzec, czego mógłbym dotknąć. Hathi, porusz dżunglę przeciw tej wiosce!

Bagheera drgnęła i przypadła do ziemi. Wrazie, gdyby doszło do ostateczności, umialaby wpadać szybko w ulicę wioski, wymierzać na prawo i lewo ciosy w tłuszcę lub podstępnie zabijać ludzi, orzących o świcie, ale ten zamiar obmyślonego zgóry doszczętnego starcia wioski z przed oczu ludzkich i zwierzęcych przeraził nawet panterę. Teraz już pojęła, czemu Mowgli przywołał Hathiego. Nikt, oprócz długowiecznego słonia, nie porwałby się na rozpoczęcie i stoczenie tak straszliwej wojny.

— Spraw, niechaj uciekną, jak uciekali wieśniacy z pól Bhurtpore'u... A odtąd niech deszcz będzie jedynym plugiem tych rozlogów, a szmer deszczu, siekącego gęstwę liści, niech rozbrzmiewa zamiast warczenia kołowrotka... Wówczas ja z Bagheerą obiorę sobie siedlisko w domu bramina, a jelenie pić będą z cysterny za świątynią. Porusz dżunglę, o Hathi!

— Ależ ja... ależ my nie mamy z nimi żadnych zatargów... a wszak potrzeba niemałego

bólu, niezmiernej wprost wściekłości, byśmy wyruszyli pustoszyć ludzkie siedziby — odrzekł Hathi, kołyszając się na znak wahania.

— Czy jesteście jedynymi roślinożercami w puszczy? Przygnajcie wszystkich swych pobratymców. Niech się tem zajmą jelenie, dziki i *nilghai*! Wy nie potrzebujecie nadstawiać skóry, póki pola nie będą docna ogolocoane. Porusz dżunglę, o Hathi!

— Czy nie będzie rozlewu krwi? Przy Spustoszeniu Pól w Bhurtpoore okrwawiły się kły moje. Nie chciałbym wznawiać wspomnienia onego zapachu...

— Ja też. Nie chcę, by nawet ich kości spoczywały na naszej nieskalanej ziemi. Niech sobie ludzie poszukują nowych legowisk. Tu już nie wolno im pozostawać! Widziałem i czułem w nozdrzach krew kobiety — tej kobiety, która mnie karmiła — kobiety, którą oniaby zabili, gdybym nie przyszedł jej z pomocą. Woń ta piecze me usta! Zagłuszyć ją zdoła jedynie zapach świeżej trawy, wyrosłej na progach ich domów. Porusz dżunglę, o Hathi!

— Rozumiem cię! — odrzekł Hathi. — Tak piekła mnie rana, zadana drągiem... i zasklepiała się dopiero wtedy, gdym ujrzał, że ich wioski zamierają pod narostem wiosennej zieleni. Tak jest! Widzę to, że twoja sprawa jest i naszą sprawą. A zatem Dżungla wystąpi do boju!

Mowgliemu czasu nie stało, by nabrać tchu; trząsł się cały od gniewu i nienawiści. Słonie

oddaliły się cichcem — i na placu została tylko Bagheera, spoglądająca nań w niemem przerażeniu.

— Na Wylamaną Krate, dzięki której odzyskałam wolność! — wykrztusiła z siebie nakoniec Czarna Pantera. — Czy to ty jesteś owym nagskiem, za którym w latach młodszych ujęłam się wobec wilczego stada? Gdy utracę siły, o Władco dżungli, ujmij się za mną... ujmij się za nami wszystkimi! Wobec ciebie jesteśmy szczeniakami... nikłymi gałązkami pod twoją stopą... jelonkami, które utraciły matkę!

Na samą myśl o tem, iż Bagheera miałaby być zbłąkanym w puszczy jelonkiem, Mowgli rozchmurzył się zupełnie i zaczął śmiać się do rozpuku. Śmiał się i śmiał — i dopiero wtedy ochłonął, gdy dał nurka w jakąś pobliską kałużę. Plywał w niej przez dłuższy czas wkołko, raz po raz wymijając nurkiem szranki miesięcznego blasku, niby żaba, od której wziął przezwisko.

Tymczasem Hathi i jego trzech synowie rozeszli się w cztery strony świata i w milczeniu kroczyli przez wądoły, roztaczające się o milę od wioski. Całe dwa dni szli przez puszcę — inaczej mówiąc, zrobili bite sześćdziesiąt mil drogi. Każdy ich krok, każde poruszenie trąbą były przedmiotem uwagi, spostrzeżeń i obgadywań ze strony nietoperza Manga, ścierwika Chila, plemienia małpiego i rzeszy ptasiej. Po dwóch dniach słonie stanęły i zaczęły się pożywiać. Pasły się tak może przez

tydzień — może i dłużej. Hathi i jego synowie w tem są podobne do skalnego węża Kaa, iż nigdy nie śpieszą się bez powodu.

Pod koniec tego czasu rozeszła się po puszczy niewiedzieć przez kogo puszczone pogłoska, że w takiej a takiej dolinie można znaleźć lepsze jadło i wodę. Dziki — które, ma się rozumieć, poszłyby na sam koniec świata, byle zdobyć obfite jadło — pierwsze ruszyły tłumnie, tarmosząc się wzajem po skalach; za niemi poszły jelenie wraz z małemi dzikimi liskami, które żywią się padliną i mięsem zdychających zwierząt; boczną drogą posuwały się szeroko-barczyste *nilghai*, a za niemi dzikie bawoły z trzęsawisk. Lada drobnostka zdolna była zawrócić z drogi te rozsypane, rozhasane stada, które, popasłszy się w jednym miejscu, wlokły się bezładną kupą naprzód, piły wodę i znów się pasły; ilekroć jednak wszczął się popłoch, zawsze wporę pojawiał się ktoś taki, kto zdołał go uśmierzyć. Czasem był to jeżozwierz Ikki, który przynosił nowiny o wybornej paszy w pobliżu; innym razem nadlatywał Mang, pokrzykując radośnie i zapadając w jakąś polanę leśną, na dowód, że stamtąd nie grozi żadne niebezpieczeństwo; to znowu Baloo z gębą, nabitą korzonkami leśnemi, tarabanił się niezdarne przed płochliwą rzeszą uciekinierów i bądź groźbą, bądź żartem zmuszał ją do podążenia we właściwym kierunku. Wiele zwierząt zawróciło z drogi, uciekło lub straciło ochotę do dalszego pochodu, ale wiele innych posuwało się wciąż jeszcze

naprzód. I oto po upływie co najwyżej dziewięciu dni sytuacja przedstawiała się następująco:

Jelenie, dziki i nilghaje szły wielkim, zgiełkowym kręgiem, podobnym do olbrzymiego koła młyńskiego o promieniu ośmiu czy dziesięciu mil. Na obwodzie tego koła harcowały zwierzęta drapieżne; jego zaś środek stanowiła wioska, uwieńczona lanami dojrzewających zbóż. Wśród tych lanów znajdowały się tak zwane *maczany*, czyli niewielkie, do gołębników podobne budki z drewnianych drążków, wsparte na czterech słupach. W wieżyczkach tych siedzieli strażnicy, mający ploszyć ptactwo i inne szkodniki.

Odtąd już nie bawiono się w ceregiele z jeleniami. Mięsożercy następowali im na pięty, zmuszając nieboraków do coraz dalszego posuwania się ku środkowi koła.

Ciemna noc panowała wszędzie, gdy Hathi i trzech jego synowie wychynęli cichcem z kniei, podkradli się niepostrzeżenie pod *maczany* i wyrwali trąbami wszystkie słupy. Upadły — jak upadają podcięte lodygi kwitnącego szaleju, a ludzie, którzy stoczyli się z nich na ziemię, posłyszeli nad sobą helkotliwe chrapanie słoni. Wówczas straże przednie ogłupiałych hord jelenich porwały się z miejsca i popłynęły lawą na pastwiska wiejskie i uprawne pola; za nimi poszły ostrokopytne, ryjaste dziki, rozgrzebując i ryjąc wszystko, co ocalało po najściu jeleni. Od czasu do czasu rozlegała się wilcza pobudka, a dreszczem przejęte stada biegały z rozpaczą na wszystkie

strony, tratując młody jęczmień i zdeptując brzegi kanałów nawadniających. Nim nastal świt, pierścień zwierząt drapieżnych, naciskających od zewnątrz, już tylko w jednym miejscu nie był zamknięty; przez tę furtkę, otwartą od południowej strony, jęły wymykać się jedne po drugich gromady jeleni. Inne, bardziej odważne, pokładły się w zaroślach, by w noc następną dokończyć uczty.

Ale dzieło było w rzeczy samej już dokonane. Gdy rankiem wieśniacy wyrzeli ze swych chat, obaczyli, że plony przepadły ze szczętem. Groziło im to śmiercią, o ileby nie przenieśli się na inne miejsce, bo i tak już od lat całych byli równie bliscy głodu, jak dżungli. Gdy wyprawiono bawoły na paszę, zgłodniałe zwierzęta przekonały się niebawem, iż jelenie już docna ogołociły wszystkie pastwiska. Nie pozostało im przeto nic innego, jak powędrować w dżunglę i pokumać się z dzikimi współplemieńcami. Z zapadnięciem zmierzchu cztery kucyki, należące do gminy, padły z roztrzaskanemi lbami w swych stajniach. Jedyne Bagheera umiała zadawać takie ciosy i tylko Bagheera mogła sobie pozwolić na taką bezczelność, by powyciągać wszystkie do jednego trupy na ulicę.

W ową noc wieśniacy nie odważyli się rozpalać ognisk na polach, przeto Hathi wraz z trzema synami poszedł zbierać pokłosie po wczorajszem żniwie; gdzie zaś Hathi urządzi późniwne, tam już nikt nie znajdzie ni źdźbła na polu. Ludzie

postanowili żywić się zapasami siewnego zboża, póki nie spadną deszcze, a potem najmować się gdzieś do służby, póki nie odrobiją straty całorocznego plonu. Ale gdy handlarz zboża rozmyślał o swych koszach, napelnionych po brzegi ziarnem, i o cenach, jakie uzyska przy sprzedaży, ostre kły Hathiego już naderwały węgiel jego lepianki, wyrzucając w górę i rozbijając w kawałki wielką, gnojem bydlęcym obłożoną kobiałkę, w której spoczywał drogocenny towar.

Gdy dowiedziano się o tej klęsce, zabrał głos bramin. Ponieważ modły, zanoszone przezeń do własnych jego bogów, nie odniosły skutku, więc zawyrokował, że mieszkańcy wioski widocznie obrazili któregoś z bogów dżungli; nie ulega bowiem wątpliwości, że bóstwa dżungli są im przeciwnie.

Wezwano przeto naczelnika sąsiedniego plemienia Gondów — małych, mądrych, a wielce czarnych łowców-koczowników, żyjących w głębi puszczy, którzy są potomkami najdawniejszej ludności Indyj i od prawieków mieszkają w tym kraju. Ugoszczono Gonda wszystkim, czem chata bogata, on zaś stanął na jednej nodze, dzierżąc w ręce luk, a we włosach kilka strzał zatrutych, i spoglądał pół z trwogą, pół ze wzgardą na zalekłych wieśniaków oraz ich spustoszone łany. Oni zaczęli się pytać, czy to jego bóstwa — najstarsze bogi w Indjach — gniewają się na nich i jakimi ofiarami możnaby je przebłagać. Gond nic nie odpowiedział, tylko podniósł z ziemi długą

łodygę kareli — pnącej rośliny, rodzącej dzikie dynie — i oplótł nią w różne esy-floresy drzwi świątyni nawprost wybaluszanej, czerwonej gęby hinduskiego bożyszcza. Następnie machnął w powietrzu ręką w kierunku drogi, wiodącej do Kanhiwary, i poszedł zpowrotem w dżunglę, przyglądając się fali plemion puszczzańskich, ciągnącej do głębi ostępów. Wiedział, że jedynie biali ludzie byłiby zdolni powstrzymać tę nawalę.

Zbytecznym byłoby pytać, jaką wróżbę niesły ukazane przezeń znaki. Oto dzika dynia miała rozplenić się tam, gdzie dotąd oddawano cześć ich bóstwu, przeto im wcześniej wieśniacy wezmą nogi za pas, tem lepiej dla nich.

Ale nie tak to łatwo oderwać całą wioskę od miejsca, w którym zapuściła korzenie. Chłopi mitrężyli czas i ociągali się, póki im jeszcze została resztką łońskich zapasów; wyprawiali się też do boru na orzechy, ale tu raz po raz ukazywały się jakoweś cienie, które bądź wpatrywały się w nich skrzącemi ślepiami, bądź przemykały się w biały dzień tuż przed nimi; gdy zasię w przerażeniu uciekali ku murom wioski, widzieli, że kora drzew, koło których przechodzili przed chwilą, była już zdrapana i porysowana ostrzem jakichś potężnych, dlutkowatych pazurów. Im z większym uporem trzymali się swego osiedla, tem zuchwalsze stawały się dzikie zwierzęta, które teraz już zaczęły w najlepsze hasać i porykiwać na pastwiskach koło Waingungi. Wieśniacy nie mieli nawet tyle odwagi, by umacniać i zalepiać tylne ściany pustych

obórek, zwrócone w stronę puszczy; przeto najpierw dziki zryły je doszczętnie — po nich wtarnęły tu lykowate i kłęczaste powojniki i rozparły się niejako łokciami po świeżo zdobytym obszarze — wślad za nimi zasię zjeżyły się badyle ostrej trawy. Wieś zaczęła pustoszeć. Uciekali z niej zrazu tylko mężczyźni nieżonaci, roznosząc szeroko wieść, iż wioska jest już skazana na niechybną zagładę.

— Któż wydola — mówili — opierać się puszczy i bogom puszczańskim, skoro nawet miejscowy wąż-kobra wyniósł się ze swej nory pod figowcem?

W ten sposób zerwały się ich stosunki z zewnętrznym światem, a udeptane ścieżki w leśnych przesieczach stawały się coraz węższe i mniej widoczne. Trąbienie Hathiego i jego trzech synów przestało już niepokoić ludzi: nie mieli też pogo wydać się z domów. Zarówno młoda ruń, jak i dostatek płony uległy doszczętnemu zniszczeniu, a dalej położone pola zgoła już nie miały wyglądu ziemi uprawnej. Nie pozostało nic innego, jak zakolać o pomoc do Anglików w Kanhiwarze.

Atoli wieśniacy — obyczajem krajowców — mitrężyli dzień po dniu, ociągając się z wyjazdem, póki nie przyłapały ich pierwsze deszcze. Dopiero wówczas, gdy nieposzyte strzechy zaczęły przeciekać, gdy na pastwisku woda sięgała do kostek i gdy po przejściu letniego skwaru bujnie zachwa-

ściła się zieloność — wówczas dopiero gromady mężczyzn, kobiet i dzieci zaczęły opuszczać wieś i ruszyły w świat, brnąc przez ćmiącą i parną slotę, wśród mgły i rozkislej trzęsawicy; zawracaly jednakże od czasu do czasu, by po raz ostatni rzucić okiem na ojczyste zagrody — pożegnać je na zawsze.

Gdy ostatnia już rodzina, obarczona mnóstwem tobołków, jęła długim szeregiem przesuwać się przez bramę, posłyszano za murami trzask wałających się belek i krokwi, poczem ujrzano wznieśioną wzwwyż, błyszczącą, giętką jak wąż, trąbę słoniową, rozrywającą przegniłe strzechy. Trąba zniżyła się, znikła — i znów rozległ się huk, a wślad za nim jęk jakiś. To Hathi, zrywając dachy domów z taką łatwością, z jaką dziecko zrywa lilje wodne, zadrasnął się jedną ze spadających belek. Tylko tego było potrzeba do rozpętania całej mocy i wściekłości, bo ze wszystkich istot, jakie żyją w puszczy, najstraszliwszym, najbardziej wyuzdanym i w pomysłach swoich niewyczerpanym niszczycielem bywa słoń, pobudzony do gniewu. Grzmocił twarde mi stopami w gliniane nasyp, który kruszył się za każdym uderzeniem i obsypując się kawałkami, zmieniał się pod wpływem ulewy w żółtą, grząską papkę. Rozwaliwszy ogrodzenie, olbrzym jął wśród przeraźliwego pisku uganiać na wszystkie strony po wąskich uliczkach, rozpierając się na prawo i lewo pomiędzy ścianami chałup, wysadzając nadwątlale dźwierzka i druzgocąc okapy domów. Trzej syno-

wie szli za nim, siejąc spustoszenie, jak to czynili
ongi na polach Bhurtpore'u.

— Dżungla sama strawi te wszystkie lupinki —
odezwał się jakiś spokojny głos pośród gruzów. —
Runąć przedewszystkiem powinny ściany ze-
wnętrzne!

I z poza ściany, która ciężko, niby znużony
hawół, kładła się na ziemi, wyskoczył Mowgli,
spluskany deszczem, sączącym się strugami z jego
nagich ramion i pleców.

— Na wszystko przyjdzie czas! — odsapnęła
Hathi. — Tak... tak... ale w Bhurtpore kły
moje broczyły krwią!... Pod ścianę, dzieci!
Przebijemy mur głową! Walić razem! Heej —
rób! Bęc!

Tryknęli łbami w ścianę — razem — jak jeden
słoń. Zewnętrzna ściana domu wybuliła się, pękła
w pół — i runęła w gruzy — a w zębatym wylomie
obaczyli ogłuszeni i oniemiały z trwogi wieśniacy
potworne, gliną opačkane łby napastników.
Wówczas, rzuciwszy i siedliska swoje i przygoto-
wane na drogę zapasy, pierzchli co tchu w dolinę,
dążąc na tułaczkę i nędzę. A tymczasem wioska
— ćwiartowana, rozszarpywana i tratowana na
miazgę — ginęła z oczu coraz bardziej...

W miesiąc później widniał w tem miejscu jeno
niewysoki, pokarbowany brózdami wzgórek, okry-
ty miękką młodziczną zielonej trawy. Zasię pod
koniec pory deszczowej leżące odłogiem pola już
od sześciu miesięcy zarastała szumiąca, bujna
puszcza...

PIEŚŃ MOWGLIEGO ZŁORZECZĄCA LUDZIOM

Rozpętam bujne pnącze — i przeciw wam
poduszczę!
By starła wasze sadyby, zawezwę całą puszcze!
A przedtem dachy wasze pogniją
i runą domów belki —
a kwiaty gorzkiej Kareli
zakryją ślad wasz wszelki!

W bramach, gdzie mieliście wiece, zawyje
moje plemię!
Na stropach waszych śpichrzy nietoperz Mang
zadrzemie!
Wąż będzie stróżem waszych palenisk,
ognia tu nikt nie rozpali; —
a owoc gorzkiej Kareli
dojrzeje tam — gdzieście spali!

Śług moich nie ujrzycie — słuchem zgadnicie
nieściśle...
Nocą, nim wzejdzie księżyc, po haracz ich tu
przyślę!
A wilk pasterzem trzód waszych będzie...
Zrówna się kopców pochyłość...
Wzrośnie krzew gorzkiej Kareli
tam, gdzie krzewiła się miłość!

Wyślę zawczasu tłum żeńców — i plony wasze
zgarnę!
Wam po nich ledwie zostanie pokłosie nędzne
i marne!

A zamiast wołów, *sambhur* i jelen
powloką się po ugorze,
bo gorzkiej Kareli zielen
wzejdzie — gdzie sialiście zboże!

Jam przeciw wam rozpętał sękate, bujne kuszcze!
By starła wasze ślady, wezwałem całą puszcę!
Drzewa — drzewa przeciw wam idą!
Zawałą się domów belki —
a kwiaty gorzkiej Kareli
zakryją ślad wasz wszelki!

GRABARZE

Kto Tabaquiego nazywa swym bratem,
kto hienę do uczy zaprasza,
niechaj z pełznącym Kaidunem-Dżakalą*)
wieczysty sojusz ogłasza!

Prawo Dżungli.

— *Szanujcie wiek podeszły!*

Krzyk ten, posępny, chrapliwy, zdławiony, mógł snadnie słuchacza przyprawić o dreszcze. Skwierczał jakoś złowrogo, drgał dziwnym, niepojętym skowytym, a zamykał się jękiem przeciągłym. Rzekłbyś, że słyszysz rozdzierające się płótno.

— *Szanujcie wiek podeszły! O sąsiedzi z nad rzeki — szanujcie wiek podeszły!*

Jak okiem zasięgnąć, na wielkim obszarze rzeki nie było widać niczego, prócz flotylii drewnianych, lacińskimi żaglami opatrzonych berlinek, które — obładowane stertami wielkich ciosanych kamieni — płynęły z prądem, przewijając się właśnie pod arkadami kolejowego mostu. Flisacy przekręcali ciężkie rudła sterów, by wyminąć

*) Krokodyl.

mieliznę, utworzoną na zaporach filarów mostowych, a gdy ją mijali, jadąc po trzy statki wrząd, nagle ów głos okropny rozbrzmiał nanowo:

— *Bramini z nad rzeki, szanujcie zgrzybialsć i wiek sędziwy!*

Jeden z flisaków, siedzący na burtnicy, odwrócił się, podniósł rękę i mruknął jakieś słowo, nie będące chyba błogosławieństwem. Zaskrzypiały rudla — i łodzie pomknęły przed siebie w gęstwę zmierzchu. Szeroka rzeka — typowo indyjska — podobna raczej do łańcucha jezior, niż do nurtu płynącej wody — była gładka jak zwierciadło — i jak zwierciadło odbijała środkiem swej toni płomienną pożogę niebios, natomiast bliżej brzegów i tuż pod nimi bryzgała mialkami okruchami złota i szkarlatu. W porze słotnej zasilala się zdrojami małych poników, teraz jednak jedyną po nich pamiątką były suche jary, szczerzące się wysoko ponad poziomem wody. Na lewym brzegu, niemal tuż pod mostem kolejowym, rozłożyła się gromadka lepierek i szalasów o dachach słomianych; główna ulica tej wioski, rojąca się od bydła, wracającego do zagród, zbiegała prosto ku rzece, a kończyła się *ghatem* wioskowym — czyli czemś w rodzaju niezdarnie murowanej grobli, pod której osłoną mogli w wodzie brodzić ludzie, pragnący splókać z siebie brud całodziennej pracy. Wioska nosiła nazwę Mugger-Ghatu.

Mrok szybko ogarniał pola ryżu, soczewicy i bawełny, leżące na obszarze niziny, nawadnianej corocznie wylewami rzeki; mgłą zasnuwały się

ciche kępy rokiciny, wieńczące zakręt rzeki, oraz widniejące poza niemi bujne ostępy pastwisk. Papugi i wrony, które dotąd gwarzyły i swarzyły się przy wieczornym wodopoju, jęły odlatywać do gniazd swych w głębi łądu, mijając się z hordami „latających lisów“^{*)} wyruszających na żerowisko. Chmury ptactwa wodnego ciągnęły na spoczynek w gąszcz oczeretów, gęgając i pogwizdując. Były tam gęsi o krągłych głowach i czarnych grzbiatach, kurki wodne, cyranki, krzyżówki, słomki i kuliki, a niekiedy nawet błysnęły pomiędzy niemi różowe lotki flaminga.

W straży tylnej — daleko poza niemi — ciągnął wielki marabut, zwany adjutantem. Leciał tak ociężale i marudnie, jakgdyby każde machnięcie jego skrzydeł miało być dlań kresem żywota.

— *Szanujcie wiek sędziwy! Bramini nadrzeczni, szanujcie wiek sędziwy!*

Adjutant odwrócił do połowy głowę, zerknął nieznacznie w stronę, skąd dochodziło wołanie, i drętwym ruchem osiadł na piaskowej ławicy obok mostu. Wtedy dopiero można było przyjrzeć mu się w całej okazałości — obaczyć wszystkie jego dziwaetwa i śmieszności. Ztyłu wyglądał — owszem — nad wyraz dostojnie i czcigodnie; mierzył bowiem bezmala sześć stóp wysokości, a olbrzymia łysina przypominała jakby tonsurę zażywnego wiejskiego plebana. Z przodu natomiast przedstawiał się zgoła inaczej. Jego głowa

*) Gatunek nietoperza.

i wspólny z nią spadek mająca szyja, były zgola nieopierzone, a na podgardlu zwisał potworny worek skórzany — taki ogólny schowek, mieszczący w sobie wszystko, cokolwiek ptak potrafił zwędzić swym kiloflastym dziobem. Nożyska miał adjutant długie, chude i lykowane, ale poruszał niemi z pewną gracją i przyglądał się im nie bez dumy przez czas dłuższy. Musnął dziobem popielate pióra w ogonie, rzucił okiem na gładziznę swego grzbietu — wkońcu znieruchomiał w postawie: *Bacność!*

Mały, parszywy szakal stał właśnie na niskim wiszarze nadbrzeżnym i poszczekiwał z głodu. Ujrawszy adjutanta, zadarł ogon, nadstawił uszu i pomknął ku niemu wbród przez wodę.

Był to osobnik nędzny i nikiemny, prawdziwa zakąta swej kasty. Wprawdzie i najlepsze z szakali niewiele są warte — ten wszakże, o którym mowa, zasługiwał chyba na miano arcynędznika. Był to w polowie żebrak, w polowie szubrawiec — wyjadacz i czyściciel wiejskich śmietników — w jednej osobie tchórz nad tchórze i wściekły ryzykant — wiecznie głodny i wiecznie nadzieany fortelami — choć te fortele bodaj nigdy nie wychodziły mu na dobre.

— Brrr! — warknął, z obrzydzeniem otrząsając zmoczoną skórę. — Bodajby marnie poginęły plugawe kondle wiejskie! Na każdą z pcheł moich przypadły po trzy psie ukąszenia... i to tylko dlatego, że spojrział (spojrział, nie więcej!) na

jakiś dziurawy but, leżący w oborze. Cóż sobie te psy myślały? Czyż ja się żywię błotem?

To rzekłszy, poskrobał się poniżej lewego ucha.

— Słyszałem — odrzekł adjutant głosem zgrzytliwym, przypominającym chrobot tępej pily, różnej grubą deskę, — *słyszałem*, że w tym bucie znajdowało się nowonarodzone szczeniátko.

— Insza to rzecz słyszeć, a insza wiedzieć na pewno! — mruknął szakal, który znał spory zapas przysłowi, podsłuchanych u ludzi podczas ich wieczornych gawęd przy ogniskach.

— Święta prawda. Przeto, by się upewnić, zaopiekowałem się tem szczeniátkiem, gdy psy miały inne jakieś zajęcie...

— Tak, psy były bardzo zajęte! — potwierdził szakal. — Niestety, nie mogę teraz udać się do wioski, gdzie radbym sobie upolował parę ochlapów. Ale... czy w tym bucie było naprawdę ślepe szczeniátko?

— Było... ale teraz jest tutaj — odparł adjutant, wskazując dziobem na pełny wól pod gardzielą. — Kęs to wprawdzie niewielki, ale trzeba się i nim zadowolić, gdy litość stała się rzeczą rzadką na tym świecie.

— Ha-aj! Świat ma dziś serce z żelaza! — płaczkliwie zawył szakal, ale wnet głos zmienił, dostrzegłszy na powierzchni wody jakąś drobną, ledwie że uchwytną falę. — Życie nam wszystkim dziś stało się ciężkie! Nie wątpię, że nawet nasz dostojny władca, chluba *ghatu* i przedmiot zazdrości całej rzeki...

— Kłamca, pochlebca i szakal z jednego wykluli się jaja! — zauważył adjutant, nie zwracając się zresztą do nikogo bezpośrednio, gdyż podobno w razie potrzeby sam umiał lgać jak najęty.

— Tak! przedmiot zazdrości całej rzeki! — powtórzył szakal głosem donośniejszym. — Nawet on, jak mniemam, jest tego zdania, że od czasu zbudowania mostu coraz trudniej o dobrą strawę. Z drugiej strony przyznać muszę (choć nie zamierzam bynajmniej powiedzieć mu tego w oczy), że zacny nasz pan jest tak mądry i tyłoma obdarzony zaletami, iż ja (niestety!) nawet równać się z nim nie mogę...

— Jakież czarny musi być szakal, który o sobie mówi, że jest szary! — burknął adjutant, nie mogąc odgadnąć, do czego to wszystko zmierza.

— Jemu nigdy nie zbraknie żywności, wobec czego...

W tejże chwili rozległ się cichy chrzęst, jak gdyby łódź jakaś otarła się o mieliznę. Szakal wykonał żwawo wtył zwrot i stanął frontem (jako w pozycji najbezpieczniejszej) do istoty, o której mówił przed chwilą.

Tuż obok ukazał się olbrzymi, na dwadzieścia stóp długi krokodyl, okryty pancerzem, przypominającym blachę kotła parowego, potrójnie żłobkowaną i nitowaną, nabitą suto ćwiekami. Groźnie ponad wodą błysnęły żółte ostrza jego górnych zębów, zwisające ponad pięknie kanelowaną szczęką dolną. Był to nie kto inny, lecz sam płaskonosy Mugger z Mugger-Ghatu, starszy

od najstarszych mieszkańców wioski — dawca jej starodawnego imienia — zły duch mielizny i od wielu lat (znacznie przed pobudowaniem mostu kolejowego) postrach całej okolicy — mężobójca, ludożerca i fetysz miejscowy w jednej osobie. Ułożył się na powierzchni wody, wcisnąwszy pysk w mieliznę, i utrzymywał się w równowadze zapomocą nieznacznych, ledwie dostrzegalnych ruchów ogona. Szakał wiedział wybornie, że jedno silniejsze machnięcie tym ogonem zdołałoby, niczem tłok maszyny parowej, wyrzucić Muggera błyskawicznie na mieliznę.

— Ach! jakież to dla mnie szczęście, że cię oglądam, obrońco nędzarzy! — jął przypochlebiać się, cofając się jednakże za każdym słowem. Posłyszeliśmy wdzięczny twój głos i pośpieszyliśmy tutaj, wiedzeni nadzieją lubej pogawędki. Przyznam się, że moja bezwstydną zarozumiałość przywiodła mnie do tego, że oczekując twego przybycia, poważylem się mówić o tobie... mam jednak nadzieję, że nie dosłyszales słów moich...

Rzecz naprawdę miała się nieco inaczej. Szakał, wygłaszając swą poprzednią przemowę, właśnie tego pragnął, by ją posłyszano; wiedział bowiem, że *pochlebstwo* było najlepszym sposobem zdobywania sobie *chleba*. Mugger wiedział, że szakał przemawia w tym właśnie celu; szakał wiedział, że Mugger wiedział o tem, a Mugger wiedział, że szakał wiedział, iż on o tem wiedział. Nic więc dziwnego, że byli z siebie wzajemnie nader zadowoleni.

Stary potwór jął gramolić się na mieliznę, sapiąc, wzdychając i miamląc: „*Szanujcie zgrzybiałość i wiek sędziwy!*“ Rozpuchłe, beczułkowate cielsko toczyło się zwolna na koślawych, pałkowatych nogach, a z pod ciężkich zrogowaciałych powiek na wierzchu trójkątnej głowy jarzyły się, niby węgle, dwa małe ślepie. Zatrzymał się wkońcu i legł w bezruchu, a szakał, choć oddawna obeznany z jego obyczajami, zdumiał się mimochcąc może po raz setny w swem życiu, gdy obaczył, jak ludzaco Mugger umie być podobnym do kłody drzewnej, przyplawionej falą na mieliznę. Stare krokodylisko zadalo sobie nawet ten trud, by ułożyć się dokładnie pod tym kątem, jakiby z kierunkiem rzecznoego prądu utworzyła kłoda, przyholowana tu drogą naturalną — oczywiście, z uwzględnieniem warunków czasu i miejsca. Wszystko to czynił tym razem — ot — z nawyku, boć wylądował jedynie z chęci zażycia miłego wywczasu; z drugiej jednak strony należy mieć na uwadze, że krokodyl nigdy nie bywa syty, więc gdyby szakał dał się zwieść pozorom, napewno zbrakłoby mu czasu do filozoficznych roztrząsań na ten temat.

— Nie słyszałem nic, moje dziecię! — odezwał się Mugger, przymykając jedno ślepie. — Miałem wodę w uszach, a dotkliwy głód pozbawiał mnie przytomności. Od czasu, gdy wybudowano most kolejowy, moi wieśniacy ostygli w miłości ku mnie... aż mi się serce kraje z żalu.

— Kraje się z żalu... to wielkie, to szlachetne

serce! — zajęczał szakal. — Ach, jakiej dożyliśmy hańby! Ale wydaje mi się, że wszyscy ludzie są tacy...!

— Bynajmniej! — odparł Mugger głosem łagodnym. — Są zaiste pomiędzy nimi znaczne różnice. Niektórzy są chudzi, jak szczapy, inni zaś tłuści, jak młode szak... chciałem powiedzieć, młode psiaki. Nie chciałbym bez powodu uchybiać ludziom. Trafiają się między nimi (to prawda) typy najrozmaitsze, jednakże długoletnie doświadczenie nauczyło mnie, że biorąc wszystko pod uwagę, są to naogół z kośćcami pocziwe istoty. Nie dopatrzyłem się żadnych rzeczy zdrożnych ani u mężczyzn, ani u kobiet, ani u dzieci, a pamiętaj, moje dziecię, że kto gani innych, tego inni też ganią.

— Pochlebstwo to rzecz gorsza od pustej puszki blaszanej, polkniętej niebacznie! Atoli to, co usłyszeliśmy przed chwilą, było głosem prawdziwej mądrości — zawyrokował adjutant, opuszczając nogę, dotąd podniesioną.

— Ale pomyśleć, jaką czarną niewdzięczność okazują ludzie temu oto dostojnikowi...! — zaczął szakal czułym głosem.

— Nie, nie, nie jest to niewdzięczność! — sprzeciwił się Mugger. — Ot, poprostu nie chce im się zastanawiać nad cudzym losem. Natomiast ja, gdym leżał na mem czatowisku koło brodu, zwróciłem na to uwagę, że schody nowego mostu są nader strome i uciążliwe zarówno dla ludzi starych, jak i dla małych dzieci. Jeżeli mam być

szczery, to nietylko żał mi starych, ile współczuję — prawdziwie współczuję — małym tłusciutkim dzieciętkom. Mam jednakże nadzieję, że niezadługo, gdy most utraci powaby nowości, obaczymy znowu, jak dawniej, brunatne nogi mego ludu, śmiało przechodzące wbród przez rzekę... a wówczas stary Mugger powróci do dawnej czci...

— Ano! ano! — zaskrzeczał adjutant, coś sobie przypominając. — Toż gotów jestem oddać głowę, żem dziś w południe widział równianki z kwiatów kaczeńca, pływające u naroża *ghatu*. Kwiaty kaczeńca — jak wiadomo — są w całych Indjach uważane za oznakę hołdu.

— E, to omyłka... omyłka! Te kwiaty chciała mi przysłać żona miejscowego cukiernika. Biedaczka z roku na rok widzi coraz gorzej i nie potrafi odróżnić mnie, Muggera z *Mugger-ghatu*, od pierwszego lepszego drąga! Spostrzegłem odrazu jej omyłkę, bom właśnie leżał pod samym *ghatem*, gdy ona rzucała wianki, a gdyby postąpiła choć krokiem naprzód, możebym jej zdołał unaocznic całą różnicę. Bądź co bądź, kobiecina miała zamiary poczeiwe, a winniśmy zawsze zważać na intencję ofiary.

— Co tam przyjdzie z równianek kaczeńca temu, kto znajdzie się na śmietniku! — mruknął szakal, wyłapując pchły, ale jednocześnie strzelając okiem przezornie w stronę obrońcy nędzarzów.

— Prawda! — przyznał Mugger. — Tylko w tem sęk, że ludziska jeszcze nie pomyśleli

o założeniu takiego śmietnika, któryby się dla mnie nadawał. Widziałem-ci już pięciokrotnie, jak rzeka odstępowała od wioski, zostawiając u jej stóp szmat nowego gruntu. Pięć razy widziałem, jak wioska zabudowywała się ponownie nad brzegiem... i pewno jeszcze z pięć razy zobaczę taką odbudowę. Nie jestem-ci jakimś tam, wyzutyk z czci i wiary, rybojadem-gawjalem, co to, jak mówią „popasa dzisiaj w Kassi, a jutro w Prayag“. Jam jest wiernym i wiecznie czujnym strażnikiem rzecznej przeprawy. Trza ci wiedzieć, moje dziecię, że niedarmo przezwano wioskę mojem imieniem... zasię przysłowie powiada, że „kto długo czeka, zawdy wkońcu doczeka się nagrody“.

— Jam czekał już długo... bardzo długo... niemal przez całe moje życie, a nagrodą mi były jeno plagi i ukąszenia! — westchnął szakal.

— Ha! ha! ha! — zagrzmiał śmiechem adjutant, poczem zaśpiewał:

W sierpniu urodził się szakal,
we wrześniu spadły deszcze...
„Takiej powodzi jak dzisiaj“
rzekł — „nie pamiętam jeszcze!“

Tu trzeba wspomnieć pewną wielce niemilą przywarę adjutanta. Oto co pewien czas chwytają go znagła dziwne jakieś dokuczliwe drgawki lub kurcze w nogach, sprawiające, iż ten, napozór najcnotliwszy z ptaków brodzących (które wogóle zasługują na niezmierny szacunek) ni stąd ni zowąd zrywa się do dzikich wojennych płaśów,

a raczej kaleczych podrygów, rozczapierając skrzydła i kiwając lysą lepetyną; przytem — z powodów jemu tylko wiadomych — najgorsze ze wspomnianych paroksyzmów kojarzą się u niego zawsze ze stekiem najplugawszych docinków. Tak też było i tym razem. Atoli pod koniec swej śpiewki wielki ptak odzyskał znów panowanie nad sobą i odtąd miał dziesięćkroć bardziej adjutancką postawę, niż poprzednio.

Szakal zachnął się, boć liczył już sobie pełne trzy wiosny życia; atoli nie wypada oburzać się na zniewagę, doznaną od stworzenia, mającego dziób długi na dwa łokcie i umięjącego nim władać jak dziirytem. Adjutant uchodził powszechnie za wielkiego tchórza, ale przecie tchórzem był i szakal...

— Nauka przychodzi z wiekiem — rzekł Muger — a warto i to powiedzieć, moje dziecię, że małe szakale są bardzo pospolite, natomiast takiego *muggera*, jak ja, nicłatwo nadybiesz. Nie pysznię się z tego bynajmniej, gdyż pycha prowadzi do zguby; ale zważ, że tak zrządziło przeznaczenie... a sprzeciwiać się swemu przeznaczeniu nie powinno żadne ze stworzeń, czy to biegających, czy to pływających, czy pelzających. Co do mnie, jestem najzupełniej zadowolony ze swego losu. Komu służy szczęście i dopisuje wzrok, ten jakoś daje sobie radę na tym świecie, zwłaszcza, jeżeli przed wejściem w jakąś dobrą lub łachę rzeczną zwykł zawczasu zbadać, czy jest z niej wyjście.

— Słyszałem, że pewnego razu nawet cny Obrońca Uciśnionych popełnił omyłkę — zauważył szakal złośliwie.

— To prawda! — przyznał krokodyl. — Ale los pomógł mi jakoś wydostać się z opresji. Było to za moich lat młodych, w pierwszym z trzech okresów głodowych (na prawą i lewą odnogę Gangesu! jakże pełne bywały wówczas łóżyska rzeczne!)... Tak jest, byłem naonczas niefrasobliwym młodzikiem; któż tedy bardziej ode mnie się radował z wylewu rzeki? Byle co wystarczyło mi wtedy do szczęścia. Wieś cała stała pod wodą, przeto przepłynąłem *ghat* i zapiściłem się daleko w głąb lądu, na pola ryżowe, okryte warstwą milego namulu. Przypominam sobie, że w ów wieczór znalazł parę naramiennic, które, choć szklane, nie sprawiły mi najmniejszego kłopotu. Tak, były tam szklane naramiennice, a jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, to był tam i chodak. Powinienem był zrzucić oba chodaki, ale głód mi na to nie pozwolił. Zczasem nabrałem większej wprawy. Tak jest!... Ale i tak pożywiłem się i pokrzepiłem się nieco na siłach; atoli, gdy podążył zpowrotem ku rzece, już woda opadła, tak iż musiałem brnąć w błocie przez główną ulicę wioski. Któż inny zdobyłby się na coś podobnego? Patrząc, aż tu z chat zaczynają wylażać moi ludkowie, kapłani, baby i dzieci. Spoglądałem na nich życzliwym wzrokiem, bo nie miałem ochoty walczyć w błocie. Jeden z wioślarzy zawołał: „Hola, to Muggler z naszego brodu! Do topo-

rów! Zaraz położymy go trupem!“ „O, nie!“ — odpowiedział mu bramin — „toż to bóstwo opiekuńcze wioski! Patrzcie, jak spędza fale z brzegu!“ Wówczas obrzucono mnie kwiatami, a jeden z wieśniaków, wiedziony szczęśliwą myślą, wypędził mi kozła na drogę!

— O, o! kozieł to rzecz smakowita! — oblizal się szakał.

— E, włochaty, zanadto włochaty... a gdy trafi się w wodzie, tedy napewno ukrywa w sobie hak, rozszczepiony na dwoje. Wspomnianego jednak kozła przyjąłem chętnie i zszedłem do *ghatu*, czyniąc wielki zaszczyt wiosce. W jakiś czas później los mi nadarzył owego wioślarza, który chciał przyciąć mój ogon siekierą. Trafiło się, że łódź jego osiadła na starej mieliznie, której chyba już nie pamiętacie...

— Nie wszyscy jesteśmy szakałami! — zaskrzeczał adjutant. — Czy masz na myśli tę mieliznę, na której ugrzęzły galary, wiozące ładunek kamieni w roku wielkiej posuchy? Ową mieliznę, która przetrwała trzy wylewy?

— Dwie były takie mielizny: jedna wgórze, a druga poniżej — napomknął Mugger.

— Juści, juści!... tylko mi to wyszło z głowy! Rozdzielala je rzeczna odnoga, która potem wyschła doszczętnie! — poprawił się adjutant, lubiący przechwalać się dobrą pamięcią.

— Na niższej mieliznie, moje dzieci, utknęła łódź tego człowieka, co mi tak dobrze życzył. Pocziwina właśnie sobie spał w najlepsze, gdy

poczuł owo szturchnięcie... Ocknąwszy się, skoczył w wodę, głęboką do pasa... gdzietam! co najwyżej do kolan... by zepchnąć łódź z mieelizny. Pusta łódź popłynęła z prądem i przybiła do miejsca, gdzie był wówczas zakręt. Ja puściłem się za nią w pościg, bo wiedziałem, że zejda się ludzie, ażeby ją na brzeg wyciągnąć.

— I zesli w istocie? — zapytał szakal, przejęty potrosze zgrozą. Łowy tej miary zdolne były uczynić na nim wielkie wrażenie.

— Schodzili się... i tam... i jeszcze poniżej. Nie zapuszczałem się dalej... ale właśnie dzięki temu udało mi się w ciągu jednego dnia pochwycić trzech tłustych *mandzis'ów* (wioślarzy), przyczem zaznaczyć muszę, że z wyjątkiem ostatniego (na którym zresztą mi nie zależało) żaden z nich nawet nie krzyknął, by ostrzec towarzyszy, stojących na brzegu.

— Ach, co za wspaniałe polowanie! Ale jakiejże to trzeba zręczności i przytomności umysłu! — zachwycił się szakal.

— Nie zręczności, moje dziecię, ale rozwagi. „Odrobina rozwagi przyda się w życiu, jak szczypta soli w ryżu“, powiadają wioślarze, ja zaś mam zwyczaj rozważać głęboko rzecz każdą. Mój krewniak, rybojad-gawjał, opowiadał mi nieraz, jak ciężką pracą jest rybolówstwo, jak to ryby różnią się między sobą i jak trzeba znać się na nich wszechstronnie. Przyznaję, że mądrość to nielada, z drugiej zaś strony stwierdzić i to muszę, że wspomniany mój krewniak gawjał przebywa

przecie stale wśród swoich podwładnych. Co się tyczy zaś moich podwładnych, toć nie pływają oni gromadnie, wystawiając pyski nad wodę, jak to czyni *rewa*, ani też nie wzbijają się ustawicznie ku powierzchni wody i nie kręcą się w kółko, jak *mohoo* i mała *chapta*, ani też nie gromadzą się na ławicach po powodzi, jak *batchua* i *chilwa*.*)

— Same wyśmienite rybki! — przyklasnął dziobem adjutant.

— To samo powiada mój krewniak i zadaje sobie wiele fatygi, polując na te rybie specjały, pomimo że one nie umykają na brzeg, gdy ujrzą śpiczasty koniec jego nosa. Moi podwładni inne mają obyczaje. Mieszkają na łądzie, w chatach, pośród trzody. Muszę przeto wiedzieć, co oni czynią lub czynić zamierzają w danej chwili. W ten to sposób (jak mówi przysłowie) „wyobrazam sobie całego slonia“. Przypuśćmy, że nad drzwiami któregoś domu pojawia się zielona gałąź i żelazna obręcz... Stary Mugger wie odrazu, że w tym domu urodził się chłopak i że pewnego dnia niezawodnie przyjdzie hawić się koło *ghatu*... A może tam jaka panna ma wyjść zamaż? Stary Mugger i to odgadnie, boć widzi, jak jej przynoszą podarki ślubne. Ona też powinna zejść do *ghatu*, by wykąpać się przed ślubem, a wtedy Mugger też pewnie znajdzie się gdzieś blisko... Zasię kiedyindziej zdarzy się, że rzeka zacznie zmieniać koryto i utworzy nowy splachć

*) Czyt. *riua*, *mohu*, *czapta*, *baczua* i *szilua*.

lądu w tem miejscu, gdzie dotąd były jedynie piaskowe odmiały... wówczas Mugger pierwszy wie o wszystkim.

— E, dużo tam komu przyjdzie z takiej wiadomości! — sarknął szakal. — Choć żyję od niedawna na świecie, tom przecie już widywał, jak rzeka zmieniała koryto!

Rzeki indyjskie prawie nigdy nie utrzymują się przez czas dłuższy w łóżyskach, a bywa, że czasem w ciągu jednej pory deszczowej przenoszą się o dwie albo i trzy mile angielskie, zalewając orne pola, w innych zaś miejscach pozostawiając warstwę żyznego namuliska.

— Owszem, mało jest wiadomości równie pożytecznych — skarcił szakala Mugger. — Nowy szmat łądu, to powód do nowych waśni i procesów. Wie o tem Mugger... Oho! Mugger zna się na rzeczy! Ledwo więc woda opadnie, on już prze-myka się małemi parowami, w których — zdaniem ludzkim — ledwo psina zdołałaby się ukryć, i zaczyna czatować. Jakoż niebawem nadchodzi jakiś wieśniak, miesi gołemi stopami grząski mul i ogłasza, że będzie sadił dynie i ogórki na gruncie, podarowanym mu przez rzekę. Wnet nadchodzi drugi wieśniak i ogłasza, że w tem miejscu będzie sadił cebulę, marchewkę i trzcinę cukrową. Nagle ci dwaj ludzie spotykają się z sobą, jak dwie łodzie zniesione prądem, i poczynają lypać na siebie oczyma z pod wielkich błękitnych turbanów. Stary Mugger patrzy na to wszystko i przysłuchuje się ich rozmowie. Oni mówią sobie

„bracie“ i idą wytyczać granice nowych posiadłości. Mugger idzie ślad w ślad za nimi, brnąc pocichu w błocie. I oto naraz wybucha sprzeczka! Dalej przymawiać sobie ostro — od słowa do słowa — aż niebawem moi ludkowie mili zaczynają zdzierać sobie z głów turbany! Wkrótce i *lathi* (palki) zaczynają być w robocie... Kończy się tem, że jeden upada nawznak w błoto, a drugi hierze nogi za pas i umyka. Gdy powróci, już cały spór jest załatwiony, o czem świadczy okuty żelazem kij bambusowy pokonanego. Jednakże ludzie, zamiast okazać mi wdzięczność, krzyczą, że dopuszczono się morderstwa; natychmiast dwie rodziny (po dwudziestu chłopca z każdej strony) porywają się do walki i kije świszczą nie na żarty. Dzielni ludzie z tych moich górali-Dżatów i Maluezów z Bêt!... biją się nie od parady! Gdy walka się zakończy, stary Mugger już czatuje opodal, wdół biegu rzeki, poza krzakiem *kilkaru*, zasłaniającym go przed oczyma wieśniaków. Wówczas przy świetle gwiazd schodzą ku rzece Dżatowie — gromadkami po ośmiu lub dziewięciu — i przynoszą trupa na marach. Są to ludzie starsi, o siwych brodach, obdarzeni grubym głosem, do mojego podobnym. Zapalają małe ognisko (ach, jak dobrze znam lunę tego ogniska!), siadają wkółko, łykają dym tytoniowy i kiwają głowami, bądź przed siebie, bądź w stronę wydmy, na której leży ciało nieboszczyka. Roztrząsają całą sprawę, oświadczając, że angielskie władze wmieszają się w nią niewątpliwie i że to ściągnie hańbę na

rodzinę winowajcy, gdyż powieszą go w wielkim dziedzińcu więziennym. Wówczas przyjaciele nieboszczyka odpowiadają: „A niechże go kaci wezmą!“ ... poczem cała rozmowa zaczyna się na nowo ... czasami po raz dwudziesty w ciągu nocy. Wkońcu jeden z nich odzywa się: „Ha, piękną mieliśmy awanturę! Dajcie nam okup nieco większy od ofiarowanego nam przez zabójcę, a nie piśniemy już o tem ani słówka“. Wówczas zaczynają się targować o wysokość okupu, jako że nieboszczyk był człowiekiem pełnym zdrowia i siły i osierocił liczną dziatwę. Atoli przed *amratvełą* (wschodem słońca) przysmalają go nieco ogniem, jak każe obyczaj i zmarły staje się moją własnością ... a on przecie nie wygada się z niczem. Tak, moje dzieci, Mugger wie niejedno ... wie niejedno ... a moi Dżatowie maluejsey to dobrzy ludzie ... dobrzy ludzie! — cmoknął z uznaniem.

— E! dla mnie są zawsze skąpi; nie zostawią mi nigdy ani cząstki swych plonów! — zaskrzeczal adjutant. — Oni, jak głosi przypowieść, nie zmarnują nawet polysku z rogów bawolu ... Zresztą, któżby tam dogryzał resztki po Malwaju?

— Owszem, ja dogryzam ... ich samych! — odrzekł Mugger.

— Na południu, w Kalkucie — ciągnął dalej adjutant — miano dawniej zwyczaj wyrzucać wszystko na ulicę; było zatem co dziobać i z czego wybierać. Oj, były to rozkoszne czasy! Ale dzisiaj ulice są tam czyste, białe i gładkie, jak skorupka

jaja, więc plemię moje omija ową miejscowość. Rozumiem, że można być czystym... ale zamiatanie, szorowanie i polewanie ulic po siedem razy dziennie — to już przesada! Sami bogowie nie zniosą czegoś podobnego!

— Opowiadał mi pewien szakal z nizin (a wiadomoś tę zawdzięczał swojemu bratu), że w owej Kalkucie wszystkie szakale spasy się jak wydry w czasie deszczów — rzekł szakal, któremu aż ślina płynęła do gęby na myśl o tych dostatkach.

— Tak! tak! — zaskrzeczał z przekąsem adjutant. — Ale niedarmo są tam ludzie o białych twarzach, zwani Anglikami. Przywożą oni skądciś, z dolnego biegu rzeki, wielkie opasle psiska, które starają się o to, by szakalom ubyło nieco sadła.

— A więc mają serca tak nielitościwe, jak ludność tutejsza? Powiniennem był domyśleć się tego! Ani ziemia, ani woda, ani niebo nie okazują szakalowi litości. Niedawnemi czasy, po upływie pory deszczowej, widziałem namioty jakiegoś białego człowieka... i nawet udało mi się zwędzić końskie wędzidło z kawałkiem trenzli. Była nowiuśka i zółciusia, ale rozchorowałem się, gdym ją zeżarł. Biali ludzie nie umieją porządnie wyprawić skóry.

— O, ze mną było jeszcze gorzej! — rzekł adjutant. — Gdy liczyłem sobie dopiero trzecią wiosnę, zapuściłem się — wiedziony młodzieńczą śmiałością — wdół rzeki, gdzie dochodzą wielkie

łodzie Anglików . . . trzy razy większe od tej otowioski.

— Dotarł do Delhi i opowiada, że tam wszyscy ludzie chodzą na głowach — mruknął szakal.

Mugger otworzył lewe oko i spojrzał przenikliwie na adjutanta.

— Mówię świętą prawdę! — upierało się ptaszysko. — Kłamca kłamie tylko wówczas, gdy myśli, że mu uwierzą . . . Atoli, kto nie widział tych statków, nie potrafi nawet uwierzyć temu, co mówię.

— Teraz gadasz bardziej do rzeczy — burknął Mugger. — I cóż dalej?

— Z wnętrza takiej łodzi wyjmowano wielkie bryły jakiejś białej masy, która w prędkim czasie zamieniała się w wodę. Wiele okruchów rozsypało się po wybrzeżu, a resztę ładowano pośpiesznie do domu o grubych ścianach. Jeden z bosmanów, śmiejąc się, porwał bryłkę, niewiększą od małego psiaczka i rzucił ją w moją stronę. Podobnie jak wszyscy moi krewniacy, mam zwyczaj polykać wszystko, co się nadarzy. W tym wypadku też postąpiłem podobnie. Naraz chwyciło mnie jakieś nieopisane zimno, które, zaczynając od podgardła, rozeszło się po całym ciele aż po koniuszki szponów. Straciłem dozna głos — a majtkowie śmiali się do rozpuku. Nigdy w życiu takie ciarki mnie nie przechodziły. Z bólu i przerażenia zacząłem podrygiwać jak opętany, póki nie odzyskałem tchu; wówczas rozpocząłem nowe podrygi, wrzeszcząc w niebogłosey i oskarżając świat cały o obłu-

dę. Majtkowie aż zataczali się ze śmiechu. Co w tej sprawie najdziwniejsze (pominąwszy już owo przerażające zimno), to, że gdy przestałem się krztusić i narzekać, w moim worku podgardlnym nie było nic zgoła!

Adjutant uczynił wszystko, co było w jego mocy, by opisać wrażenia, jakich doznał po przelknięciu siedmioletniej bryły lodu, przywiezionej z Wenham Lake na amerykańskim lodowniku (w owym czasie jeszcze nie było w Kalkucie fabryki lodu sztucznego, więc trzeba było ten towar sprowadzać okrętami); ponieważ jednak nie wiedział dokładnie, co to lód, a szakal i Mugger nigdy nawet lodu nie widzieli na oczy, przeto anegdota spaliła na panewce.

— Wszystko zdarzyć się może temu, kto widział łódź większą trzykrotnie od Mugger-Ghatu! — zadrwił krokodyl, zanykając ponownie lewe oko. — Moja wioska wcale nie jest mała!

Nad głowami rozmawiających rozległ się świst donośny — i po moście przemknął się pośpieszny pociąg, zdążający do Delhi. Wagony lśniły rzęsi- stem światłem, a ich cienie sunęły trop w trop za nimi po wodzie. Wszystko to wśród dudnienia, poszczęku, grzechotu jęło się oddalać hen w gęstwą mroku. Atoli Mugger i szakal tak byli przyzwyczajeni do tego tartasu, że nawet nie odwrócili głowy.

— Czyż to mniej dziwne od łodzi trzy razy większej od Mugger-Ghatu? — zagadnął ich marabut, spoglądając w górę.

— Widziałem, jak budowano to dziwo, jak ty je zowiesz, moje dziecko — rzekł Mugger. — Widziałem, jak wznoszono filary mostu, a ilekroć spadł z nich jakiś człowiek (przeważnie chodzili nadzwyczaj zręcznie, ale zdarzało się, że spadli), to ja zawsze spełniłem, co do mnie należało. Gdy ukończono pierwszy filar, już nikt nie myślał wyszukiwać zwłok ludzkich na rzece, by je pogrzebać. Oszczędziłem im więc niemal kłopotu... Budowanie mostu to nic osobliwego!

— Zato osobliwością jest to, co przechodzi przez most, ciągnąc za sobą wozy, nakryte dachami — upierał się adjutant.

— E, to pewnie jakiś nowy gatunek wołu! Pewnego dnia ta bestja nie będzie umiała wygrabić się na most i spadnie... jak spadali ludzie. A stary Mugger nie omieszka wtedy znaleźć się w pogotowiu.

Szakal spojrział znacząco na adjutanta, zaś adjutant na szakala. Jeżeli czego bowiem byli pewni, to tego, że maszyna może być wszystkim w świecie, tylko nie wołem. Szakal napatrzył się jej już nieraz z poza żywopłotu, rosnącego po bokach toru, a adjutant miał dawno sposobność widzieć pierwsze pociągi, jakie ukazały się w Indjach. Natomiast Mugger przyglądał się lokomotywie zawsze tylko zdołu, nic więc dziwnego, że miedziany kociol wydawał mu się garbem na grzbiecie zebu.

— T... tak, nowy gatunek wołu — powtórzył Mugger z powagą, ażeby się utwierdzić w swem przekonaniu.

— O tak, to napewno wól! — basował mu skwapliwie szakal.

— Zresztą mogłoby to być... — zaczął Mugger złośliwie.

— O, z pewnością!... z całą pewnością! — przytakiwał szakal, nie czekając nawet na dokończenie zdania.

— Co? — nadał się Mugger, bo wyczuwał, że towarzysze wiedzą więcej od niego. — Cóżby to mogło być? Przecież jeszcze nie doszedłem do końca mych słów. Tyś powiedział, że to wól!...

— Niechże to będzie wól, czy cokolwiek innego, byle tak się podobało Obrońcy uciśnionych. Jestem jego sługą... a nie sługą tej rzeczy, która przejeżdża przez most.

— Cokolwiekby to było, jest to dzieło białych ludzi — rzekł adjutant, — a ja ze swej strony nie osiedliłbym się na ławicy, położonej od nich tak blisko.

— Ty nie znasz Anglików tak, jak ja — rzekł Mugger. — Gdy budowano most, był tu jeden biały człowiek, który wieczorami siadał do łodzi, szurał nogami po jej dnie i szeptał: „Czy on tutaj? Czy tam? Podajcie mi strzelbę!“ Jeszczem go nie widział, a już słyszałem każdy szmer... zarówno jego słowa, jak chrzęst i pobrzękiwanie jego strzelby... bądź w górze, bądź w dole rzeki. Ilekroć uprzątnąłem któregoś z jego robotników, oszczędzając mu w ten sposób wydatku na stos pogrzebowy, tylekroć jużem go widział zbiegającego do Ghatu i zaklinającego się, że zapoluje

na mnie i uwolni rzekę ode mnie... od Muggera z Mugger-Ghatu! Ode innie!... Toż ja, moje dziatki, pływałem całymi godzinami pod dnem jego łodzi i słyszałem, jak strzelał do każdego pnia, jaki napotkał; gdy zaś wiedziałem, że się zmęczył, wynurzałem się nagle przed nim z wody i w żywe oczy kłapałem szczękami. Gdy most ukończono, on odjechał. Wszyscy Anglicy polują w ten sposób... ale inaczej bywa, gdy ktoś na nich poluje.

— Któż to poluje na białych ludzi? — zapytał szakal, otwierając z podziwienia szeroko paszczę.

— Obecnie nikt, ale w swoim czasie ja na nich polowałem.

— Przypominam sobie coś niecoś z tych łowów. Byłem wówczas jeszcze młody — rzekł adjutant, kłapiąc dziobem znacząco.

— Ja zaś byłem tu już na dobre zadomowiony. Moja wioska, jak pomnę, odbudowywała się właśnie po raz trzeci, gdy mój krewniak gawjał przyniósł mi wieść o wielkim dostatku jadła na wodach powyżej Benaresu. Początkowo nie miałem ochoty tam się wybierać, gdyż mój krewniak, który żywi się rybami, niezawsze wie, co złe, a co dobre. Dopiero gdy podслуchałem wieczorną pogawędkę moich podwładnych, zdecydowałem się wyruszyć w drogę.

— A o czemże oni mówili? — zapytał szakal.

— O czem mówili, to mówili, w każdym razie wystarczyło to, by mnie — Muggera z Mugger-Ghatu — nakłonić do opuszczenia wody i wyruszenia w drogę pieszo. Szedłem nocami, korzystając

nawet z najmniejszego strumyczka, jaki mi się nawinął. A że właśnie zaczynała się pora upałów, więc stan wody we wszystkich strumieniach był niski. Przechodziłem wpoprzek zakurzonych gościńców, przedzierałem się przez wysoką trawę, wdrapywałem się na wzgórza, zalane księżycową poświatą. Wdzierałem się nawet na skały... pomyślcie sobie, dzieci! Przebywać musiałem bezwodne obszary Sirhind'u, zanim udało mi się odnaleźć więź małych rzeczulek, płynących ku Gangesowi. Cały miesiąc spędziłem w podróży... zdala od mego ludu i od dobrze mi znanych wybrzeży. To iście rzecz podziwu godna!

— Czemże się żywiłeś po drodze? — zapytał szakal, który za najżywotniejszą rzecz uważał sprawy żołądkowe, a zgoła się nie przejął lądową wędrówką krokodyla.

— Wszystkiem, co mogłem znaleźć... kuzynie! — odrzekł Mugger powoli, przeciągając każde słowo.

Trzeba wiedzieć, że w Indjach nie nadaje się nikomu tytułu „kuzyna“, jeżeli ktoś nie potrafi określić choćby najslabszego stopnia pokrewieństwa z daną osobą. Ponieważ zaś co najwyżej w starych bajkach i dzieciennych piosenkach można napotkać wieść o tem, jakoby orzeł ożenił się z pawą, a krokodyl z szakalicą, szakal domyślił się odrazu, skąd spłynął nań ten zaszczyt, iż zaliczono go do grona rodziny Muggerów. Gdyby tu byli sam na sam, pewnoby się tem nie przejął,

ale w oczach adjutanta dostrzegł błysk radości z powodu złośliwego żartu.

— Juści, ojczulku, powinienem był to wiedzieć! — odparł szakal.

Mugger nie rości sobie do tego pretensji, by go zwano ojcem szakala, to też Mugger z Mugger-Ghatu dał wyraz swoim poglądom w tej sprawie — ubarwiając ten wywód wieloma przydatkami, których nie chcę tu powtarzać.

— Przecież sam Obrońca uciśnionych przyznał się do pokrewieństwa. Skądże mogłem wiedzieć, jaki jest stopień tego pokrewieństwa? — bronił się szakal. — Co więcej, żywimy się przecie tą samą strawą. Słyszałem to wszak z jego własnych ust.

To tłumaczenie się znacznie pogorszyło całą sprawę, albowiem słowa szakala zawierały przytyk do tego, że w czasie pochodu po lądzie Mugger niewątpliwie żywił się świeżym mięsem — i to codziennie świeżym — zamiast, jak to zwykł w miarę możliwości czynić każdy szanujący się Mugger i większość dzikich zwierząt, przechowywać je tak długo, póki należycie nie skruszeje i nie stanie się łatwiejszem do przelknięcia. Jednym z najgorszych przezwisk i urągówisk, jakie można posłyszeć nad brzegami rzeki, jest: „zjadacz świeżego mięsa“. Jest to obelga niemal równa tej, jakiej doznałby człowiek, przewzany „ludożercą“.

— To jadło uległo spożyciu już trzydzieści lat temu! — odezwał się spokojnie adjutant. — Jeżeli weźmiemy pod uwagę jeszcze drugie lat trzy-

dzieści, to zeń nie pozostanie ani śladu. A teraz opowiedz nam, co się stało, gdy dotarłeś do szczęśliwych wód po tak dziwnych przygodach. Mówi przysłowie, że gdyby chciano słuchać wycia pierwszego lepszego szakala, zamarłby w mieście wszelki ruch uliczny.

Mugger musiał być mu wdzięczny za tę interwencję, bo poruszył się żywiej i zawołał:

— Na lewe i prawe łóżysko Gangesu! Nigdy, odkąd żyję, nie widziałem takich wód, jak wtedy!

— Byłyż one większe od wielkiej powodzi zeszlorocznej? — zapytał szakal.

— Bez porównania większe! Taka powódź, jak w zeszłym roku, zdarza się co pięć lat... i jakież jej plon? Garstka utopionych cudzoziemców, parę sztuk drobiu i zdechły wół w brudnej wodzie, przeciętej smugami prądów. Ale w owej porze, o której mowa, toń wody była gładka, niska i spokojna; mimo to jednak, jak przepowiadał mi gawjal, płynęło po niej tylu martwych Anglików, że zawadzali jedni o drugich. W owej to porze nabrałem dzisiejszej tuszy i rozmiarów. Od Agry, koło Etawah i na szerokich wodach koło Allahabadu...

— Och, to rozlewisko, które dosięgło samych murów warowni Allahabadu! — przerwał mu z westchnieniem adjutant. — Przyplłynęli tam, jak dzikie kaczkę w rokicinę i kręcili się w wirze... kręcili... tak!... o tak!

Puścił się znów w okropne płąsy, wijąc się jak opętaniec. Szakal spoglądał z zazdrością; rzecz

prosta, że nie pamiętał straszego roku, o którym ci dwaj rozmawiali — roku, w którym wybuchł bunt sipajów. Tymczasem Mugger ciągnął dalej:

— Tak, pod Allahabadem leżałem sobie spokojnie w czarnej wodzie, nie fatygując się zgola robotą. Było w czem wybierać; można było dwudziestu pominąć, by pochwyć jednego. Co najprzyjemniejsza, to, że Anglicy nie byli tak nadzieiwani klejnotami, bransoletami i nagolenicami, jak dzisiejsze kobiety w tych stronach. „Kto lubuje się w błyskotkach, będzie miał stryzynek za naszyjnik“, powiada przysłowie... Wszystkie krokodyle we wszystkich rzekach spasy się wówczas ogromnie, ale los chciał, że ja spaszem się najwięcej. Wieści głosiły, że Anglików zaganiano gromadami ku rzekom i (klnę się na lewą i prawą odnogę Gangesu!) było to chyba prawdą! Im dalej posuwałem się na południe, tem bardziej upewniałem się co do prawdziwości tej pogłoski. Tak to z prądem rzeki dopłynąłem aż poza Monghyr, mijając wielkie mogiły, co patrzą w wodę...

— Znam tę miejscowość — rzekł adjutant. — Od owego czasu Monghyr stał się miastem bezludnem; dziś mało kto tam mieszka.

— Następnie zacząłem zwolna i ociężałe pięć się wgórę rzeki i nieco powyżej Monghyru napotkałem łódź, pełną białych ludzi... żywych! O ile pamiętam, były to same kobiety; leżały pod płótnem rozpiętym na drągach i płakały głośno. W owych czasach jeszcze nie strzelano do nas, strażników brodu. Strzelby miały co innego do

roboty; słyszeliśmy ich odgłos przez cały dzień i przez całą noc w głębi ładu, to dalej, to bliżej, zależnie od kierunku wiatru. Wynurzyłem się łbem tuż przed samą łodzią, bom dotąd nigdy nie widywał żywych ludzi białych, mimo, że poznałem ich wybornie . . . pod inną postacią. Nagie białe dziecko klęczało przechylone koło burty i zanurzało rączki w wodzie, bawiąc się szlakiem piany, snującym się za łodzią. Prawdziwa rozkosz patrzeć, jak dziecko lubi płynącą wodę! Tego dnia byłem najedzony, ale miałem jeszcze w żołądku mały, niezajęty kącik. W każdym razie nie z głodu, tylko dla zabawy rzuciłem się ku rączkom tego dziecięcia. Były one tak jasne i wyraźne, że nawet nie potrzebowałem się im przyglądać, gdym je schwycił. Ale te rączęta okazały się tak maluchne, że choć zacisnąłem porządnie szczęki (czego jestem najzupełniej pewny!), dziecko wyciągnęło je z paszczy mojej pośpiesznie, nie ponosząc najmniejszego szwanku. Widocznie przesunęły się mi pomiędzy zębami . . . takie były maleńkie te białe rączyny! Powiniennem był oczywiście chwycić zboku, koło łokci . . . ale, powtarzam, wynurzyłem się z wody jedynie dla zabawy i w chęci zobaczenia czegoś nowego. W łodzi rozległy się krzyki, a ja nagle znów wynurzyłem się z wody, by przyjrzeć się załodze. Łódź była zbyt ciężka, bym zdołał ją przewrócić. Były w niej same kobiety, ale przysłowie powiada, że kto wierzy kobiecie, ten chce chodzić po bagnie, zarosłem rokiną; ja zaś (na prawą i lewą odnogę

Gangesu!) przekonałem się o prawdziwości tego przysłowia.

— Pewnego razu jakaś kobieta rzuciła mi kawałek suchej skóry rybiej — wtrącił się szakał. — Miałem apetyt na jej dziecko... ale, jak mówi przysłowie, lepsza jest końska pasza, niż wierzgnięcie końskiego kopyta. I jakże postąpiła twoja kobieta?

— Wypaliła do mnie z krótkiej strzelby, jakiej ani przedtem, ani potem nie zdarzyło mi się już widzieć — (Mugger miał niewątpliwie na myśli rewolwer starego typu). — Strzeliła pięć razy; owiał mnie dym, a ja rozwarłem paszczę i gapilem się, jak głupi. Nigdy w życiu nie widziałem nic podobnego! Pięć strzałów... tak szybko, jak teraz macham ogonem... o tak!

Szakał, którego coraz bardziej zaciekawiała ta opowieść, ledwie miał czas uskoczyć przed straszliwym ogonem, który śmignął w tejże chwili obok niego, niby olbrzymia kosa.

— Dopiero za piątym strzałem — ciągnął Mugger najspokojniejszym w świecie głosem, jakgdyby nigdy nie nosił się z myślą, by zatłuc jednego ze swych słuchaczy, — dopiero za piątym strzałem zapadłem się w wodę, a wypłynąwszy po chwili, posłyszałem, jak jeden z wiosłarzy zapewniał białe kobiety, że zginąłem już niechybnie. Jedna z kul utkwiała mi pod pancerzem na karku. Nie wiem, czy ona tam jeszcze się znajduje; wiecie bowiem, że nie potrafię odwrócić głowy. Chodźno, zobacz,

moje dziecko. Przekonasz się o prawdziwości mego opowiadania!

— Ja mam to uczynić? — zdziwionym głosem zawył szakał. — Czyżby taki ogryzacz kości i zjadacz starego obuwia, jak ja, odważył się podawać w wątpliwość opowiadanie osoby, będącej chlubą naszej rzeki? Niechże mi ogon odgryzą ślepe szczeniaki, jeżeli cień podobnej myśli pojawił się w mej durnej łepiecie! Obrońca uciśnionych był laskaw oznajmić mnie, swojemu nędznemu rabowi, że pewnego razu poniósł ranę z rąk kobiety. To mi wystarczy! Będę powtarzał tę opowieść moim dzieciom i wnukom, nie wymagając żadnych dowodów!

— Zbytek uprzejmości bywa czasem rzeczą gorszą, niż grubijaństwo; bo głosi przysłowie, że można gościa udławić nawet miską zsiadłego mleka. Bynajmniej sobie tego nie życzę, by twoje dzieci wiedziały, iż Mugger z Mugger-Ghatu jedyną w życiu ranę odniósł z rąk kobiety. Zresztą one i tak będą miały myśl aż nadto zajęta czem innym, gdy będą zmuszone zdobywać z trudem byle ochłapy, jak to czyni teraz ich ojciec.

— Jużem dawno zapomniał o wszystkim! Nikt tu nic nie mówił! Nigdy nie było żadnej białej kobiety! Nie było nigdy żadnej łodzi! Nigdy wogóle nic się nie zdarzyło.

To rzekłszy, szakał machnął parę razy ogonem, jakby chciał nim zatrzeć wszystko w swej pamięci, — i usiadł poważnie na ziemi.

— Owszem, zdarzyło się wiele różnych wypadków — odrzekł powoli Mugger, dwukrotnie w ciągu jednej nocy zawiedziony w swych chytrych zamysłach co do przyjaciela.

Zaznaczyć jednak należy, że żaden z nich nie żywił do drugiego najmniejszej urazy. Prawo, obowiązujące na całym dorzeczu, głosi, że wolno zjadać i być zjadany, a szakal przybywał tu po to, by zjadać odpadki z wieczerzy krokodyla.

— Zostawiłem ową łódź w spokoju i popłynąłem w górę rzeki — ciągnął dalej Mugger. — Gdy dotarłem do łąch rzecznych koło Arrah, już tam nie było nieżywych Anglików. Potem nadpłynęło kilku nieboszczyków w czerwonych kaftanach. Nie byli to Anglicy, ale Hindusi i Parbiahowie. Potem zaczęli nadpływać inni po pięciu i sześciu naraz... a wkońcu, na przestrzeni między Arrah aż poza Agrę, miało się wrażenie, jakoby całe wioski znalazły się pod wodą. Wypływali jeden po drugim z małych rzeczulek, jak płyną pnie drzewne podczas deszczów. Gdy stan wody się podniósł, oni również podnieśli się całymi gromadami z wydm, na których dotąd spoczywali; zaś gdy woda zaczęła opadać, fale chwytaly ich za długie włosy i wlokły po polach i kniei. Posuwając się na północ, słyszałem po nocach strzelaninę, w dzień zaś chlupot ciężko-obutych stóp ludzkich, przechodzących wbród przez wodę, oraz ten dziwny chrzęst, jaki czynią koła ciężkich furgonów na piaszczystem dnie rzeki. Z każdą falą nadpływał jakiś nieboszczyk. Wkońcu nawet i mnie

począł strach oblatywać i powiedziałem sobie: „Skoro takie rzeczy dzieją się z ludźmi, jakoż zdola się ocalić Mugger z Mugger-Ghatu?“ Poza-tem najeżdżały na mnie jakieś łodzie bez żagli, które wciąż gorzały i dymiły, jak dymią czasem łodzie, naładowane bawełną... jednakże nie szły bynajmniej pod wodę!

— Aha! — rzekł adjutant. — Podobne łodzie przyjeżdżają z południa do Kalkuty. Są wysokie i czarne, sieką ogonem wodę i...

— Są trzy razy większe od mojej wioski?... hę?... Te łodzie, które ja widziałem, były białe i niskie, młóciły wodę nie poza sobą, lecz po bokach, i nie były większe od łodzi, jakie istnieją *naprawdę*. Napędziły mi one wielkiego strachu, przeto wyszedłem z wody i powróciłem do mej rzeki, ukrywając się w dzień, a nocą podróżując pieszo, o ile nie nawinęła mi się po drodze jaka rzeczulka. Tak powróciłem do mej wioski, nie spodziewając się zastać nikogo z jej mieszkańców. Ku mojemu jednak zdziwieniu znalazłem wszystko po dawnemu; wieśniacy orali, siali, żęli zboże i pospółu ze swem bydłem chodzili spokojnie po polach.

— A czy było jeszcze co jeść na rzece? — zapytał szakal.

— Więcej, niż mi było trzeba. Nawet ja (pomimo, że nie żywię się błotem) miałem dość tej strawy; zaczął mnie potrosze napępniać obawą ten ciągly napływ nieboszczyków. Słyszałem, jak we wsi opowiadano, iż wszyscy Anglicy wygi-

nęli... atoli rychło lud mój się przekonał, że ci, którzy głową wdół płynęli z prądem, nie byli Anglikami. Wówczas gromada wiejska doszła do wniosku, że najlepiej będzie nic nie mówić, tylko płacić podatki i uprawiać rolę. Po pewnym czasie rzeka nakoniec się oczyściła, a odtąd, jeżeli kto płynął po wodzie, był to sobie (com mógł naocznie stwierdzić) najzwyczajniejszy w świecie topielec. Zdobywanie jadła stało się rzeczą trudniejszą, jednakże rad byłem serdecznie z tej odmiany. Małe polowanie od czasu do czasu, to rzecz zdrowa i przyjemna, ale... nawet krokodyl czasem się nasyci, powiada przysłowie.

— Ciewy! ciewy! Co za dziwy! — mlaskał językiem szakal. — Dalibóg, że utylem na samą myśl o takiej obfitości wybornego jadła! Ale, jeżeli wolno zapytać, to co porabiał późniejszymi czasy cny Obrońca uciśnionych?

— Uczyniłem ślub (i na lewą i prawą odnogę Gangesu, dotrzymałem tego ślubowania!)... Kłapnąłem mocno paszczką i powiedziałem sobie, iż odtąd już nigdy nie puszczę się na włóczęgę. Żyłem więc odtąd stale koło *ghatu*, wśród mych poddanych, stróżując im wiernie rok za rokiem. Oni darzą mnie za to taką miłością, że ilekroć obaczą łeb mój, wznoszący się ponad wodą, rzucają nań w ofierze wiązanki kaczeńców. Los okazywał się dla mnie nader łaskawym, a cała rzeka darzy wielkim szacunkiem i względami moją słabą i zniedołężniałą osobę. Brak mi tylko...

— Tak, tak! — współczująco zakłapał dziobem

adjutant. — Niema takiej istoty, któraby była szczęśliwą od dzioba aż do ogona! I czegoż to jeszcze brak wielkiemu Muggerowi z Mugger-Ghatu?

— Tego białego dzieciąteczka, które mi się wysliznęło z paszczy — odrzekł Mugger z głębokim westchnieniem. — Było wprawdzie maluchne, a jednak zapomnieć go nie mogę. Jestem już stary, ale przed śmiercią pragnąłbym zakosztować jednej jeszcze rzeczy. Wprawdzie Anglicy stąpają ciężko, hałasują i zachowują się jak głupcy, więc polować na nich nietrudno, atoli... mam w pamięci dawne chwile, przeżyte koło Benaresu, a dziecię owo, jeżeli żyje dotychczas, pewnie też je pamięta. Być może, że przechadza się teraz po brzegu jakiejś rzeki i opowiada, jak to ongi udało mu się wyrwać ręce z zębatej paszczki Muggera z Mugger-Ghatu. Los był dla mnie zawsze nader łaskawy... jednakże we śnie nieraz mnie prześladowuje myśl o tem małym, białem dzieciątku, przechylającym się przez burtę łodzi...

To rzekłszy, ziewnął i z trzaskiem zawarł paszczę.

— Uu-a! — sapnął. — A teraz odpocznę i podumam sobie troszkę... Zachowujcie się cicho, moje dzieci, i uszanujcie mój wiek sędziwy!

Odwrócił się sztywnie i powłókl się niezdarnie na sam koniec wydmy, zaś szakal i adjutant schronili się pod drzewo, wsparte konarami o cypel, przylegający do mostu kolejowego.

— Ten-ci prowadził życie przyjemne i pełne dostatków! — uśmiechnął się szakal, badawczo przyglądając się z pod oka sterczącemu ponad nim ptakowi. — I pomyśleć sobie, że ani razu nie uznał za stosowne powiedzieć mi, czy nie pozostawił dla mnie jakiego kęska na brzegu. Zapomniał (czy nie chciał wiedzieć), że ja przecie ze sto razy donosiłem mu o różnych smakolykach, płynących z wodą... Jakże prawdziwe jest przysłowie: „Gdy wyczerpią się nowinki, nikt nie pamięta o szakalu i golibrodzie!“ Ha! teraz on uklada się do spoczynku... Wrrr!

— Jakimże sposobem może szakal pomagać w łowach Muggerowi? — chłodno zauważył adjutant. — Nietrudno zgadnąć, kto lepiej na tem wyjdzie, gdy duży złodziej zawrze spółkę z małym złodziejaszkiem!

Szakal odwrócił się, zawył boleściwie i już miał się ułożyć pod pochyłym pniem drzewa, gdy nagle drgnął, przypadł do ziemi i zadarł łeb w górę, poglądając skroś przemokłych gałęzi ku krawędzi mostu, sterczącej niemal tuż ponad nimi.

— Co się stało? — zapytał adjutant, rozczapierzając z niechęcią jedno skrzydło.

— Czekaj chwilę, a zobaczymy. Wiatr wprawdzie wieje od nas w ich stronę, ale zdaje mi się, że oni... ci dwaj ludzie... nie na nas czatują...

— A więc to ludzie? E, to nie mam czego się obawiać. Moje stanowisko daje mi rękojmię bezpieczeństwa. Całe Indje wiedzą, że jestem święty.

Adjutant, jako wyborny a bezpłatny czyściel ulic, ma wszędzie wstęp wolny i nikt go nie prześladowuje. Wiedział o tem nasz ptak i nigdy nie uciekał przed ludźmi.

— Ja zaś nie wart jestem tego, by we mnie strzelano... chyba co najwyżej starym trzewikiem! — szepnął szakal i począł znów nadsluchiwać. — Ho, ho! co to za kroki! Słyszysz? Już ja się znam dobrze na ludzkim obuwiu! To nie skórzane ciżmy krajowców, ale podkute buty białych ludzi! Słuchaj, znowu! Żelazo szczęka o żelazo... To strzelba! Przyjacielu, zdaje mi się, że ci halaśliwi, stukający obcasami, głupi Anglicy przyszli pogwarzyć z Muggerem!

— Przestrzeż go tedy! Wszak niedawno ktoś, podobny do wygłodzonego szakala, nazywał go Obrońcą uciśnionych!

— Niechajże mój kuzyn broni sam swej skóry. Przecież zwierzał mi się tyle razy, że nie obawia się białych ludzi. Ci zaś dwaj są bezwąt্পienia białymi ludźmi. Żaden wieśniak z Mugger-Ghatu nie ośmieliłby się dybać na niego. Patrz! Mówilem ci, że to strzelba. Ho, ho! Jeżeli szczęście dopisze, to pożywimy się jeszcze przed wschodem słońca. On trochę niedosłyszysz, gdy wyjdzie z wody, a pozatem tym razem ma sprawę nie z kobietą.

Na poręczy mostu błysnęła w księżycowym świetle jasna lufa strzelby. Mugger leżał na wydmie cicho — narówni z własnym cieniem — rozstawił nieco łapy przednie, wsunął pomiędzy nie olbrzymie łebisko i chrapał... jak krokodyl.

Na moście głos jakiś szepnął:

— Strzał zaiste osobliwy... prawie prostopadły... ale pewny! Cel wyraźny, jak chalupa. Najlepiej będzie trzasnąć go powyżej głowy. Retykasz, cóż to za ogromna bestyja! Wieśniacy wściekną się, gdy go zabiję. Jest to przecie *deota* (bóstwo opiekuńcze) tej okolicy!

— Gwiżdżę na nich! — odpowiedział drugi głos. — Ten potwór porwał mi piętnastu najlepszych kulisów, gdyśmy ten most stawiali. Trzeba już raz z nim skończyć. Całemi tygodniami uganiałem za nim w łodzi. Wygnanę do niego z obu łuf, a ty zaraz potem wal z Martiniego.

— Pamiętaj, że ta pukawka kopie tęgo. Podwójna czwórka! Z takim kalibrem niema żartów!

— Zaraz się o tem przekona sam krokodyl... Bęc go!

Rozległ się grzmot, podobny do huku armatki (największy kaliber strzelb, używanych na słonie, mało się różni od działka artyleryjskiego) i zabłysły dwie smugi płomienia. Zawtórował tej palbie przenikliwy trzask Martiniego*), którego długie kule nic sobie nie robią z pancerza krokodyla. Ale pociski eksplodujące dokonały dzieła. Jeden z nich trafił Muggera tuż poza szyją, o parę cali na lewo od kręgosłupa, drugi zaś rozpękł się nieco poniżej, u nasady ogona. W dziewięćdziesię-

*) Używany przez wojska angielskie sztuciec systemu Martini-Henry.

ciu dziewięciu wypadkach na sto zraniony śmiertelnie krokodyl potrafi przyczolgać się na głębię i uciec. Ale Muggerowi z Mugger-Ghatu już się to nie udało. Był dosłownie rozbity na trzy części. Ledwie zdołał poruszyć łbem, — i legł plackiem na ziemię. Już nie żył.

Ale huk strzału powalił plackiem na ziemię również i szakala. Nieborak nigdy w życiu nie czuł się tak nieswojo:

— Ach, żeby to jasne gromy!... Ach, żeby to jasne gromy!... — jęczał żałośnie. — Czy to zwała się z mostu ta straszna istota, która wlecze za sobą kryte wozy po moście?

— E, to tylko strzelba! — nadrabiał miną adjutant, choć dygotało na nim każde piórko. — Nic innego, tylko strzelba. Mugger nie żyje! Umarł w butach! Patrz, oto nadchodzą biali ludzie.

Dwaj Anglicy zbiegli z mostu i dotarli wbród do wydmy. Tu zatrzymali się, ze zdumieniem patrząc na ogromne cielsko zwierza. Jeden z krajozców odrąbał siekierą olbrzymi łeb, który aż trzech ludzi musieli taszczyć po zdziarach mielizny. Jeden z Anglików (był nim inżynier, który most budował) pochylił się nad tym łbem i zajrzał mu w zęby.

— Ostatni raz zdarzyło mi się trzymać rękę w paszczy krokodyla, gdy miałem lat pięć — odezwał się. — Jechałem wówczas łodzią w stronę Monghyru. Byłem, jak mnie nazywano, „dzieckiem buntu sipajów“. Nieszczęśliwa moja matka była ze mną w łodzi... Późniejszemi czasy opo-

wiała mi niejednokrotnie, jak wpakowała w leb bestji pięć kulek ze starego pistoletu, pozostałego po nieboszczyku mym ojcu...

— Ho, ho! A ty się pomściłeś na samym naczelniku rodu!... Nic to, że ci przytem pociekło trochę krwi z nosa... przekonałeś się, że pukawka kopie tego, jak koń narowisty! Hola! wioślarze! Wyciągnijcie ten leb na brzeg! Wygotujemy czaszkę, bo skóra podarła się na strzępy i niewarto jej brać z sobą. A teraz chodźmy spać. Prawda, że opłaciło się czuwanie całonocne?

Rzecz ciekawa, że tę samą uwagę powtórzyli szakal i adjutant w niecałe trzy minuty po odejściu ludzi.

PIEŚŃ FALI.

Raz fala się ku brzegom wspięła,
ubrana w złoty blask zachodu;
dziewczyny białą dłoń musnęła,
idącej szlakiem brodu.

*Wstrzymaj swą nóżkę, dziewczę żwawe,
boć nie czas jeszcze na przeprawę!
„Zaczekaj chwilę, dziewczko luba! —
szepnęła fala — jam twa zguba!“*

*„Ja śpieszę, bo mnie miły woła! . . .
Miałabym z glazu serce chyba . . .
Nie straszą mnie na wodzie koła:
toż się plusnęła ryba!“*

*To śmierć się czai pokryjomu!
Ach, czekaj na przybycie promu!
„Zaczekaj chwilę, dziewczko luba! —
szepnęła fala — jam twa zguba!“*

*„Spieszę, bo wzywa mnie kochanek:
nie mogę wzgardą mu uchybić! . . .“
Fala za falą — niby wianek —
objęły młodą kibić . . .*

*O dziewczę! wierne twe serduszko,
lecz brzegu już nie dotkniesz nóżką!
Pomknęła fala (trudna sprawa!)
fala tak chyża — fala krwawa! . . .*

ANKUS KRÓLEWSKI

Cztery są rzeczy nienasycone —
każda z nich lupu wciąż łaknie i czeka:
gardziel sępa i paszcza szakala,
ręce małpy i oczy człowieka.

Prysłowie puszczańskie.

Gdy olbrzymi skalny pyton Kaa już może po raz dwóchsetny od urodzenia zmienił skórę, Mowgli, który nigdy nie zapomniał, że jedynie dzięki niemu ocalił życie podczas pewnej nocnej przeprawy na obszarze Chłodnych Legowisk (być może, że sobie ją przypominacie), przyszedł złożyć mu życzenia. Zmiana skóry wprawia węża zawsze w zły humor i przygnębienie, trwające tak długo, póki nowa skóra nie nabierze blasku i pięknego wyglądu. Kaa już nigdy nie podrwiwał sobie z Mowgliego — owszem za przykładem innych plemion puszczańskich uznał w nim władcę kniei i znosił mu wszelkie nowiny, jakich, rzecz prosta, wiele musiał się nasłuchać wąż tak długi i długowieczny. Nikt nie mógł iść w zawody z wężem Kaa, gdy szło o znajomość życia t. zw. średniej dżungli — tego życia, co toczy się tuż nad ziemią, albo i pod nią, wśród glazów, nor

i pni drzewnych. To, czego wąż Kaa nie znalazłoby się spisać na najmniejszej z jego łusek.

Pewnego popołudnia Mowgli siedział wśród olbrzymich zwojów jego cielska, nawijając na palec zrzuconą świeżo przezeń, postrzępioną i podartą skórę, która pokręconemi pasmami zwisała wszędy po skalach. Kaa z wielką uprzejmością podwinął się pod szerokie, gołe plecy Mowgliego, tak iż chłopak prawdziwie wypoczywał w tym żywym fotelu.

— Wybornie odlazła! — szepnął do siebie Mowgli, bawiąc się starą skórą. — O, nawet łuski z oczu wybornie odeszły! Ależ to zabawna rzecz widzieć u czyichś nóg nakrycie jego głowy!

— Co znowu! Gdzieś ty u mnie widział nogi? — nadał się Kaa. — A ponieważ cały mój ród zwykł zrzucić z siebie stare odzienie, przeto nie widzę w tem nic zabawnego. Czy tobie twoja własna skóra nie wydaje się czasem zastarzałą i szorstką?

— Owszem, ale wtedy idę się wykapać, moja Płaska głowo! Choć i to prawda, że podczas wielkich upałów radbym wyskoczyć ze skóry (oczywiście, bez bólu) i pohasać sobie bez tej powłoki.

— Ja się też kąpię, ale swoją drogą zmieniam też skórę. Jakże ci się podoba moja nowa odzież?

Mowgli powiódl ręką po skórnej szachownicy olbrzymiego grzbietu.

— Żółw ma grzbiet twardszy, ale mniej wzo-
rzysty — rzekł tonem znawcy. — Żaba, moja

imiennica, jest bardziej nakrapiana, ale zato mniej twarda. Skóra twoja wygląda wcale ładnie; jej deseń przypomina kropki w kielichu płomienistej lilji.

— Przydałaby jej się woda. Nowa skóra nabiera pełnej barwy dopiero po pierwszej kąpieli. Chodźmy się wykąpać.

— Zaniosę cię! — rzekł Mowgli i nachylił się ze śmiechem, by podnieść z ziemi najgrubszą część wężowego kalduna. Bezowocny był to wysiłek; z równym skutkiem mógłby kto kusić się o podniesienie rury wodociągowej, dwustopowej długości. Kaa leżał spokojnie, sycząc z cichego zadowolenia. Potem rozpoczęli zwykłą zabawę wieczorną. Stanęli przeciw sobie — chłopak, kipiący warem młodocianej tężyzny i pyton, odziany w nową, wspaniałą skórę. Był to prawdziwy popis sił oraz bystrości wzroku. Ma się rozumieć, że Kaa, gdyby tylko chciał pokazać, co umie, potrafiłby zmiażdżyć dziesięciu Mowglicz za jednym zamachem; atoli stare wężysko zabawiało się ostrożnie i nigdy nie rozpętało nawet dziesiątej części swej mocy. Gdy Mowgli był już natyle silny, by móc znosić szorstką nieco musztrę, Kaa nauczył go tej zabawy, która nadawała wprost niezwykłą gibkość i zwinność mięśniom chłopca. Niekiedy ruchliwe zwoje ciała wężowego oplatały zapaśnika aż niemal po samą szyję, on zaś usiłował oswobodzić jedną przynajmniej rękę i złapać pytona za gardło. Wówczas Kaa błyskawicznie usuwał się gibkim ciałem. Mowgli, szybko prze-

bierając nogami, starał się przydeptać pętlicę olbrzymiego ogona, który wił się wstecz, szukając poomacku jakiego pnia lub skały. Najpierw koly-sali się przez czas jakiś, to w jedną, to w drugą stronę, głowa przy głowie, wzajemnie wypatrując dogodnego chwytu — aż wkońcu ta piękna, do posągu podobna grupa zmieniała się w kłębowisko czarnożółtych zwojów, oraz szamocących się ramion i odnóży, to tarzających się po ziemi, to znów podnoszących się w górę.

— Naści! naści! naści! — syczał Kaa, wykonując lbem zręczne poruszenia, którym nawet zwinna dłoń Mowgliego nie umiała zapobiec. — Patrz, jużem cię tu ugodził, Braciszku! I jeszcze raz! i jeszcze raz! Co? zdrętwiały ci ręce? Naści jeszcze raz!

Zapasy te zawsze kończyły się w sposób jednaki — celnie wymierzonym, nagłym i potężnym rzuceniem głowy, który przewracał chłopca na ziemię, zmuszając go do wykonania kilku koziołków. Mowgli nigdy nie zdołał sobie wyćwiczyć oka w tym stopniu, by umiał wporę ustrzec się tego ciosu. Zresztą Kaa wyraźnie mu oświadczył, że byłyby to stracone zachody. Okazało się to i tym razem.

-- Szczęśliwych łowów! — fuknął nakoniec Kaa i w tejże chwili chłopak wyleciał jak z procy, na odległość może sześciu sążni od miejsca walki. Podniósł się z ziemi, śmiejąc się i sapiąc naprzemiennie; w garści i za paznokciami pełno miał ziemi i trawy. Trzeba było się obmyć z tego błota

i znoju — przeto ruszyli we dwójkę do miejsca, gdzie mądre wężysko lubilo zażywać kąpieli. Była to głęboka, czarna sadzawka, okolona skalami i urozmaicona zwałem pni drzewnych. Mowgli wśliznął się do niej bezszelestnie, jak przystało na mieszkańca puszczy, i przepłynął ją wpoprzek; wychynął z niej głowę, również bez szelestu, poczem wykonał zwrot wtył, trzymając ręce za głowę i przyglądając się księżycowi, wschodzącemu z ponad skal i mącąc stopą odbicie jego na wodzie. Do szlifowanego diamentu podobna głowa pytona iście jak diament przekrajała szklistą tafłę wodną i spoczęła na ramieniu chłopca. Leżeli tak przez pewien czas spokojnie, moknąc dosyta w chłodnej wodzie.

— Co za rozkosz! — przemówił nakoniec Mowgli sennym głosem. — Ludzie, jak sobie przypominam, kładli się o tej porze na twarde kłody drzewa we wnętrzu swych glinianych paści, zagradzali starannie drogę wszelkim rzeźwiejszym powiewom powietrza, naciągali sobie stęchłe welniane okrycia na ociążałe głowy i śpiewali złowrogo przez nosy. W dżungli daleko przyjemniej!

Ze skały ześliznął się w tej chwili zwinny wąż kobra, napił się wody, rzucił im pozdrowienie „szczęśliwych łowów!“ — i oddalił się.

— Ps-s-t! — syknął Kaa, jakgdyby nagle coś sobie przypomniał. — A więc masz w dżungli wszystko, czego dusza zapagnie, Mały Bracie?

— O, nie! — zaśmiał się Mowgli. — Ot, dobrze by było, gdybym co miesiąc mógł zapolować na

nowego, równie potężnego Shere Khana... i to własnoręcznie, bez odwoływania się do pomocy bawolów! Pragnąłbym też, by słońce świeciło w porze deszczowej, a deszcze przysłoniły słońce w czasie skwarów letnich. Cieszyłbym się też, gdybym nigdy nie wracał z próżnymi rękami, skoro mam ochotę upolować kozła; nie zadowala mnie też kozieł, gdy radbym upolować jelenia, a nie wystarcza mi i jelen, gdy celem mych łowów jest *nilghai*. Ale zdaje mi się, że pomiędzy nami niema nikogo, ktoby nie doznawał uczuć podobnych.

— Czyż doprawdy nie życzysz sobie nic więcej?
— Jął dopytywać się waż-olbrzym.

— Czegóżbym mógł sobie jeszcze życzyć? Wszak mam dżunglę i lasę dżungli! Czyż można marzyć o czemś więcej pomiędzy wschodem i zachodem słońca?

— Ale... ale... kobra mi mówił... — zaczął Kaa.

— Jaki znów kobra? Ten, który odszedł przed chwilą, nie mówił nic... Zajęty był polowaniem.

— Nie, innego kobrę mam na myśli.

— Czy często się wdajesz z jadowitem plemieniem? — spytał Mowgli. — Ja ustępuję im z drogi. Kobry w kłach swoich noszą śmierć, a to rzecz wcale nieprzyjemna... zwłaszcza, że one są tak małe i dostrzec je trudno. Ale jakież to zakapturowany gad z tobą rozmawiał?

Kaa obrócił się zwolna w wodzie, jak parowiec na morzu, i rzekł:

— Przed trzema, czy też czterema miesiącami polowałem na obszarze pamiętnych ponoś dla ciebie Chłodnych Legowisk. Zwierzyna, którą ścigałem, uciekła z wrzaskiem na cysterny, chroniąc się do domu, który kiedyś rozwaliłem gwoli tobie, i tam zapadła pod ziemię.

— Ależ Mieszkańcy Chłodnych Legowisk nie żyją w norach! — przerwał Mowgli, który wiedział, iż Kaa mówi o małpach.

— Ta istota nie żyła tam, ale... jej właśnie chodziło o życie — odparł Kaa, a język drgał mu jakoś dziwnie. — Wpadła w norę, ciągnącą się bardzo daleko. Poszedłem wślad za zbiegiem i niebawem miałem już w gębie zdobycz. Przepawszy się po tych łowach, jałem posuwać się naprzód.

— Pod ziemią?

— Nie inaczej. Wkońcu zetknąłem się z jakimś Białym Kapturem (białym kobrą), który zaczął opowiadać o różnych, nieznanym mi wpierw, dziwach i pokazał wiele rzeczy, jakich nigdy przedtem nie miałem sposobności oglądać.

— Czy nową zwierzynę? Byłyż to pomyślne łowy? — spytał Mowgli, odwracając się szybko na bok.

— Nie była to zwierzyna... o nie! Połamałbym sobie na tem wszystkie zębiska!... Atoli Białe Kaptur opowiadał mi (a mówił tak, jakgdyby naprawdę znał się na sprawach ludzkich), że ludzie nie wahają się dać życia, byle tylko mogli zobaczyć te dziwy.

— Chodźmy więc je zobaczyć — rzekł Mowgli.
— Pamiętam, że i ja kiedyś byłem człowiekiem.

— Wolnego! wolnego! Wszak nic innego, tylko pośpiech zgubił Żółtego Węża, co pożerał słońce... Ale do rzeczy... Otóż wiedliśmy wówczas pod ziemią dłuższą rozmowę, w czasie której wspomniałem i o tobie, nazywając cię człowiekiem. Na to odezwał się Biały Kaptur (a jest on tak stary, jak dżungla): „Wiele to już czasu upłynęło, odkąd nie widziałem człowieka. Poproś go, by tu przyszedł i przyjrzał się stosom tych rzeczy, za których najmniejszą częśćką niejedyn człowiek gotów położyć swe życie.“

— E, to napewno jakaś znowu zwierzyna... Z drugiej strony wiem jednak, że jadowite stworzenia nie odznaczają się uprzejmością i nie zwykły nam donosić, że zwierzyna znajduje się w pobliżu.

— Bo też nie jest to bynajmniej zwierzyna. To... to... to... ja sam nie wiem, co to takiego.

— Chodźmy więc tam! Nigdy jeszcze nie widziałem Białego Kaptura, a chciałbym też zobaczyć i te inne dziwowiska. Czy on na nie poluje?

— Gdzietam! Przecież to są przedmioty martwe. On powiada, że jest ich strażnikiem.

— Aha! to tak, jak wilk pilnuje mięsa, które zawlókł do swego leża. Chodźmy!

Dopłynął do brzegu, wytarzał się w trawie, by się wysuszyć, i ruszyli we dwójkę do Chłodnych Legowisk, — owego opustoszałego miasta, o którym juźście pewno słyszeli. W tym to czasie

Mowgli wcale już nie lękał się małp, natomiast małpy okazywały przed nim śmiertelną trwogę. Jak było, tak było, dość że w ową porę plemiona małpie grasowały w puszczy, przeto Chłodne Leża, oblane poświatą miesięczną, ciche były i puste. Kaa wdarł się na taras, gdzie stały zwaliska altany królowej, przesunął się po rumowisku i zapuścił się w zasypaną do połowy klatkę schodową, która wiodło z środkowej komnaty pod ziemię. Mowgli rzucił hasło węzów.

— Ja i ty jesssteśśmy z-z-z jednej krwi! — i jął czolgać się na czworakach wślad za pytonem. Czolgali się przez czas dłuższy spadzistym korytarem, który skręcał kilkakrotnie w różne strony, aż wkońcu doszli do miejsca, gdzie korzenie jakiegoś wielkiego drzewa, wyrastające o trzydzieści stóp nad ich głowami, wyważyły olbrzymi głaz ze ściany. Przeleźli przez ten otwór i znaleźli się w ogromnej komnacie, której kuliste sklepienie było również nadwerężone korzeniami drzewnymi, tak iż przez szczeliny przesączało się w ciemną głąb tu i ówdzie światło drobnymi skrawkami.

— Niema co mówić, bezpieczna nora — rzekł Mowgli, podnosząc się na nogi; — jednakże za daleko położona, by w niej można było bywać codziennie. Ale cóż tu jest godnego widzenia?

— A ja, to nic? — ozwał się głos jakiś w głębi komnaty i Mowgli spostrzegł jakąś białą zjawę, wylaniającą się zwolna z mroku. Jął przyglądać się jej ruchom — coraz lepiej rozpoznawał jej kształty — i już niebawem miał przed oczyma

olbrzymiego kobrę, największego, jakiego zdarzyło mu się widzieć w życiu. Gad ten mierzył bezmała ośm stóp długości, zaś barwa jego skóry, wyblakłej wskutek długiego przebywania w ciemności, przypominała odcień starej kości słoniowej. Nawet okulary na wypuszczonym kapturze spłowiały już, przybierając kolor blade-żółty. Oczy gorzały mu jak rubiny, przydając osobliwego uroku przedziwnej postaci.

— Pomyśś-lnych lowów! — zasyczał Mowgli, który nie rozstawał się nigdy ani z nożem, ani z dobrem wychowaniem.

— Co słyhać w mieście? — odezwał się Biały Kobra, nie odpowiadając na jego pozdrowienie. — Co słyhać w wielkiem, warownem mieście... w mieście stu słoniów, dwudziestu tysięcy koni i niezliczonych gromad bydła... w mieście Króla Dwudziestu Królów? Słuch mi stępał i już od dawna nie słyszałem gongów wojennych.

— Nad naszemi głowami szumi knieja — odrzekł Mowgli. — Ze słoni znam tylko Hathiego i jego trzech synów. Co się tyczy koni, było ich trochę w wiosce, ale wszystkie powybijają Bagheera... A co to jest król?

— Mówiłem ci, — szepnął Kaa do kobry — mówiłem ci już cztery miesiące temu, że twoje miasto zdawna przestało istnieć.

— O nie! Moje miasto... miasto leśne, którego bram strzegą baszty królewskie... to miasto zginąć nie może. Zbudowano je, jeszcze zanim ojciec mego ojca wylął się z jaja, przeto trwać

będzie i wtedy, gdy synowie mych synów zbieleją, jak ja. Tak! Miasto to wzniosł Salomdhi, syn Chandrabij'i, wnuk Viyej'i, a prawnuk Yegasuri'ego, za dni Bappa Rawala. Czyją jesteście trzodą?

— Zbilem się doszczętnie z tropu — bąknął Mowgli, zwracając się do Kaa. — Nie rozumiem jego mowy.

— Ja również. On jest bardzo stary. Ojciec okularników, tu wszędy wokół jest jeno knieja, jako była od początku.

— A zatem — zapytał Biały Kobra — kimże jest ten oto, który siedzi bez trwogi przedemną, nie zna imienia króla, a przemawia przez usta ludzkie naszą mową? Któż jest ta istota, uzbrojona nożem, a przemawiająca wężowym językiem?

— Nazywają mnie Mowgli — brzmiała odpowiedź. — Pochodzę z dżungli. Wilki są moimi współplemieńcami, a obecny tu Kaa jest mi bratem. A kimże ty jesteś, Ojciec Okularników?

— Jestem strażnikiem skarbu królewskiego. Tę skalę ponademną zbudował radża Kurrun za lat owych, gdy miał ciemną skórę... iżbym groził śmiercią każdemu, kto by tu się zakradł w złodziejskich zamiarach. Potem przez otwór zniesiono tu skarby i posłyszałem śpiewy mych opiekunów, braminów.

— Hmm! — mruknął Mowgli. — Miałem już raz do czynienia z braminem, gdy przebywałem w ludzkiej gromadzie i... co wiem, to wiem... Tylko patrzeć, a skądciś przylezie jakieś lichy!

— Pięć razy od czasu, gdy jestem strażnikiem, podnoszono kamień, ale zawsze w tym celu, ażeby dosypać skarbów, nie zaś ujmować. Niema bogactw, któreby się mogły mierzyć z temi oto bogactwami, z tym skarbem stu królów. Atoli wiele, wiele czasu upłynęło, odkąd ostatni raz poruszono głaz nademną, przeto mi się wydaje, iż w mojem mieście wygasła pamięć o skarbie.

— Miasta już niema. Popatrz-no wgóre. Oto tam widać korzenie wielkich drzew, rozsadzających kamienie. Drzewa nie zwykły rosnać pospołu z ludźmi — przekonywał go Kaa.

— Po dwakroć i trzykroć ludzie znaleźli drogę do tego miejsca — odrzekł Biały Kobra gniewnie, — atoli nie odzywali się ani słowem, póki nie spotkali się ze mną, idąc poomacku w ciemności; wówczas wydawali krótki okrzyk... i nic więcej... A wy przyszlście tu sobie we dwójkę, Człowieku i węzu, i staracie się mnie omamić, bając mi, że miasto moje już nie istnieje i że skończyły się dni mego stróżowania. Ludzie zmieniają się nieco z wiekiem, ale ja nie zmieniam się nigdy! Póki nie podniesie się kamień, póki nie wejdą tu bramini, śpiewając znane mi pieśni, póki nie nakarmią mnie ciepłym mlekiem i nie wyniosą mnie zpowrotem na światło dzienne, póty ja... ja... ja... i nikt inny... jestem strażnikiem skarbu królewskiego! Powiadacie, że miasto wymarło i tu oto widać odziomki drzew? Schylcież się więc i zabierzcie, co się wam podoba. Na całej ziemi niema skarbu, jako ten. Człowiecze o węzo-

wym języku! jeżeli ujdiesz żyw tą drogą, którą tu przybyłeś, tedy ukorzą się przed tobą królowie i będą sługami twymi!

— Znowu straciłem trop! — zauważył chłodno Mowgli. — Czyżby jaki szakal dogrzebał się aż tutaj i pokąsał tego Białego Kapcana... chciałem powiedzieć, Kaptownika? Wściekła się doprawdy ta gadzina! Ależ, Ojcie Okularników, ja tu nie widzę nic takiego, coby warto było zabrać!

— Na bogów słońca i księżyca! toż-ż-ż ten s-s-myk na ś-ś-śmierć osz-szalał! — syknął kobra. — S-s-spojrzyj tylko, boć oczom twoim dano oglądać s-s-skarby, jakich nie widział żaden z ludzi! Dopuszczę cię do tej las-s-ski, zanim zamkną się twoje ol-ś-ś-nione oczy!

— Niedobrzeby na tem wyszedł, ktoby w dzungli wspominał o swej łasce Mowgliemu — wycedził chłopak przez zęby, — ale, jak mi wiadomo, ciemność zmienia całą postać rzeczy. Ano, przyjrę się, skoro tak ci na tem zależy.

Jął wytrzeszczonemi oczyma rozglądać się po komorze, a potem podniósł z ziemi garść jakichś świecidełek.

— Aha! — ozwał się. — To mi jakby przypomina owe fatalaszki, któremi zabawiano się w ludzkiej gromadzie; cała różnica w tem, że tamte były brązowe, te zaś żółte.

Rzuciwszy na ziemię złote monety, ruszył dalej. Posadzka komory była zasłana na kilka stóp głębokości pieniędzmi złotymi i srebrnymi, które, wy-

sypawszy się z przetłalych worów, zczasem rozsuly się po ziemi warstwami, jak układa się piasek podczas odpływu wody. Pomędzy niemi, nad niemi i z pod nich, niby uwięzgle w piasku szczęty okrętowe, sterczały nabijane turkusami i karbunkulami *haudy**) z dlutowanego srebra, brzeżone płytkami kowanego złota. Były tam palankiny i lektyki do przenoszenia monarchiń, oprawione w srebro i wykładane emalją, o drażkach z rękojeściami agatowemi i hursztynowych frendzlach. Były i złote świeczniki, obwieszane dziurkowanemi szmaragdami, które migotały na każdym z ramion. Były srebrne płaskorzeźby, na pięć stóp wysokie, przedstawiające nieznanych jakichś bożków, z drogiemi kamieniami zamiast oczu. Były wyzłacane kolczugi, naszywane po bokach paciorkami spróchniałych już i szerniałych ziarenek roślinnych. Były szyszaki grzebieniaste, okolone wianuszkami krwistych rubinów; były tarcze z laki, szyldkretu i skóry nosorożca, okute listwami i guzami z czerwonego złota i zdobne szmaragdami po krawędzi; były wetknięte w pochwę miecze o brylantowych rękojeściach, sztylety i noże myśliwskie; były złote misy ofiarne, świątalne warząchwie i przenośne ołtarzyki o niewidzianych nigdy kształtach; były agatowe czarki i bransolety; były kadzielnice, grzebienie, słoiki z wonnościami, henna i proszkiem do czernienia rzęs, suto ozdo-

*) *Howdah* — czyt. *hauda* — wieżyczka na grzbiecie słonia.

bione złotem; pierścionków, kolczyków, naramiennic, czepców kosztownych i przepasek było wprost bez liku; były też trzy, na siedem palców szerokie, sznury szlifowanych diamentów i rubinów, oraz drewniane skrzynie, trzykrotnie okute żelazem, w których drewno zetlało już na proch, odsłaniając znajdujące się we wnętrzu stopy nieszlifowanych szafirów, opali, kocich oczu*), diamentów, szmaragdów i granatów.

Biały Kobra mówił prawdę. Żadnymi pieniędzmi nie daloby się opłacić ani cząstki tego skarbu, co tu się nagromadził od wieków, jako plon wielu handlów, podatków, wojen i grabieży. Już sam zapas bitej monety przerastał wszelką cenę, a cóż dopiero mówić o złożach drogich kamieni! Dość powiedzieć, że waga nieobrobionego złota i srebra dosięgała dwustu albo i trzystu ton. W dzisiejszych Indjach każdy władca tubyleczy, choćby najuboższy, posiada skarb, który wciąż się pomnaża; choć zdarza się, że któryś z tych oświeconych książąt wyprawi czterdzieści lub pięćdziesiąt zaprzężonych w bawoly wasągów, naładowanych srebrem, by zmienić je w banku na rządowe banknoty, to jednak większość radzów woli przechowywać w skrytości zarówno swój skarbiec, jak też wiadomość o nim.

Atoli Mowgli, jak łatwo zgadnąć, nie rozumiał wcale, do czego służą te wszystkie świecidła. Początkowo przypadły mu do gustu noże, rzucił

*) Drogi kamień, znajdujący na Cejlonie i Malabarze.

je jednak niebawem, gdy przekonał się, że nie mają tej wagi, co jego nóż własny. Wkońcu wszakże na przodku *haudy*, zagrzebanej do połowy w stosie pieniędzy, znalazł coś takiego, co mu się się spodobało. Był to długi na dwie stopy ankus, czyli bodziec używany na słonie — podobny nieco do małego bosaka. Jego szpic był z jednego, błyszczącego rubinu, a o jakie osiem cali poniżej rękojeść była otoczona zwartym kręgiem nieszlifowanych turkusów, dających dłoni dostateczne oparcie. Dolna krawędź była z agatu, ozdobionego wieńcem floresów — w których listki były ze szmaragdów, a kwiecie z rubinów, osadzonych w chłodnym, zielonym kamieniu. Resztę rękojeści stanowił trzonek z kości słoniowej, natomiast samo żeleźce — zarówno ostrze, jak i krzywik — było ze stali napuszczanej złotem i okrytej rysunkami, przedstawiającymi połów słoni. Te właśnie rysunki przykuły uwagę Mowgliego, który zauważył, że mają one coś wspólnego z jego przyjacielem Hathim.

Biały Kobra szedł ślad wślad za nim.

— Czy nie warto umrzeć, by osiąść rzecz taką? — zapytał. — Czyż nie wyświadczyłem ci wielkiej łaski?

— Nie wiem, o co ci chodzi — odrzekł Mowgli. — Te przedmioty są twarde i zimne i nie nadają się do jedzenia. Atoli tę drobnostkę — (to mówiąc, podniósł ankus) — pragnąłbym wynieść stąd i obejrzeć lepiej w świetle słonecznym. Powiadasz, że wszystko, co tu się znajduje, należy do ciebie.

Czy więc nie podarujesz mi tej jednej rzeczy?
Przyniosę ci za to parę żab do jedzenia.

Biały Kobra aż się zatrząsł ze złośliwej uciechy.

— Rozumie się, że ci to podaruję — odpowiedział. — Podaruję ci wszystko, co tu się znajduje... póki stąd nie odejdziesz.

— Ależ ja już odchodzę. W tej norze jest ciemno i chłodno, a mam ochotę zabrać do dżungli ten kolczasty przedmiot.

— S-s-s-pójrz, co leży koło twojej s-s-stopy!

Mowgli sięgnął ręką i podniósł z ziemi jakiś przedmiot biały i gładki.

— To czaszka ludzka — rzekł spokojnie. — A tam leżą jeszcze dwie inne.

— Ci ludzie przyszli tutaj przed wieloma laty, by zabrać s-s-tąd s-s-skarb. Ja przemówiłem do nich w ciemności... a oni spoczęli cicho... na wieki...

— E, na co mi znów byłby potrzebny ten skarb, jak ty go nazywasz! Jeżeli pozwolisz mi zabrać stąd ten bodziec, to życzę ci szczęśliwych łowów. Jeżeli nie pozwolisz, to również niech ci służą szczęśliwe łowy! Nie mam zwyczaju walczyć z jadowitem plemieniem, a przytem nauczono mnie czarodziejskiego zaklęcia, używanego przez wasze plemię.

— Tutaj obowiązuje tylko jedno czarnoksiężskie zaklęcie: moje!

Kaa z rozgorzałemi oczyma rzucił się przed siebie.

— A któż-ż to runie prosił, żeby mu s-s-sprować człowieka? — syknął.

— Juś-ś-ści, że ja! — zaseplenił stary kobra. — Już-ż-ż dawno nie zdarzyło mi się s-s-spotkać człowieka... i to jeszcze człowieka, coby się wy-s-s-sławił naszą mową!

— Ale ani słowem nie wspominaliśmy o lowach. Jakoż teraz wrócę do puszczy i wyznam, iż-ż wydałem go na ś-śmierć oczywistą? — nadął się Kaa.

— Ja nigdy nikogo nie uprzedzam o lowach. Co się zaś tyczy tego, jak masz wrócić do puszczy... patrz, oto tu jest dziura w ścianie... A teraz ucisz się, opasły malpożerco! Wystarczy jeno, bym tknął twego karku, a puszcza nie ujrzy cię już więcej. Żaden człowiek, który tu wszedł, nie wyszedł stąd cało! Jestem strażnikiem skarbcza królewskiego grodu!

— Ależ powiadam ci, biała gli-s-s-to, żyjąca w ciemnościach, że już tu niema ani króla, ani mias-s-sta! — fuknął Kaa. — Wszędy wokół jest puszcza!

— Skarbiec jeszcze pozostał. Ale jakoś sobie poradzimy! Zaczekaj chwilę, s-s-skalny wężu, i przypatrz się, jak nam ten s-s-myk zaraz poskacze. Mamy tu do-s-s-syć miej-s-s-s-ca do wyścigów! Życie każdemu jes-st mile! Poha-s-s-saj s-s-sobie, s-s-serdenko, mój chłopczysiu żwawy! Hej, ws-skok!

Mowgli położył spokojnie rękę na głowie pytona i szepnął:

— Ta biała stwora miała widocznie dotychczas do czynienia tylko z członkami ludzkiej gromady, ale nie wie jeszcze, ktom ja zacz! Skoro się domaga łowów, zaraz będzie je miała!

To rzekłszy, jednym ruchem podniósł wzwyz obwisły dotąd brzeszczot ankusa i cisnął go przed siebie. Pocisk ugodził kobrę tuż pod zgrubieniem w tyle głowy i przeszedł nawylot, przytwierdzając gada do drzwi komnaty. W mgnieniu oka Kaa całym swym ciężarem przytłoczył wijące się cielsko przeciwnika, obezwładniając je od ogona po sam kaptur. Łeb, sterczący na sześć cali ponad kapturem, miotał się zaciekle to wprawo, to wlewo, a ślepia gorzały krwawym blaskiem.

— Dobij! — szepnął Kaa, widząc, że Mowgli sięga do noża.

— Nie! — odrzekł Mowgli, obnażając ostrze; — nie będę nigdy zabijał, o ile mnie do tego głód nie zmusi. Ale przypatrz-no się, mój Kaa!

Uchwycił kobrę poniżej kaptura, otworzył mu przemocą paszczę zapomocą noża i odsłonił straszliwe jadowite kły szczęki górnej. Były czarne i spróchniałe, iż ledwo trzymały się w dziąsłach. Biały Kobra, jak to bywa w starości z każdą zmiją, postradał już zdawna broń swą najskuteczniejszą: truciznę.

— Thu-u (spróchniały pień)! — rzekł Mowgli — poczem, odsunawszy na bok pytona, wyrwał ankus i uwolnił Białego Kobrę.

— Kto inny powinien być teraz strażnikiem królewskiego skarbu! — ozwał się z powagą. —

Ty już na nic się nie zdasz, pniu spróchniały!
Thuu! Pohasaj sobie, serdeńko, Thuu!

— Jes-s-stem shańbiony! Zabij mnie! — syczał
z bólu Biały Kobra.

— Nie mam ochoty cię zabijać. Szkoda o tem
gadać zresztą. No, my już odchodzimy. Zabieram
z sobą ten kolczasty przedmiot, jako dowód, że
ciebie zwalczył i wystawił na pośmiewisko.

— A zatem uważaj, żeby ta rzecz wkońcu nie
zabiła ciebie samego! To ś-ś-śmierć! Pamiętaj, że
to ś-ś-śmierć! Ta rzecz sama wystarczy, by po-
ginęli od niej wszyscy mieszkańcy mojego mia-
s-s-sta! Niedługo będziesz się nią cieszył, leś-ś-śny
człowieku, albo i ten, kto weźmie ją od ciebie.
Dla niej będą się ludzie zabijali, zabijali, zabijali!
Moja siła już zwiotczała i zeschła, ale ten ankus
s-s-spełni za mnie s-swą powinność! To ś-ś-śmierć!
To ś-ś-śmierć! To ś-ś-śmierć!

Mowgli przelazł przez dziurę i znów poczołgał
się wąskim korytarzem, zmierzając ku wyjściu.
Rzuciwszy po raz ostatni okiem w stronę komnaty,
dostrzegł jeszcze białego kobrę, jak uniesiony
wściekłością kruszył sobie nieszkodliwe zębiska
o glupowate twarze złotych balwanków, leżących
na ziemi, sycząc przytem:

— To ś-ś-śmierć! To ś-ś-śmierć!

Wyszedszy z lochu, Mowgli i Kaa z radością
i ulgą powitali światło dzienne i ojczystą dżunglę.
Ankus, iskrzący się żywo w blasku poranka,
napelnił chłopca niemal taką radością, jaką

przejąłby go pęk niespotykanego dotąd kwiecica, wetknięty we włosy.

— Ależ nawet oczy Bagheery nie błyszczą tak jasno, jak ten oto przedmiot — zawołał z zachwytem, obracając rubin wokół. — Muszę pokazać to Bagheerze!... Ale cóż to miał na myśli Thuu, bając coś o śmierci?

— Nie potrafię ci na to odpowiedzieć — rzekł Kaa. — Jestem aż po sam czubek ogona przejęty s-s-smutkiem, iż s-s-stary kobra nie zakosztował s-s-smaku twego noża. W Chłodnych Legowis-s-skach zawsze czai się jakieś lichy... zarówno na ziemi, jak i pod ziemią. Ale teraz jestem głodny. Czy nie zechciałbyś dziś towarzyszyć mi w lowach?

— Niestety, nie! Bagheera musi obejrzeć tę moją zdobycz. Szczęśliwych lowów!

I odbiegł w podskokach, wymachując wielkim ankusiem i zatrzymując się od czasu do czasu, aby nasycić oczy jego widokiem. Tak doszedł wkońcu do tej części dżungli, w której zwykle przebywała Bagheera. Jakoż znalazł ją tam, jak zapijała wodą świeżo upolowaną zwierzynę. Chłopak ją opowiadać od początku do końca wszystkie swe przygody. Pantera słuchała, przyglądając się ankusowi i obwąchując go czasem, gdy zaś posłyszała relację o ostatnich słowach Białego Kobry, jęła mruczeć przytakująco.

— Więc uważasz, że Białe Kaptur mówił prawdę? — zapytał Mowgli skwapliwie.

— Urodziłam się w klatce królewskiego zwierzyńca w Oodeyporze, więc mam tu w dółku to uczucie, że znam się nieco na ludziach. Wiem, że niejeden człowiek byłby gotów polować i zabijać trzy razy w ciągu nocy, byle zdobyć ten oto tylko jeden kamyk.

— Ależ właśnie ten kamień zawadza i ciąży mej dłoni. To broń niewygodna. Znacznie wolę mój mały jasny nożyk. Przyjrzyj się zresztą: ten czerwony kamień nie nadaje się wcale do jedzenia! Czemużby więc ludzie mieli dla tak głupiej rzeczy polować i głowy sobie wzajemnie rozbijać?

— Idź, prześpij się, mój Mowgli. Żyłeś pomiędzy ludźmi, a jednak...

— Aha, przypominam sobie! Ludzie zabijają i polują nie dla potrzeby, lecz dla zabicia czasu i przyjemności. Zbudź się, Bagheero, bo chciałbym się dowiedzieć, do czego służy ten kolczasty przedmiot.

Bagheera — której spać chciało się setnie — niechętnie odemknęła oczy i jęła niemi mrugać złośliwie.

— Przedmiot ten sporządzili ludzie, aby klóć nim do krwi w głowy synów Hathiego. Widywałam rzecz podobną na ulicach Oodeypore'u, przed klatkami naszego zwierzyńca. Do tego ościenia przyłgnęła krew niejednego z krewniaków Hathiego.

— I na cóż oni dźgają tym ościeniem w głowy słoni?

— By w ten sposób wrazić im w głowy Prawo Ludzkie. Ludzie nie mają ani klów, ani pazurów, więc wymyślają takie oto dziwa, — i jeszcze gorsze.

— Coraz to więcej krwi, im bardziej zbliżam się choćby do rzeczy, wyrobionych rękoma ludzkiej gromady! — rzekł Mowgli z obrzydzeniem, a ankus zaczął mu już nieco ciążyć w dłoni. — Gdybym o tem wiedział, nigdybym nie wziął w rękę tego paskudztwa. Przedtem widziałem krew Messui na krępujących ją powrozach, teraz zaś czuję krew Hathiego. Nie chcę mieć przy sobie tej rzeczy! Patrz, co z nią zrobie!

Ankus warknął w powietrzu, zamigotał i utkwił ostrzem w ziemi pośród kępki drzew, o pięćdziesiąt sążni opodal.

— Teraz ręce moje oczyściły się od piętna śmierci — to mówiąc, Mowgli jął wycierać dłonie o świeżą, wilgotną ziemię. — Thuu powiadał, że śmierć będzie szła wślad za mną. Nie wiem, czy mu wierzyć, bo jest to gad stary, biały i bziko-waty.

— Czy biały, czy czarny, czy śmierć, czy życie, mało mnie to wzrusza. Ja kładę się spać, Mały Bracie. Nie umiem polować przez noc całą i wyć przez cały dzień, jak to czynią niektóre plemiona.

To rzekłszy, Bagheera odeszła do wiadomej sobie myśliwskiej kryjówki, odległej o dwie mile. Mowgli zaś wydrapał się z łatwością na drzewo, które wydało mu się dogodnem, związał razem kilka pnących się łodyg i w przędszym czasie, niż

zdołaliśmy to opowiedzieć, bujał się już w przepysznym hamaku na wysokości pięćdziesięciu stóp ponad ziemią. Wprawdzie nie czuł się nieswojo w jaskrawem świetle słonecznem, jednakże, idąc za nawyczkami swych przyjaciół, starał się jak najmniej w niem przebywać. Zasnął niebawem, rojąc przez sen, iż zabawia się rzucaniem przepięknych kamyczków. Gdy się obudził, już wśród gałęzi rozlegały się donośne głosy wazelkiego stworzenia, a ziemię znów zalegał szary zmierzch wieczorny.

— E, nie zawadzi chyba, że sobie zerknę jeszcze raz na tę zabawkę — rzekł sam do siebie i ześliznął się po drabince pnączy na ziemię. W tej chwili jednak posłyszał przed sobą w ciemności jakieś pryhanie. Rozpoznał Bagheerę.

— Gdzie się podział ten kolczasty przedmiot? Nie widzę go! — zawołał Mowgli.

— Zabrał go jakiś człowiek. Oto ślad tego człowieka.

— No, w takim razie przekonamy się, czy Thuu powiedział prawdę. Jeżeli to żądło istotnie grozi śmiercią, to człowiek ten umrze niebawem. Chodźmy za nim.

— Zapolujmy sobie w pierw — doradziła Bagheera. — Pustka w żołądku źle wpływa na bystrość wzroku. Ludzie chodzą zazwyczaj krokiem powolnym, a dżungla jest okryta rosą, która nam ułatwi znalezienie choćby najlżejszego śladu.

Z łowami uwinęli się prędko, niemniej prawie trzy godziny zbiegły, nim uporawszy się z jedze-

niem i piciem, mogli nakoniec puścić się tropem człowieka. Mieszkańcy kniei wiedzą dobrze, że żadne okoliczności nie upoważniają do tego, by śpieszyć się z posiłkiem.

— Czy sądzisz, że ten szpikulec odwróci się w dłoni owego człowieka i zabije go? — zapytał Mowgli. — Thuu opowiadał, że w tym kolcu siedzi śmierć.

— Dowiemy się o tem, gdy go wykryjemy — odrzekła Bagheera, biegnąc z głową przy ziemi. — Widzę, że tu idzie pojedyncza stopa — (chciała przez to powiedzieć, że widzi ślad jednego tylko człowieka) — a brzemię, które niesie, wcisnęło mocno w ziemię jego pięty.

— Haj! Toż to jasne, jak wszystkie pierony! — odpowiedział Mowgli.

Poczęli biec wartkim, krętym klusem gończym poprzez gmatwaninę cieniów i blasków księżycowych, idąc wiernie śladami dwóch bosych nóg ludzkich.

— Tu już biegł szybko — rzekł Mowgli, gdy dochodzili do wilgotnej i grząskiej polany. — Palce jego nóg są rozwarłe szeroko. Ale czemu w tem miejscu nagle skręcił w bok?

— Zatrzymaj się! — krzyknęła Bagheera, odsadzając się przepysznym skokiem na możliwie największą odległość; albowiem gdy ślad przestaje być jasnym i wyraźnym, najlepszą rzeczą bywa przerzucić się naprzód, nie zostawiając przytem własnych śladów, by nie mieszały się z innemi.

Stanąwszy na ziemi, Bagheera odwróciła się w stronę Mowgliego, wołając:

— Tu idzie nowy ślad na spotkanie tamtego. Stopa jest znacznie mniejsza, a palce zwracają się ku środkowi.

Mowgli podbiegł i przyjrzał się śladom.

— To stopa myśliwca gondyjskiego! — zawołał. — Przypatrz się! Tędy on włócił swój luk po murawie! Teraz rozumiem, dlaczego pierwszy ślad tak nagle zboczył. Człowiek o dużej stopie ukrył się przed człowiekiem, mającym małą stopę.

— Prawdę mówisz! — potwierdziła Bagheera. — A teraz musimy się rozłączyć, byśmy nie włązili sobie wzajemnie w trop i nie zacierali śladów. Ja będę szła za dużą stopą, a ty, Mały Bracie, pójdiesz za Gondem, który ma małą stopę.

To rzekłszy, Bagheera jednym susem wróciła na ślad pierwotny, zostawiając Mowgliego, pochylającego się nad cudacznym, palcami do środka obróconym śladem małego dzikusa leśnego.

— A teraz — mówi do siebie Bagheera, posuwając się krok za krokiem po linii większych odcisków, — ja, Duża Stopa, skręcam tu w bok. Teraz chowam się za skałą i waruję tu cicho, nie ośmielając się nawet ruszyć nogą. Ogłaszaaj swoją drogę, Mały Bracie!

— Teraz ja, Mała Stopa, dochodzę do skały — mówił Mowgli, biegnąc swym szlakiem. — Teraz siadam pod skałą, wspierając się na prawej ręce i przytrzymując luk nogami. Czatuję tu długo, przeto ślad mych stóp wrył się głęboko w ziemię.

— Ja to samo — odezwiała się Bagheera, ukryta za skałą. — Czatuje, opierając koniec ościenia o kamień. Szpic się ześliznął, bo na kamieniu widać rysę. Ogłaszaj swoje ślady, Mały Bracie.

— Jedna . . . dwie gałązki . . . i jedna duża gałąź są utamane — mówił Mowgli półgłosem. — A teraz . . . w jakiz sposób mam to głosić? Aha! Teraz rzecz się wyjaśniła! Ja, Mała Stopa, oddalam się z głośnem tupaniem i wrzawą, tak iżby mnie posłyszal człek o dużej stopie . . .

Jął krok za krokiem oddalać się od skały, wchodząc w gęstwę drzew, i coraz to bardziej podnosił głos, w miarę zbliżania się ku wielkiej siklawie.

— Idę — coraz — dalej — tam — gdzie — huk — spadającej — wody — przyglusza — moje — wołanie — i — tutaj — się — zatrzymuję! Odkrzyknij się ze swego tropu, Bagheero, Duża Stopo!

Pantera przez czas jakiś uwijała się na wszystkie strony, by wymiarkować, jakim szlakiem ciągną się z pod skały ślady Dużej Stopy. Niebawem jednak dała znać o sobie.

— Wyczołgałam się na klęczkach z poza skały, ciągnąc za sobą ościę. Nie widząc nikogo, zaczynam biec. Ja, Duża Stopa, umiem biec szybko. Ślad jest wyraźny. Idźmy każdy swoją drogą! Ja zmykam!

To mówiąc, Bagheera mknęła rysującym się wyraziście dużym śladem, a Mowgli kroczył drobniej-

szym śladem Gonda. Przez czas pewien panowała w puszczy cisza.

— Gdzie jesteś, Mała Stopo? — zawołała Bagheera.

Odpowiedział mu na to głos Mowgliego z odległości niespełna pięćdziesięciu sążni z prawej strony.

— Um! um! — znacząco chrząknęła Bagheera. — Oba ślady biegną pobok, zbliżając się coraz bardziej ku sobie!

Przebiegli znów dobre pół mili, pozostając wciąż w jednakowem oddaleniu od siebie. Naraz Mowgli, który nie trzymał głowy tak nisko przy ziemi, jak Bagheera, zawołał:

— Spotkali się z sobą! Szczęśliwych łowów! Patrz! tu stał człowiek o malej stopie, oparłszy się kolaniem o skałę... a tam widać Dużą Stopę.

O niecałe dziesięć sążni od nich leżało rozciągnięte na zwale głazów, ciało chłopca z okolicznej wioski, przeszyte nawylot przez pierś małą, pieprzastą strzałą gondyjską.

— I cóż powiesz na to, Mały Bracie? — łagodnie zagadnęła Bagheera. — Czy Thuu istotnie jest tylko starym warjatem? Jedną śmierć w każdym razie jużemy widzieli!

— Idźmy dalej! Ale gdzież się podział ów cierń o czerwonym oku... pijący krew słońi?

— Może... może ma go obecnie człowiek o malej stopie. Widzę znowu tylko ślad pojedynczy.

Ślady drobnego człowieczka, który najwidoczniej biegł szybko, dźwigając na lewem ramieniu jakiś ciężar, — biegły nieprzerwanym ciągiem dokoła długiego zakosu niskiej, wypalanej trawy, gdzie każdy odcisk wpadał odrazu w oczy tropicielom, jakby był wytłoczony w rozpalonej sztabie żelaznej.

Żaden z łowców nie odezwał się ani słowem, póki nie dotarli do małej kotliny, na której dnie taily się świeże jeszcze popioły obozowego ogniska.

— Znowu! — krzyknęła Bagheera, stając w miejscu jak skamieniała.

Koło ogniska leżał osiniaczony zewłok małego Gonda, z nogami zagrzebanymi w popiele.

Bagheera wzrokiem pytającym spojrzała na Mowglięgo.

— Tego dokonano laską bambusową — wyjaśnił chłopak, ledwo rzuciwszy okiem na nieboszczyka. — Sam posługiwałem się takim kijem, gdym służył za pastucha bawołów w ludzkiej gromadzie. Żaluję teraz, że sobie pokpiwałem ze starego kobry. Widzę, że on znalazł się na ludziach, jak ja sam powinienem był na nich się poznać! Czyż nie mówiłem, że ludzie mordują nie z potrzeby, ale ot, dla zabicia czasu?

— W rzeczywistości jest trochę inaczej. Zabijają się dla różnych czerwonych i błękitnych kamyczków — odpowiedziała Bagheera. — Pamiętaj, że kiedyś przebywałam w królewskim zwierzyńcu w Oodeypore.

— Jeden, dwa, trzy, cztery tropy — rzekł Mowgli, pochylając się nad zgliszczami ogniska. Ślady czterech ludzi, mających stopy obute. Szli oni nie tak szybko, jak chodzą Gondowie. Ale coś złego mógł im wyrządzić ten mały leśny człeczyna? Przypatrz się, Bagheero! Oni tu stali w pięciu i rozmawiali przez czas jakiś, zanim jego zabito. Wracajmy, Bagheero! W brzuszku mi coś zaciężyło i coś tak we mnie skacze, to wdół, to w górę, jak gniazdko wilgi na czubku gałązki.

— Niedobre to łowy, gdy wypuszcza się z rąk zwierzynę, znajdującą się tuż obok. W drogę! — krzyknęła pantera. — Tych osiem stóp obutych nie mogło zajść daleko!

Przez całą godzinę nie przemówili do siebie ani słowa, posuwając się szerokim szlakiem, wydeptanym obutymi stopami czterech ludzi.

— Ludzie zawdy hywają skwapliwsi do jadła, niż do biegu — odrzekł Mowgli, mknąc nurkiem wśród niskich krzaków młodej dżungli, którą teraz przetrząsali. Bagheera, biegnąc na lewo od niego, zawarczała nagle w jakiś dziwny sposób, niedający się opisać.

— Otóż mamy takiego, który już zginął... po-zarty! — zawołała.

Pod jednym z krzaków leżał bezładny kłęb pstrej odzieży, a koło niego była rozsypana garść mąki.

— Zginął również od bambusowego kija — odpowiedział Mowgli. — Przypatrz się! Tym białym pyłem żywią się ludzie. Oni zabrali zdobycz

temu człowiekowi, który dźwigał ich pożywienie, a jego samego oddali na żer Chilowi.

— To już trzeci! — stwierdziła Bagheera.

— Przyniosę ojcu okularników dużo świeżych i tłustych ropuch, żeby się stary najadł dosyta! — rzekł Mowgli sam do siebie. — Ta dziwna rzecz, pijąca krew słoni, jest chyba wcieloną śmiercią... ale i tak jeszcze nie wszystko rozumiem...

— Chodź dalej!! — rzekła Bagheera.

Nie uszli jeszcze i pół mili, gdy naraz posłyszeli złowrogą pieśń pomoru, rozgłaszaną przez wronę Ko zpośród gałęzi drzewa tamaryszkowego. Pod tem drzewem leżeli trzej jacyś ludzie, otaczając półprzygasłe, dymiące ognisko, nakryte blachą, na której widać było zczerniały i zwęglony placek z praśnej mąki. Tuż przy ognisku spoczywał nabijany rubinami i turkusami ankus królewski, skrząc się i błyszcząc w świetle słonecznym.

— Dziwnie sprawny jest ten przedmiot! Tylu ludzi sprzątnął w tak krótkim czasie! — zauważyła Bagheera. — Ale jak oni pomarli, mój Mowgli? Na żadnym z nich nie widać ani sińca, ani skaleczenia.

Mieszkaniec dżungli, dzięki swemu doświadczeniu, zna się lepiej na trujących jagodach i ziołach, niż niejeden lekarz. Mowgli powąchał dym, wznoszący się z nad ogniska, odłamał kawałek zwęglonego placka, wziął go do ust i natychmiast wypluł z obrzydzeniem.

— Jabłko śmierci! — zawołał, odchrząknawszy pokilkakroć. — Człowiek, któregośmy wpierv

spotkali, musiał wmieszać tę truciznę do jadła, przeznaczonego dla tych, co się go pozbyli, a przedtem zabili Gonda.

— Ładne łowy, niema co mówić! Cios za ciosem! Trupy prędko jada... — zauważyła Bagheera.

„Jabłkiem śmierci“ nazywają mieszkańcy dżungli kolczasty owoc dziedzierzawy*), najstraszliwszą i najprędzej działającą trucizną, jaką znają Indje.

— I cóż dalej? — spytała pantera. — Mamyż teraz my obaj wymordować się wzajemnie dla tego krwawookiego narzędzia zagłady?

— Czy ono umie mówić? — zapytał Mowgli szeptem. — Zali wyrządziłem mu krzywdę, gdy odrzucił je precz od siebie? To jednak pewna, że ani tobie, ani mnie nie zdoła ono uczynić nic złego, boć nie pożądamy tego, o co ubiegają się ludzie. Gdyby tę rzecz tu pozostawić, napewno nie omieszkałaby zabijać człowieka jednego za drugim i to z taką szybkością, z jaką spadają z drzewa orzechy, strącone wicherem. Nie miluję ludzi, to prawda, ale sześć trupów w ciągu jednej nocy, to i dla mnie za dużo!...

— E, co się tem przejmować! — mruknęła Bagheera. — Ludzie, to ludzie, nic więcej! Mordują się wzajemnie i jakoś im z tem dobrze...!

*) Dhatura stramonium — roślina z rodziny psiankowatych. (Przyp. tłum.)

Ów pierwszy mały człowiek leśny polował naprawdę zręcznie.

— Ludzie, to poprostu szczeniaki, które gotowe potopić się, byle ugryźć kawałek księżycowego blasku, zwierciadłacego się na wodzie. Ale cała wina jest po mojej stronie! — mówił Mowgli takim tonem, jakgdyby znał się wybornie na wszystkim. — Już nigdy nie przyniosę do puszczy żadnych obcych wymysłów... choćby były od kwiatów piękniejsze! Ten zaś dziwotwór — dodał, biorąc ankus ostrożnie w rękę — winien powrócić do ojca okularników. Wprzód jednak musimy się wyspać, a nie chciałbym spać obok tych ludzi... uśpionych... Trzeba też pogrzebać i tę błyszczącą gadzinę... bo gotowa znów nam uciec i zabić jeszcze z sześciu ludzi. Wykop mi jamę pod tem drzewem.

— Ależ, Mały Bracie — burknęła Bagheera, podchodząc ku wskazanemu miejscu. — Powiadam ci, że ten krwiopijca nic tu nie jest winien. Całą biedę ściągają na siebie tylko ludzie!

— Wszystko jedno! — zachnął się Mowgli. — Kop jamę, ale głęboką! gdy się przebudzimy, odgrzebiemy znów to dziwo i zaniesiemy je tam, skąd je wzięłem!

W dwie noce później, gdy Biały Kobra siedział markotnie w głębi mrocznej komory, osamotniony, oraz pelen żalu i wstydu z powodu poniesionej straty, nagle przez szczelinę w murze przeleciał

z furkotem królewski ankus, nabijany turkusami, i z głośnym szczękiem upadł na warstwę złotych monet.

— Ojczy okularniku! — zawołał Mowgli, chowając się przezornie za murem, — dobiez sobie kóregoś z młodszych, a co tęższych i roztropniejszych plemieńców, i razem we dwójkę pilnie strzeżcie królewskiego skarbca, by żaden człowiek nie wy dostał się stąd żywcem.

— Aba! Mój ankus-s-s wraca do mnie! Wsz-sz-szak mówilem, że w nim jes-st ś-ś-śmierć! Ale jak to się s-s-stało, żeś ty jeszcze żyw? — słabym głosem zasyczał stary kobra, owijając się pieczołowicie wokół rękojeści ankusa.

— Sam tego pojać nie mogę! Na wołu, który mnie okupił! Toż ten cudał położył sześciu ludzi trupem w ciągu jednej nocy! Nie pozwól, by miał jeszcze kiedy wyjść stąd na światło dzienne!

PIEŚŃ MŁODEGO MYŚLIWCA

Nim wrzaśnie horda małp obrzydła,
i nim paw Mor otrząśnie skrzydła,
nim Chil ścierwojad śmignie skrzydłem przez po-
wietrzny szlach,
przez puszcę mknie niepostrzeżenie
cień drobny, nikły, śląc westchnienie: —
To Strach, to Strach, Myśliwczę Młody, — och,
to Strach!

Cichuśko — hen — przez uroczyśka
cień baczny, czujny się przeciska —
i szept się szerzy wśród ostępu kniej i wydm
i łach —
I pot się perli na twej skroni,
bo szept ten goni wciąż i goni: —
To Strach, to Strach, Myśliwczę Młody, — och,
to Strach!

Nim księżyc wszędzie nad górami
i w srebrne smugi je popłami, —
gdy wszelki zwierz, skuliwszy ogon, drży w wilgot-
nych mgłach, —
tuż poza tobą, w nocnej ciszy,
czyjś oddech sapie, paraska, dyszy: —
To Strach, to Strach, Myśliwczę Młody, — och,
to Strach!

Uklęknij zwawo! Łuk napinaj —
powietrze świstem strzał przecinaj —
i ostrą włócznię pograż w pustych, urągliwych
krzacz!

Nie stanie się twym chęciom zadość:
drży dłoń, a w licach widna bladeść...
*To Strach, to Strach, Myśliwczę Młody, — och,
to Strach!*

Gdy w kłębach kurzu grzmi huragan,
gdy bór się wali, wichrem smagan,
gdy tnie ulewa, rozmywając grząski żwir i piach, —
nad ryk zawiei i nad gromy
głos huczy groźny, nieznajomy: —
*To Strach, to Strach, Myśliwczę Młody, — och,
to Strach!*

Strumienie z brzegów wystąpiły,
i z trzaskiem pędzą skalne bryły —
a każdą żyłkę liścia widać w błyskawicy skrach —
Twój głos zamiera, dech się późni,
a serce wali, jak młot w kuźni:
*To Strach, to Strach, Myśliwczę Młody, — tak,
to Strach!*

QUIQUERN

Mieszkańcy Wschodnich Lodów topnieją jako śnieg:
zebrzą o cukier i kawę; idą, gdzie idzie biały człek!
Mieszkańcy Lodów Zachodnich umieją walczyć i kraść:
sprzedają futra handlarzom, duszę sprzedają w obcą wiaść.
Mieszkańcy Lodów Południa z wielorybników biorą wzór:
ich żonom nie brak świecidel, zato w namiotach pełno
dziur...

Lecz Ludy Najstarszych Lodów, gdzie biały człek już szczeł,
zbroją się zębem narwala; ich kraj — to ziem najdalszy
kres!

(Przekład pieśni.)

— Patrz! Otworzył oczy!

— Połóż go zpowrotem na futrze. Będzie z tego
szczeniaka tęgi pies. Gdy skończy cztery mie-
siące, nadamy mu imię.

— A jakie? — zapytała Amoraq.

Kadlu powiódl oczyma wokolo, po wnętrzu
śnieżnej lepianki, obficie zasłanej futrami, aż
nakoniec zatrzymał wzrok na postaci czternasto-
letniego Kotuka, siedzącego na pryczy i strząca-
go guziki z zębów morsa.

— Nazwij go mojem imieniem! — ozwał się
Kotuko, uśmiechając się szeroko. — On mi się
kiedyś przyda.

Kadlu odpowiedział mu również szerokim uśmiechem — tak szerokim, iż skośne oczka niemal znikły w tłuszczu płaskich policzków — i kiwnął głową w stronę Amoraq, nie zważając na zajadle skowyczenie suki, gniewnej, iż nie może dosięgnąć swego szczenięcia, szamocącego się w małym worku z fokowej skóry, zawieszonym ponad ciepłym kagankiem tranowym. Kotuko zajął się znów struganiem kości, zaś Kadlu zwinął pęk skórzanych psich uprzęży i cisnął go w głąb malej bokówki, poczem zdjął z siebie ciężką skórę reniferową, stanowiącą jego strój myśliwski, złożył ją na fiszbinowej kracie ponad drugim kagankiem, usiadł na narach i jął krajać na plasterki kawałek zmarzniętego mięsa, czekając, rychło-li żona jego, Amoraq, przyniesie mu zwykły obiad, składający się z gotowanego mięsa i czerniny. Od samego świtu bawił na łowach koło jam foczych — osiem mil opodal — i wrócił dopiero przed chwilą, przywożąc jako zdobycz aż trzy ogromne foki. W głębi długiego i niskiego korytarza, czy lochu, wiodącego do wewnętrznych drzwi domu, słychać było warczenie i szczekanie psów, które, wyprężone z sań i na resztę dnia zwolnione z roboty, bily się z sobą o miejsce w najcieplejszym kącie.

Gdy naszczekiwania stały się zbyt głośnie, Kotuko zwlókl się ociężałe z legowiska i pochwycił harap o giętkiej, ośmnaście cali mierzącej, fiszbinowej rękojeści, oraz długiej na dwadzieścia pięć stóp, twardej pletni skórzanej. Gdy wszedł w głąb lochu, podniosła się wrzawa tak przeraźliwa,

jakgdyby psy wszystkie zamierzały pożreć go żywcem. Nie było to wszakże nic innego, jak zwykle przymilanie się przed jedzeniem. Gdy dogramolił się do końca lochu, sześć kosmatych łbów jęło wodzić za nim ślepiami niecierpliwie. On zaś podszedł do wieszaka ze szczęk wielorybich, na którym wisiało mięso dla psów przeznaczone; jął odkrawać szerokim ostrzem włóczni potężne platy tego zmarzniętego mięsiwa i stał w miejscu, trzymając w jednej ręce ów płat, w drugiej zaś harap. Wywoływał kolejno po imieniu wszystkie psy, poczynając od najsłabszego — a biada psu, który nadbiegł niewołany, bo ostrokończysty rzemień nie omieszkałby spaść z trzaskiem i szybko, jak błyskawica, wydzierając mu z grzbietu szmat skóry i kudłatej sierści. Nie pozostało więc zwierzętom nic innego, jak warknąć gniewnie, kłapnąć raz zębami i — dławiąc się otrzymaną porcją — zmykać zpowrotem do lochu, gdy tymczasem chłopak stał nadal na śniegu pod jaskrawą zorzą północną i dokonywał wymiaru sprawiedliwości. Na samym ostatku przychodził po swą należność czarny arcypies — olbrzymi przodownik sfory, który utrzymywał porządek wśród psów, idących w zaprzęgu; Kotuko obdarzył go podwójną porcją mięsa, jakoteż dodatkowem chlaśnięciem bicza.

— Ah, prawda! — odezwał się wkońcu, zwiając harap. — Mam-ci przecie jeszcze ponad kagankiem jednego psiaka, który będzie piszczał w niebogłosy. *Sarpok!* Do nory!

Przezołgał się zpowrotem wśród zbitych w gromadę psów, otrzepał suchy śnieg z kożucha bijakiem fiszbinowym, położonym koło drzwi przez Amoraq, ostukał skórzany okap domu, by strząsnąć sople lodowe, grożące opadnięciem z śniegowej kopuły, i siadł z podwiniętymi nogami na worku. Psy w lochu chrapały i skomlały przez sen, niemowlę w głębokiej futrzanej torbie na plecach Amoraq wierzgało nóżkami i dławilo się chlapiącym płaczem, a matka świeżo nazwanego szczenięcia legła przy boku Kotuka, wlepiwszy wzrok w ciepły i bezpieczny tobolek z fokowej skóry, zawieszony nad szerokim, żółtym płomieniem kaganka.

Wszystko to działo się hen, daleko na północy, poza Labradorem — poza cieśniną Hudsona, gdzie wielkie przyplawy morskie druzgocą o brzeg lodową skorupę — na północ od półwyspu Melville — ba, na północ od cieśnin: Szalonej i Hekli — na północnym brzegu kraju Baffina, tam, kędy Wyspa Byłota widnieje ponad lodowiskiem Lankasterskiego sundu, niby miseczka z budyniem, wywrócona dnem do góry. Na północ od Lankasterskiego sundu już mało co jest nam znanem, oprócz kraju Ellesmere i Północnego Devonu; atoli i tam żyją zrzadka ludzie, niejako najbliżsi sąsiedzi samego bieguna.

Kadlu był Inuitą — czyli, jak kto woli, Eskimosem, a jego plemię (liczące, ogółem wzięwszy, około trzydziestu osób) zaludniało Tununirmiut, czyli „krajnę, która leży poza wszystkim“. Na

mapach określono to pustkowie jako Zatokę Popasu Okrętowej Załogi, jednakże nazwa inuicka jest o wiele lepsza, gdyż kraj ten istotnie leży na samym krańcu świata. Przez dziewięć miesięcy w roku bywa tam tylko lód i śnieg i nawałnica za nawałnicą — oraz mróz, jakiego nie potrafi sobie nawet wyobrazić ten, kto nie oglądał nigdy zera na termometrze.*) Na dobitkę, przez sześć na owych dziewięć miesięcy panują tam nieprzebite ciemności — i to właśnie jest najstraszniejsze. W ciągu trzech miesięcy letnich mróz chwyta tylko co drugi dzień i w każdą noc; wówczas to na południowych stokach lodowców śnieg taje potrosze i garstka przyziemnych łóz wypuszcza kosmate baze, a wątle porosty skalne lub inne jakoweś roślinki zdają się kwitnąć; w tę porę gdzieniegdzie uwalnia się z lodów morze i obrzeża się usypiskami drobnego żwiru i okrągłych kamyczków, a gładkie glazy i pasiaste opoki wznoszą się ponad ziarnistym śniegiem. Wszystko to jednak przemija po upływie kilku tygodni; sroga zima nanowo okuwa ląd w twarde dyby, a na pełnym morzu wielkie kry lodowe zaczynają ścierać się i spierać, kłębić się i gnębić, szastać się i zrastać się z sobą — wkońcu wszystko przymarza, krzepnie, teżeje — i tworzy się gruby na dziesięć stóp pomost od strądu aż hen ku przestworom morskiej głębiny.

Zimą Kadlu uganiał za fokami aż do skraju

*) Oczywiście według skali Fahrenheita (Przyp. tłum.)

lodowisk lądowych, dźgając je włócznią, gdy wynurzały się z lodowych świści i przerębli celem nabrania tchu. Foka musi mieć otwartą toń morską, w którejby mogła przebywać i polować ryby; tymczasem skorupa lodowa niekiedy ciągnie się bez przerwy czterdzieści mil od najbliższego lądu. Dalekie więc nieraz musiały być jego wyprawy. Na wiosnę, gdy lody topniały, cofał się wraz ze swą drużyną w głąb stałego lądu, gdzie rozbijano namioty ze skór, chwymano w sidła przelotne ptactwo, lub zabijano młode foki, wygrzewające się w słońcu na wybrzeżu. Później zapuszczano się na południe do Kraju Baffina, gdzie ścigano renifery i zgarniano całoroczny zapas łososi w nielicznych strumieniach i jeziorach. We wrześniu lub październiku wracano na północ, gdzie urządzano polowanie na woly piżmowe lub — powszednim obyczajem — na foki. Wędrówki te odbywano przy pomocy psich zaprzęgów, zdolnych przebiec po dwadzieścia do trzydzieści mil dziennie, czasem zaś posuwano się wzdłuż wybrzeża w wielkich skórzanych „babskich kajakach“. Wówczas to psy i dzieci leżały potulnie u stóp wiosłarzy, a kobiety nuciły różne pieśni, przemykając się od przylądka do przylądka, po zimnej i gładkiej wodzie. Wszystkie przedmioty zbytku, jakie znano w Tununirmiucie, pochodziły z południa — a więc przyniesione wodą kawałki drzewa, przydatne jako płozy do sanek, dalej pręty żelazne do wyrabiania grotów harpuna, noże o stalowych ostrzach, blaszane kociołki, w których

o wiele lepiej było przyrządzać strawę, niż w daw-
szych naczyniach z miękkiego steatytu*), także
krzesiwo lub nawet zapalki, kolorowe wstążki dla
kobiet, tanie lusterka, tudzież czerwone sukno
do obrębiania kaftanów reniferowych. Kadlu
sprzedawał południowym Inuitom piękny ząb
narwala, złotawy a spiralnie skręcony, oraz zęby
wołu piżmowego, cenione narówni z perłami;
ci zaś z kolei wiedli handel z wielorybnikami oraz
stacjami misyjnymi w sundzie Exeterskim i Cum-
berlandzkim; tak podjęty łańcuch posuwał się
coraz dalej, i zdarzało się, że kociołek, kupiony
przez kucharza okrętowego w bazarze Bhendy,
dokonywał swego żywota nad pełnym tranu kagan-
kiem kędyś w mroźnym obrębie koła podbiegu-
nowego.

Kadlu, jako tęgi myśliwiec, miał poddostatkiem
żelaznych harpunów, noży do zdrapywania śniegu,
oszczepów, używanych na ptaki, oraz wszelkich
przyrządów, ułatwiających życie podczas wielkich
mrozów tamecznych. Był on ponadto naczelnikiem
swego plemienia, czyli, jak go zwano, „człowie-
kiem, który na wszystkim znalazł się z doświadcze-
nia“. Tytuł ten nie dawał mu żadnych praw
szczególnych — chyba to, że czasami udało mu
się namówić przyjaciół do zmiany łowiska; nie-
mniej jednak Kotuko zwykł był nieco zadzierać
nosa z tego powodu — ot tak, jak go zadzierać

*) Soapstone — kamień, odmiana talku. (Przyp. tłum.)

potrafią ospali i tłuszczem nalani Inuici — i wodził rej pomiędzy chłopcami, ilekroć wyszli nocą bawić się piłką przy świetle księżyca, lub śpiewać dziecięce śpiewki przy blaskach zorzy polarnej.

Ale w czternastym roku życia już Inuita czuje się mężczyzną, przeto Kotuko znudził się wyrobem sidła na dzikie ptactwo i młode lisy, a już całkiem obrzydło mu pomaganie kobietom w niemilej czynności żucia skór foczych i reniferowych (nie czyni skóry w tym stopniu giętką i podatną) — czynności, zapelniającej całkowicie owe, dłużące się dni, gdy dorośli mężczyźni wyruszali na polowanie. Marzył o tem, by mógł chodzić do *quaggi*, czyli domu modlitewnego, gdy mężczyźni zbierali się tamże celem odprawiania jakichś tajemniczych obrzędów — gdy *angekok*, czyli czarownik, zgasiwszy światła, obudzał we wszystkich obecnych dreszcz jakiejś rozkosznej trwogi — gdy słyhać było kroki ducha renifera, dudniące po dachu — i gdy włócznia, rzucona kędyś w nieprzeniknioną ciemność nocy, wracała, obryzgana ciepłą krwią. Marzył o tem, by mógł wieczorami z wyrazem zmęczenia na twarzy, jak przystało na pana domu — ciskać wielkie huciary na siatkę ponad ogniskiem i z przybyłymi w odwiedziny łowcami zasiąść do gry, przypominającej ruletkę, a sporządzoną domowym sposobem, z blaszanej miski i gwoźdźcia. Marzył jeszcze o wielu, wielu innych rzeczach i zajęciach, ale starsi śmiali się z niego i powiadali:

— Zaczekaj, aż się znajdziesz w powijakach,

mój Kotuko. Polowanie to nie to samo, co branie zdobyczy!

Teraz jednak, odkąd ojciec nadał jego imię szczeniakowi, sprawa przedstawiała się o wiele jaśniej. Inuita nie podaruje dobrego psa synowi, póki chłopak nie nabędzie pewnych wiadomości z zakresu psiej tresury; — Kotuko zaś był święcie przekonany, że wie już w tym zakresie wszystko, co potrzeba.

Gdyby szczeniak nie miał istic żelaznego zdrowia, napewnoby zdechl wkrótce, bądź z przejedzenia, bądź z nadmiaru ćwiczeń. Kotuko sporządził mu małą uprząż z długą szleją i ciągnął go tam i zpowrotem po podłodze izby, wrzeszcząc:

— *Aua! Ja aua!* (na prawo!) *Choiachoi! Ja choiachoi!* (Na lewo!) *Ohaho!* (Stój!)

Szczeniakowi mocno się nie podobało to tyrpanie go — niczem ryby, schwytanej na wędce; atoli było ono jeszcze istnym rajem w porównaniu z pierwszym zaprzęgnięciem do sanek. Siedział właśnie na śniegu i bawił się szleją z foczej skóry, biegnącą od jego upręży do t. zw. *pitu*, czyli olbrzymiego rzemienia na przodzie sań, — aż tu nagle sfera psów ruszyła i pomknęła co sił w nogach! Biedny psiak poczuł, że ciężkie, na dziesięć stóp długie sanie najeżdżają mu na grzbiet i zaczynają wlec go po śniegu; Kotuko śmiał się i śmiał, aż mu lzy pociekły po twarzy.

Odtąd już zmienił się dla psiaka rodzaj ćwiczeń — ćwiczone go mianowicie codziennie okrutnym batogiem, który świstał, jak wiatr nad lodami;

towarzysze dogryzali mu — nietylko szyderstwem, ale i zębami — że nie zna się na swej robocie; uprząż wżerała mu się w skórę, a co najgorsza, nie pozwalano mu już spać razem z Kotukiem — przeto musiał zadowalać się legowiskiem w lochu, i to w najzimniejszym kącie. Ciężkie to były czasy dla szczenięcia.

Chłopak też się uczył, równie prędko, jak pies. Atoli kierowanie sańmi, zaprzężonemi w psy, jest rzeczą wprost rozpaczliwą. Każdy z psów — począwszy od najslabszych, znajdujących się tuż obok woźnicy — jest przyprzężony do osobnej szlei, która przechodzi pod jego lewą nogą przednią i przymocowana jest do głównego rzemienia zapomocą guza i pętli; pętlę tę można rozluźnić jednym ruchem ręki, a tem samem oswobodzić jednego z psów, idących w zaprzęgu. Bywa to rzeczą konieczną, zwłaszcza u psów młodych, którym szleja nieraz wplątuje się między nogi tylne, wrzynając się niemal do kości. Poza tem niektóre psy mają zwyczaj składać w biegu wizytę swoim psim przyjaciołom, przeskakując smycze swych sąsiadów. Wynikają z tego różne bójki, a skutek jest taki, że nazajutrz rzemienie bardziej są zwiכלane, niż nieobeschły jeszcze niewód rybacki. Umiejętne używanie długiego bata może wybawić z kłopotu woźnicę. Każdy inuicki niedorostek chlubi się, że włada wybornie tem narzędziem; wszakże o ile łatwą jest rzeczą trafić w oznaczone miejsce na ziemi, o tyle trudniej znacznie przychodzi wychylić się z sań w pełnym biegu i chla-

snąć po grzbiecie — tuż poza szyją — upatrzonogo psa, wymykającego się z pod uderzeń. Gdy ktoś zwymyśla jednego psa za „urządzenie wizyt“, a przez omyłkę trzepnie innego, zaraz na tem tle wybucha zażarta bójka pomiędzy oboma, zmuszająca resztę sfory do zatrzymania się w miejscu. Jeśli zaś ktoś wda się w rozmowę z towarzyszem lub zacznie śpiewać coś sobie pod nosem, psy również stają, odwracają się, przysiadają na ziemi i oczekują rozkazów. Kotukowi kilkakrotnie się zdarzyło, że go psy poniosły, gdy zapomniał zahamować sanie przy stawaniu; połamal też niejednen bat i poszarpał niejednen rzemień, zanim zasłużył na to, by mu można było powierzyć lekkie sanki, zaprzężone w całą — osiem sztuk liczącą — psią sforę. Odtąd miał się za nader ważną osobę, a gdy z mężnem sercem i sprawną ręką mknął po czarnym, gładkim lodzie, to ponad onemi płaszczyznami oddech jego zionął takimi kłębamipary, jakie snują się za sforą rozszczekanych psów. Przebywszy mil dziesięć, zatrzymywał się na lowisku w pobliżu foczych kryjówek; tu odpinał od głównego rzemienia jedną szleję, wyzwalając wielkiego psa-przodownika, najmędrszego z całej sfory. Gdy pies zwęszył miejsce, gdzie kryją się foki, Kotuko-chłopak przewracał sanki płożami do góry i przytwierdzał je w miejscu zapomocą głęboko wbitych w śnieg dwóch rogów jelenich, które sterczały w górę, niby rączki dziecinnego wózka. Następnie czolgał się ostrożnie, cał za całem, a stanąwszy przy otworze czatował, rychło

wynurzy się z niego spragniony tchu łeb foczy. Doczekawszy się tej chwili, błyskawicznie miotal swój oszczep, opatrzony długą liną — i niebawem wyciągał swą zdobycz na brzeg lodu; podbiegał tu czarny pies-przodownik i już we dwójkę wlekli nieżywą fokę ku saniom. Psy, zaprężone do sanek, szczekały wniebogłosey i pienily się z wściekłości, a Kotuko kładł przed nimi długi bicz, niby zaporę z rozżarzonego żelaza, na ten czas, póki ciało foky nie stwardniało od mrozu. Powrót do domu był uciążliwym zadaniem. Obładowane sanie szły z trudnością po szorstkiej, lodowej grudzie, a psy — zamiast ciągnąć — przysiadaly na ziemi i żarłocznie spoglądały na fokę. Wkońcu jednak, wydostawszy się na utartą koleinę, wiodącą do wsi, zadzierały ogony, schylały lby ku ziemi i pędziły jak oszalałe po dźwięczącym lodzie, zaś Kotuko intonował „*Angutivun — tai — na taunane — taina*“, czyli „pieśń powracających lowców“ — a z mijanych chałup, leżących pod ciemnem, gwiazdami usianem niebem, odbrzmiewały wtórzące mu nawoływania i pozdrowienia.

Gdy pies Kotuko zmęźniał równie jak pan jego i imiennik, zaczął zabawiać się też na swój sposób. Wywalczal sobie mianowicie coraz większe znaczenie w psiej gromadzie — tocząc jedne po drugich uporczywe boje — aż pewnego pięknego wieczoru, podczas otrzymywania porcyj żywności, złapał za gardło wielkiego czarnego przodownika (Kotuko-chłopiec przyglądał się temu obojętnie) i uczynił z niego, jak się Inuici wyrażają, „dru-

giego psa“. W ten sposób zaawansował na stanowisko przodownika; odtąd biegł zawsze przy długim rzemieniu, o pięć stóp przed resztą sfory, nosił ciężką i grubą obrożę z miedzianego drutu i miał za obowiązek uśmierzać wszelkie psie bójk i zwady, czyto w zaprzęgu, czy w wyprzęgu. W pewne dni wpuszczano go do izby mieszkalnej i karmiono gotowanym mięsem, czasami zaś pozwalano mu spać na pryczy obok chłopcamiennika. Był wybornym psem gończym w lowach na foki, a umiał też naprowadzić wołu piżmowego pod oszczep myśliwski, to okrążając zwierzynę, tu skubiąc ją po lydkach zębami. Nie dość tego. Zdobywał się i na to, co dla psa pociągowego jest szczytem brawury, a mianowicie stawał do oczu posepnemu, wiecznie głodnemu wilkowi polarnemu, który bywa największym postrachem wszelkich psów wśród śniegów północy.

Obaj Kotukowie — opatulony w futra chłopak i długowłose, żółte psisko o zajadlej mordzie, białych kłach i zwężonych ślepiach — polowali zawsze we dwójkę, czyto w dzień, czyto w nocy, nie uważając reszty psiej sfory za godne siebie towarzystwo. Jedyne zajęciem Inuita jest zdobywanie jada i futer dla siebie i swej rodziny. Kobiety inuickie robią ze skór odzienie, a od czasu do czasu pomagają w zastawianiu sidła na mniejszego zwierza; atoli głównego zapasu żywności — a ludzie ci lubią grzeszyć obżarstwem — dostarczyć muszą mężczyźni. W razie niedostatku niema od kogo pożyczyć,

kupić ani wyzebrać choćby kęsa strawy, przeto nieboracy bywają wtedy skazani na wymarcie.

Ale o takich możliwościach Inuit nie zwykł myśleć, póki go nie przyciśnie prawdziwa bieda. Kadlu, Kotuko, Amoraq i niemowlę, po całych dniach wierzgające w skórzanym mieszk i przeżuujące gruzły tranu, czuli się w tem wspólnem pożyciu tak szczęśliwi, jak może żadna rodzina na tym świecie. Pochodzili z plemienia bardzo łagodnego (Inuit rzadko wybucha gniewem, a prawie nigdy nie bije dziecka) — z plemienia, które nie wie, co to kłamstwo, ani kradzież. Czuli się zadowoleni, iż mogą wśród tych przenikliwych, rozpaczliwych mrozów ubijać włócznią zwierzynę, rozjaśniać twarz gnuśnym, kleistym uśmiechem, opowiadać sobie wieczorami dziwne baśnie o wrózkach i upiorach, objadać się, póki starczy miejsca w żołądku, a w czasie długich, kagankiem rozjaśnionych nocy przysłuchiwać się monotonnej, wiekuiście jednakowej piosence „*Amma aya, aya amma, ah, ah!*“, nuconej przez kobiety, naprawiające odzież oraz przybór myśliwski.

Ale podczas jednej okropnej zimy wszystko ich zawiodło. Obywatele Tununirmiut powrócili z dorocznego połowu łososi i pobudowali się na świeżym lodzie na północ od Wyspy Bellota, gotowi iść w pościg za fokami, gdy morze zaczęło zamarzać. Atoli jesień była wczesna i sroga. Przez cały wrzesień szalały ustawiczne nawałnice, tak silne, że podwazyły świeży lód, gruby ledwie na cztery do pięciu stóp, i wypchnęły go w głąb łądu,

piętrząc olbrzymią — na dwadzieścia mil szeroko — zaporę poszarpanej, bryłowatej kry, najeżonej ostremi iglicami, po której niepodobna było ciągnąć sanek. Krawędź lodów, gdzie foki zwykły były żerować w zimie, znajdowała się może o dwadzieścia mil poza tą zaporą. Mieszkańcy Tununirmiutu nie potrafili tam dotrzeć — jednakże i tak udało się im jakoś przeżyć tę zimę dzięki zapasom mrożonych łososi i stężałego tranu, oraz zastawianym sidłom, gdyby nie to, że w grudniu jeden z ich drużyny łowieckiej napotkał *tupik*, czyli namiot ze skór zwierzęcych, a w nim ledwie żywe trzy kobiety i jedną dziewczynę kędys z dalekiej północy. Były same i bezradne; mężczyźni z ich plemienia wyjechali w skórzanych kajakach polować na długozębego narwala i poginęli, rozbiwszy się o lody. Inuit nigdy nie odmawia kęsa strawy przybyszowi — hoć nie wie, czy sam nie będzie zmuszony o nią żebrać. Przeto Kadlu, rad nie rad, porozdzielał kobiety pomiędzy chaty zimowego osiedla. Amoraq przygarnęła do swego domu dziewczynę, mogącą liczyć około lat czter nastu, i uczyniła z niej jakby służebnicę w gospodarstwie. Z kroju jej wyżębionej spódnicy, oraz po długim, jakby brylantowym wzorku na jej białych reniferowych pantalonach wywnioskowano, że przybyła z kraju Ellesmere. Nigdy dotąd nie widywała ani blaszanych naczyń, ani sań z drewnianymi płozami; mimo to Kotuko-chłopiec i Kotuko-pies bardzo ją polubili.

Tymczasem wszystkie lisy powędrowały na po-

ludnie; nawet skunksy, te gderliwe, tępogłowe złodziejaszki, plądrujące wśród śniegu, nie zadawały sobie trudu, by włóczyć się po linii pustych pulapek, zastawionych przez Kotuka. Gromada straciła dwóch najlepszych myśliwców, którzy zostali szpetnie pogruchotani w walce z wołem pizmowym — to zaś przyczyniło roboty innym. Kotuko wyprawiał się dzień po dniu na lekkich saneczkach myśliwskich, zaprzężonych w sześć lub siedem najsilniejszych psów, wypatrując — póki go nie zboląły oczy — czy w jakiej lodowej świści lub przerębli nie obaczy wynurzającego się lba fok. Pies Kotuko uganiał hen na wszystkie strony, zapędzając się niekiedy bardzo daleko. Wśród lodowisk panowała tak głucha cisza, iż gdy o trzy mile opodal udało mu się wykryć norę fok, to stłumiony, pełen podniecenia jego skowyt dobiegał do uszu chłopca z taką wyrazistością, jakgdyby pies znajdował się tuż przy nim. Wówczas chłopak podjeżdżał bliżej, budował sobie niziuchny wał ze śniegu, by uchronić się od zaciekłych szturmów dokuczliwego wichru, i czatował na fokę — czasem dziesięć, czasem dwanaście, czasem nawet dwadzieścia godzin — wlepiając oczy w maluchny znaczek nad przerębłą, mający dopomagać do wycelowania rzutu harpunem. Pod nogami miał Kotuko małą wyściółkę z foczej skóry, a golenie osłaniał oponą, zwaną *tutareng* — tą właśnie, o której mu dawniejszemi czasy wspominali starzy myśliwi, nazywając ją powijakiem; zabezpiecza ona od zmarznięcia nogi człowieka,

zmuszonego czatować godzinami nieruchomo na wyrzucenie się czujnej foki. Takie milezące przedsiadywanie w skórzanym worku przy temperaturze 40ⁿ poniżej zera nie daje może silnych wrażeń myślowemu — w każdym razie niema powodu wątpić, iż jest to najciężliwsza praca, jaką znają Inuici.

Gdy udało się upolować fokę, pies Kotuko wyskakiwał naprzód, wlokąc za sobą smycz, i pomagał chłopcu ciągnąć zdobycz ku saniom, przy których kułily się zgłodniałe, posępne i wymęczone psy, węsząc wiatr, ciągnący od szczeliny w lodzie.

Upolowana fokka nie starczyła na długo, boć w wiosce każda z gęb miała prawo do kęsa strawy. Nie zmarnowano ani żył, ani kości, ani skóry. Psie porcje przeznaczono teraz dla ludzi, a psy karmiła Amoraq strzępami starych letnich namiotów skórzanych, wyciągniętych z pod legła. Sfora wyla i wyla raz po raz przez dzień cały, a i po nocach budziła się, by wyć z głodu. Po kaganakach w każdej chacie poznać było można, że mieszkańcom zagraża śmierć głodowa. W dawniejszych dobrych czasach, gdy tranu było poddostatkiem, płomienie w lódkowatych naczynkach strzeły na dwie stopy wzwyż — siejąc miłe, żółtawe, łagodne światło. Teraz w najlepszym razie dosięgały sześciu cali wysokości — bo ilekroć knot z mchu ukrecony rozjarzył się zniennaćka choć na chwilę żywszym ogniem, natychmiast Amoraq przezornie pogrążała go głębiej — a cała rodzina

z niepokojem śledziła ruchy jej ręki. Straszliwa jest śmierć głodowa wśród przejmujących mrozów, aleć większą grozę budzi śmierć w ciemności. Wszyscy bez wyjątku Inuici lękają się tej ciemności, która gnębi ich corocznie przez sześć miesięcy bez przerwy — przeto, gdy w lodowych chatynkach poczną przygasać światła kaganków, w dusze ludzkie wdziera się nieopisany zamęt i niepokój...

Ale nie był to koniec niedoli. Nadciągały gorsze jeszcze czasy.

Wyglądzone psy co noc zgrzytały zębami i wylały w głębi podziemia, wpatrując się w wyiskrzone gwiazdy i chwytając w nozdrza wichr lodowaty. Gdy milkło ich wycie, pod drzwiami chaty zapadła cisza tak ciężka i zwarta, niczem zaspasniegowa, — a ludzie słyszeli pulsowanie własnej krwi w wąskich przewodach narządu słuchowego, oraz dudnienie własnych serc, które zdało się im głośnie, jako odległy warkot hębnów szamańskich.

Jednej nocy pies-Kotuko, który od pewnego czasu — zwłaszcza idąc w zaprzęgu — był niesłychanie markotny, zerwał się nagle i otarł się łbem o kolano swego imiennika. Chłopiec poklepał go pieszczotliwie, ale pies parł wciąż łbem naprzód, jak ślepy, lasząc się przytem dziwnie. Wówczas ocknął się Kadlu, ujął oburącz potężną, jakoby wilczą jego paszczękę i wpatrzył się w zaszle bielmem oczy. Pies zaskomlał, jakgdyby się czegoś przeraził, i zaczął trząść się między kolanami Kadlu. Sierść zjeżyła mu się na szyi, zawarczał

groźnie, jakgdyby poczuł obcego przybysza, wreszcie jął szczeekać radośnie, tarzać się po ziemi jak małe szczenię i gryźć but swojego pana.

— Cóż to mu się stało? — zapytał Kotuko, przejęty niepokojem.

— To choroba... psia choroba — odpowiedział Kadlu.

Pies podniósł pysk wgórę i zaczął znów wyć długo, żałośliwie.

— Nigdy nie widział czegoś podobnego — rzekł chłopak. — I cóż z nim teraz będzie?

Kadlu wzruszył nieznacznie ramionami i przeszedł na drugi koniec izby, szukając krótkiego, ostrego harpuna, z którym zwykle udawał się na łowy. Pies powiódł za nim oczyma, zawył znowu i przebiegłszy przez loch, gdzie pozostałe psy rozstąpiły się przed nim z pośpiechem, wypadł na dwór. Znalazłszy się na śnieżnej przestrzeni, jął ujadać zaciekle, jakby wpadł na trop wołu piźmowego. Szczekał tak czas jakiś, skakał i miotał się jak opętany, aż wkońcu przepadł gdzieś w ciemności.

Przyczyną tych wszystkich dziwnych objawów była nie wścieklizna, ale najzwyczajszy w świecie obłąd. Głód i chłód, a nadewszystko przerażająca ciemność wywołały zamęt w biednej psiej głowie. Trzeba zaś wiedzieć, że gdy już raz pojawi się w psiarni owa psia choroba, to już się szerzy niepowstrzymanie jak pożar. Uległ jej w czasie najbliższych łowów drugi pies, który począł szarpać się w uprzęży, rwać wodze i gryźć swych

towarzyszy, aż wkońcu dopadł go Kotuko i nie bez trudności pozbawił życia. Potem znów czarny „drugi pies“, który dawniej był przodownikiem sfory, zaczął ni z tego ni z owego szczekać, jakby przywidział mu się ślad jakiegoś renifera; gdy go odczepiono od „pitu“, rzucił się na pobliską bryłę skalną, jakgdyby ją chwytal za gardło, a następnie znikł kędyś wdali, jak jego poprzednik, wlokąc za sobą uprząż.

Od tego czasu nikt już nie chciał wyprowadzać psów na polowanie — przeznaczano je bowiem do innego użytku. Psy wiedziały, co je czeka — więc, choć je powiązano i karmiono z ręki, jednakże w ich ślepiach malowała się rozpacz i trwoga. Nadomiar złego stare baby zaczęły opowiadać straszne historie — zwłaszcza o spotkaniach z widmami łowców, zaginionych w czasie ostatniej jesieni, i o groźnych przepowiedniach, jakie posłyzały z ust tych niesamowitych przybyszów.

Kotuko niczem się tak nie martwił, jak utratą swego psa. Głód był dlań mniejszem zmartwieciem, bo choć Inuici są skłonni do obżarstwa, jednakże umieją też i głodować. Ale głodówka wespół z mrozem, ciemnością i grożącym niebezpieczeństwem odbiły się wkońcu na jego siłach — iż poczał słyseć dziwne jakieś głosy, odzywające się jakby pod czaszką, i dostrzegał kącikiem oka jakieś dziwne, nieistniejące ludzkie postaci. W pewną noc, po dziesięciogodzinnem czatowaniu kolo „ślepej“ przerębli, zdjął z nóg worek skórza ny i z próżnemi rękami wracał do osady. Ledwie

się trzymał na nogach i w głowie mu się kręciło ze zmęczenia — to też przystanął na chwilę, by oprzeć się plecyma o wielki głaz, lekko osadzony — niby ramię wagi — na samotnie sterczącej iglicy lodowej. Ciężar chłopca wytrącił rzecz całą z równowagi; głaz runął ze swej podpory i począł z jękiem i zgrzytem staczać się po śliskiej, lodowej spadziznie, tuż poza plecami chłopca, który ledwo miał czas uskoczyć w bok i uniknąć śmierci.

Przygoda ta wydała się Kotukowi dostateczną wskazówką. Wychowano go w wierze, że każda skała i głaz ma w swem wnętrzu żyjącą istotę czyli *inua*. Jest to najczęściej jednooka stwora rodzaju żeńskiego, zwana *tornaq*. Otóż, ilekroć taka *tornaq* chciała przyjść z pomocą człowiekowi, toczyła się za nim razem ze swym kamiennym domkiem, dopytując się, czy nie zecheałby jej obrąć za swą opiekunkę. W czasie letnich roztopów nieraz się zdarza, że wsparte dotąd na krach lodowych glazy i skały toczą się lub wędrują po powierzchni ładu — stąd to, jak łatwo wnosić, urosły podania o żywych kamieniach.

Kotukowi szumiła — przez dzień cały zresztą — krew w uszach, on jednak wyobraził sobie, że to przemawia doń *tornaq*, ukryta w kamieniu. Zanim dotarł do domu, był święcie przekonany, że odbył z nią długą rozmowę; ponieważ wszyscy uważali to za rzecz całkiem możliwą, przeto nikt mu nie przeczył.

— Ona mówiła: „Skaczę, skaczę wdół z mego siedliska na śniegu!“ — krzyczał Kotuko, pochyl-

lając się naprzód i wodząc zapadłemi głębo-
koczyna po słabo oświetlonej chatynce. — Ona
powiedziała: „Będę twoją przewodniczką“. Tak
jest! „Zaprowadzę cię“ (powiada) „do miejsc,
gdzie roją się foki“. Jutro więc wyruszę, a *tornaq*
będzie mi przewodniczką.

Naraz w drzwiach chaty ukazał się *angekok* —
szaman miejscowy. Kotuko opowiedział mu po raz
drugi całą powyższą opowieść, nie opuszczając
z niej ani słowa.

— Idź tam, gdzie cię wiodą *tornait* (duchy
skalne), a one obdarzą nas pożywieniem — rzekł
angekok.

Dziewczyna z Dalekiej Północy leżała od kilku
już dni tuż obok kaganka, mało co jedząc,
a jeszcze mniej mówiąc. Gdy jednak nazajutrz
Amoraq i Kadlu przyłudzili dla syna małe ręczne
saneczki, kładąc w nie cały jego przybór myśliw-
ski, oraz cały zapas tranu i mrożonego mięsa,
jaki zdołali zaoszczędzić, ona wstała z legowiska,
ujęła sznur sanek i śmiałym krokiem poczęła iść
przy jego boku.

— Twój dom jest moim domem — odezwała
się, gdy wyrobione z kości saneczki zaczęły wśród
zgrzytu i stuku sunąć poza nimi poprzez przeraża-
jącą gluszę nocy podbiegunowej.

— Mój dom jest twoim domem — odpowiedział
Kotuko, — ale mnie się zdaje, że oboje razem
zawędrujemy do Sedny.

Sedna jest to imię władczyni podziemia. W jej
straszliwej krainie — jak wierzą Inuici, — każdy

człowiek musi po śmierci przebyć rok cały, zanim podąży do Quadliparmiut, czyli miejsca wiecznej szczęśliwości, gdzie niema mrozów, a tłuste renifery przybiegają na każde zawołanie.

Po całej osadzie biegły okrzyki:

-- *Tornaity* przemówiły do Kotuko. One mu wskażą przeziory w lodach, gdzie będzie można zaopatrzyć się w focze mięso.

Głosy te niebawem pochłonęła mroźna ciemność lodowych pustkowi. Kotuko i dziewczyna szli ramię w ramię, ciągnąc wspólnymi siłami linę pociągową lub popychając sanki przez najeżone lodozwały. Kierowali się ku morzu Podbiegunowemu. Kotuko twierdził, że *tornaq* kazała mu iść na północ — przeto szli wytrwale w tym kierunku, mając nad głową konstelację *Tuktuq-djung*, czyli Renifera, noszącą u nas miano Wielkiej Niedźwiedzicy.

Szlakiem tym, skroś rumowiska lodowych okruców i zębatych ostrokołów kry, żaden Europejczyk nie przeszedłby ani pięciu mil dziennie. Oni jednak radzili sobie wybornie. Umieli lekkim skrzętem ręki w przegubie przeprowadzić sanki dokoła każdego wzgóрка, jednym szarpnięciem wydobyć je z lodowej rozpadliny, a paroma spokojnymi ciosami utorować sobie bez nadmiernego wysiłku wygodną drogę tam, gdzie napozór piętrzyły się nieprzebyte zawady.

Dziewczyna nie mówiła nic, tylko zwieszała głowę, a miotane wiatrem długie kosmyki na skunksowej obszewce jej gronostajowego kaptura

smagały ją po szerokiej, ciemnej twarzy. Niebo nad głowami ich obojga miało gęstą barwę czarnego aksamitu, zaś na horyzoncie, gdzie rzędy wielkich gwiazd płonęły naksztalt latarń ulicznych, mieniło się wstęgami ciemnej czerwieni. Od czasu do czasu przetaczała się po wysokim stropie zenitu zielonawa fala światel północnych, zamigotała jak bandera na szczycie masztu — i znikala. Kiedyindziej rozbłyskała nagle na tle ciemności gwiazda spadająca i równie prędko gasła, wlokąc za sobą snop iskier. Wówczas ukazywała się przed oczyma wędrowców pełna brózd i ostrych kantów powierzchnia lodów, dziergana i obrzeżona paszami przedziwnych kolorów: czerwieni, bronzu i sinego błękitu. Przy zwykłym świetle gwiazd wszystko zmieniało się w jednolitą szronową szarzyznę. Jak sobie przypominacie, lodowa skorupa powykrzywiała się i pozapadała pod nawałą burz jesiennych — to też ruiną swoją przypominała obraz trzęsienia ziemi. Były tam przeróżne parowy i wąwozy; były wyrwy w lodzie, podobne wydrążonym przez ludzi żwirowiskom; nie brak też było sopli i okruchów, przymarzniętych do pierwotnej płyty lodowej; trafiały się też tafle starego, czarnego już lodu, który, wepchnięty ongi nawałnicą pod krawędź zamarzonego obszaru, wydobył się zczasem znów na powierzchnię. Obok brył krągłych szczyrzyły się, naksztalt zębatej piły, ostre wręby lodowych przednourzy, przystrojone wykwitami śniegu, naniesionego przez wiatry, indziej zasię rozwierała się, kilkadziesiąt akrów

powierzchni obejmująca, zapadłość, leżąca na pięć lub sześć stóp poniżej poziomu pól śnieżystych. Z niewielkiej odległości można było wziąć owe bryły lodowe za fokę, morsa, przewrócone sanie, albo i gromadkę lowców, ba nawet za samego białego niedźwiedzia-upiora o dziesięciu nogach. Wszystkie te zjawy miały taki wygląd, jakgdyby były gotowe lada chwila zerwać się do życia — ale wokół nie było słychać najłżejszego szmeru, ni echa. Wśród tej ciszy i pustki, gdzie co pewien czas rozbłyskiwały nagle i równie prędko gasły dziwne nieziemskie światła, snuły się sanie z zaprzężonymi do nich ludźmi — niby jakieś blade sennie zwidy-niewidy — jakieś mary nocne, jawiące się w snach o końcu świata, wysnionych iście na samym *końcu świata* . . .

Ilekróć poczuli zmęczenie, Kotuko budował tak zwaną przez myśliwców „budę“, czyli maluchną lepiankę śniegową, gdzie siedzieli skuleni, usiłując rozgrzać zmarznięte mięso nad kagankiem. Przespawszy się nieco, ruszali w dalszą drogę. Przebywali po trzydzieści mil dziennie, by posunąć się pięć mil na północ. Dziewczyna milczała uporczywie, natomiast Kotuko mruczał wciąż coś pod nosem, a od czasu do czasu nucił pieśni, jakich nauczył się w „domu śpiewaczym“; były pieśni o lecie, renach i łososiach, rażąco sprzeczne z porą roku i sytuacją. Niekiedy oświadczał, że słyży *tornaq*, przemawiającą doń półgłosem, — poczem z dzikim rozpędem wbiegał na pierwszy lepszy wzgórek, trzęsąc rękoma i wykrzykując coś

groźnym głosem. Prawdę powiedziawszy, Kotukowi już niewiele brakowało do szaleństwa. Jednakowoż dziewczyna była przekonana, że prowadzi go duch opiekuńczy i że wszystko skończy się pomyślnie. Nie zdziwiła się przeto nawet wówczas, gdy po czwartym marszu całodziennym Kotuko — z oczyma palającymi jak dwie kule ogniste — oznajmił jej, że *tornaq* postępuje za nimi w postaci psa o dwu głowach. Dziewczyna spojrziała w kierunku, wskazanym jej przez Kotuka, i rzeczywiście wydało się jej, że dostrzega jakąś istotę, która w tej chwili zsunęła się w rozpadlinę.

Nie była to napewno istota ludzka, ale wiadomo, że *tornaity* wolą ukazywać się w postaci fok, niedźwiedzi i wszelakich zwierząt. Mógł to być sam biały dziesięcionogi niedźwiedź-upiór, jeżeli nie coś jeszcze gorszego, bo Kotuko i dziewczyna byli tak zmorzeni głodem, że niedowierzali już swemu wzrokowi. Od czasu wyjścia z wioski nie upolowali nic, a nawet nie dostrzegli śladu zwierzyny. Zapasy, jakie mieli z sobą, mogły im starczyć ledwie na tydzień; tymczasem zaś już w oddali nadciągała zawierucha. Burza podbiegunowa zdolna jest trwać przez dziesięć dni bez przerwy — a wówczas każdy, kto znalazł się w czystym polu, skazany jest na śmierć nieuchronną. Kotuko wznosił chatę śniegową, dostatecznie wielką na pomieszczenie sanek ręcznych (przezorność nakazuje, by nie rozstawać się z zapasami żywności), a gdy nadawał odpowiedni kształt bryle, mającej stanowić zwornik sklepienia, ujrzał jakąś istotę,

pozierając nań z małego lodowego cypla, znajdującego się o pół mili opodal. Powietrze było mgliste — przeto owa zjawa zdawała się zmieniać wciąż w swych zarysach; miała jakoby czterdzieści stóp długości i dziesięć stóp wysokości, a ogon ciągnął się na stóp dwadzieścia. Dziewczyna również ją dostrzegła, ale zamiast krzyknąć głośno z trwogi, odezwała się spokojnie:

— To Quiquern. Ciekawam, co teraz się stanie.

— On chce ze mną mówić! — rzekł Kotuko, ale szpadel drzał mu w ręce przy tych słowach, bo choć ta człek nieraz podaje się za przyjaciela straszliwych i nieznanych duchów, to jednak rzadko kiedy ma ochotę poprzeć czynem swoje słowa . . .

Quiquern jest to widziadło olbrzymiego, bezwłosego i bezzębnego psa, który — wedle wierzeń inuickich — żyje na dalekiej północy i wędruje po tych okolicach, gdzie ma wkrótce zdarzyć się coś niezwykłego. Mogą to być zdarzenia pomyślne lub niepomyślne — atoli nawet szamani nie lubią wspominać o Quiquernie. Jego pojawienie pobudza psy do szaleństwa. Ma on, podobnie jak widmo niedźwiedzia, kilka zapasowych par odnóży — jakoż i dziwna istota wyczyniająca dziwne skoki wśród mgły miała więcej nóg, niż ich sobie liczy pies zwyczajny.

Kotuko i dziewczyna schronili się pośpiesznie do lepianki: Ma się rozumieć, że gdyby Quiquern zechciał, mógłby naprzekór wszelkim zabiegom rozszarpać ich w kawałki; bądź co bądź jednak

wielką pociechę dawała im świadomość, że gruba ściana śniegowa oddziela ich od okropnej ciemni, zalewającej świat cały. Wichura rozwrzeszczała się przeraźliwym hukiem i gwizdem, niby pędzący pociąg błyskawiczny — i szalała przez trzy dni i trzy noce, nie zmieniając ani trochę swej nuty i nie słabnąc ani na chwilę. Oni przez siedemdziesiąt dwie godziny podsycali kaganek kamienny, ogrzewający ich kolana, żuli ledwie że ciepłe mięso focze i przyglądali się smugom czarnego kopci, osiadającego na stropie lepianki. Dziewczyna przeliczała leżące na sankach zapasy, z trudem mogące wystarczyć na dwa dni, a Kotuko oglądał żelazne ostrza i z żyl reniferowych sporządzone wiązadła harpunu, oszczep, używany na foki, oraz sidła na ptaki. Innego zajęcia nie było.

— Rychło... bardzo rychło... pójdziemy do Sedny — szepnęła dziewczyna. — Za trzy dni położymy się i pomrzemy. Czyż twoja *tornaq* nie nam nie poradzi? Zaśpiewaj jej jakąś pieśń szamańską, a może się tu zjawi...

Głosem przeraźliwym — na nutę najwyższą, jaką mógł z gardła wydobyć — Kotuko jął zawodzić guślarskie pieśni i zaklęcia. Nie pieśń to była raczej, ale wycie. Burza zwołna poczęła przycichać. W połowie jego śpiewów dziewczyna zerwała się i przyłożyła urękawiczoną dłoń, następnie zaś głowę do lodowego dna lepianki. Kotuko poszedł za jej przykładem i leżeli tak na kłęczkach oboje, patrząc sobie wzajemnie w oczy i nasłuchując każdą niejako tkanką swego ciała. On odłupał

cienką szczypkę fiszbinową z leżących na sankach sidła na ptaki i wyprostowawszy ją, wetknął prostopadle w małą szparkę w podłodze, przytrzymując dłonią górny koniuszek. W ten sposób powstał przyrząd niemal tak czuły, jak igła busoli. Odtąd, zamiast nadśluchiwać, przyglądali się. Pręcik drgnął — ruchem ledwie dostrzegalnym — potem chwiał się regularnie przez parę sekund, znieruchomiał na chwilę i znów zaczął drgać, tym razem już wskazując inną stronę świata.

— Jeszcze za wcześnie! — ozwał się Kotuko. — Jakaś duża płyta lodowa musiała się oderwać gdzieś opodal.

Dziewczyna wskazała na pręcik i potrząsnęła głową.

— Nadszedł czas wielkiego pęknięcia lodów — odpowiedziała. — Przyłóż ucho do ziemi, a posłyszysz stukanie.

Tym razem, gdy przyklękli, posłyszeli dziwne, stłumione jęki i stukanie, rozlegające się jakoby tuż pod ich nogami. Odgłosy te czasem przypominały skomlenie ślepego szczeniątka, zawieszona nad kagankiem; czasem zgrzyt glazu, toczącego się po twardej skorupie lodowej; to znów przysłuszony warkot hębna — ale wszystkie brzmiały przewlekłe i niewyraźne, jakgdyby przedostawały się tu przez małą słuchawkę z wielkiej, bardzo wielkiej odległości.

— Tak jest! Pójdziemy do Sedny, ale nie na śmiertelnym łożu! — rzekł Kotuko. — To lody

pękają. Oszukała nas *tornaq*. Zginiemy już niebawem!

Jakkolwiek cała ta rozmowa mogłaby się komuś wydać niedorzeczną, to jednak Kotukowi i dziewczynie groziło teraz istotnie poważne niebezpieczeństwo. Szalejąca od trzech dni burza przygnała z południa, od zatoki Baffina, nawalę głębinnej wody, która, wtargnąwszy daleko w głąb lądu, spiętrzyła się na krawędzi lodowego cypla, ciągnącego się w kierunku zachodnim od Wyspy Bylota. Na dobitkę, silny prąd, który przebiega na wschód od cieśniny Lankasterskiej, przyniósł ciągnące się milami zatory kry, która nie zdążyła stężeć w jednolitą skorupę. Ta kra tłukła tysiącem ostrych taranów w ścianę lodów, którą jednocześnie miękczyły i podwazyły zaciekle nurty wezbranej morskiej kipieli. To, czemu przysłuchiwał się Kotuko i dziewczyna, było tylko słabym odgłosem walk, rozgrywających się o trzydzieści lub czterdzieści mil opodal — walk tak wstrząsających, że na samo ich wspomnienie drżała z trwoży mała wróżbiarska laseczka fiszbinowa.

Otóż, powiadają Inuici, że gdy łód raz się przebudzi po długim śnie zimowym, niepodobna przewidzieć, co się zdarzyć może lada chwila — bo twarda masa lodowej skorupy staje się podówczas tak niestalą i zmienną, jak obłoki na niebie. Snadź owa burza była przedwczesną burzą wiosenną — i wszystkiego można się było po niej spodziewać.

Wszelakoż ci dwoje, zagrożeni niepewnymi losy, czuli się szczęśliwsi, niż przód. Nie trapiłi się,

że pękający lód może się rozewrzeć pod ich stopami; wiedzieli, iż byłby to dla nich kres mąk i wyczekiwania. Na krach i złomach lodowych lubiły snuć się i hasać planetniki i duszki, djabłeta i jędze, więc lacno mogli zstąpić do Sedny wraz z hałastrą najprzeróżniejszych dziwnych istot, których sam widok napelnia człeka podnieceniem.

Gdy po burzy opuścili lepiankę, łoskot, nadbiegający od krańców widnokregu, wzmagał się ustawicznie i rósł w siłę, a topniejący po wierzchu lód pojękiwał i gwarzył wszędy wokół.

— Patrz-no! On tam na nas czeka! — rzeki Kotuko.

Na szczycie wzgóрка siedziała owa ośmionoga Istota, którą widzieli przed trzema dniami. Siedziała — a raczej kulila się — i wyla przeraźliwie.

— Chodźmy za nim! — ozwała się dziewczyna. — Może on wskaże nam jakąś drogę, która nie wiedzie do Sedny.

Wzięła w ręce linę i poczęła ciągnąć sanie, ale nogi się pod nią gięły i zataczała się z osłabienia.

Tymczasem potwór podniósł się i jął zwołna, niezgrabnie posuwać się po lodowych garbach na zachód, w stronę lądu. Szli i szli za nim, ścigani przez coraz to bliższy huk, biegnący z nadmorskiego wybrzeża. Na obszarze trzech albo i czterech mil widać było skorupę lodową popękaną i porysowaną we wszystkich kierunkach. Wielkie polacie lodu grubego na dziesięć stóp, a mierzące

od kilku sążni kwadratowych do dwudziestu akrów powierzchni, podrygiwały, nurkowały, kłębiły się oraz wskakiwały na siebie wzajemnie, albo też na nieprzebitą jeszcze skorupę — niesione i miotane kipiącą morską powodzią. Te napastliwe i miażdżące bryły były jakby pierwszą linią wojska, wysłanego przez rozszalały żywioł wodny przeciw żelaznej potędze mroźnego królestwa. Wśród ich ciągłego huku i trzasku cichnął niemal doszczętnie chrzęst płatów kry, spychanych odrazu całą więzią pod brzeg lodu — jakby ktoś wrzucał w pośpiechu całą talję kart pod sukno. Tam, gdzie woda była płytka, te płaty piętrzyły się jedne na drugich, póki najniższy z nich nie zarył się na pięćdziesiąt stóp w muliste dno; wówczas morze przybierało barwę mętną i póty parło na zaporę brudnego lodu, aż wkońcu łamała się pod coraz to rosnącym naciskiem i dawała swobodne przejście balwanom. Jakby nie dość było kry i macierzystego lodowiska, nawałnica i prądy morskie nanosiły od strony Grenlandji lub z północnego wybrzeża zatoki Melville'a prawdziwe góry lodowe. Nadjeżdżały one z wielką okazałością, w okwieciu białej piany, podobne staroświeckim statkom o rozwiniętych wszystkich żaglach. Były pomiędzy nimi olbrzymie i masywne turnice — rzekłbyś, że gotowe ruszyć z posad wszelki ład napotkany; ale gdy już docierały do lodowego obszaru, osiadały przed nim bezradnie, kręciły się w kółko i plawiły się w brudnych mydlinach piany, wśród miału rozbryzgiwa-

nych sopli. Natomiast inne — mniej okazałe — wrzynały się w zrąb macierzystego lodu i rozmiatając na oba boki całe tonny pryskających okruców, ryły w nim szlak, mający nieraz milę długości. Niektóre uderzały niby tasaki, wyrębiając w lodzie kanały o poszarpanych brzegach, inne zaś rozpryskiwały się w istną ulewę odłamków, ważących po kilka tonn każdy z osobna, a przewalających się i wirujących kłębem wśród lodowych wzniesień. Inne znowu, osiadłszy na mieliznach, wynurzały się całkowicie z wody, wily się jakoby w bólu i waliły się całym ciężarem nabok, wystawiając grzbiet swój na chłostę wodnej przelewy. To gromadzenie się lodowych zatorów, to ich miażdżenie się wzajemne, ich wiązanie się, piętrzenie i wyginanie w najrozmaitsze postacie widoczne było, jak okiem sięgnąć, na całej północnej rubieży lodowiska. Z miejsca, gdzie znajdował się Kotuko z dziewczyną, cały ten zamęt wydawał się — ot nieznaczną falą, pełznącą niemrawo gdzieś na widnokręgu. Fala ta jednak zbliżała się ku nim coraz bardziej z każdą chwilą — a hen daleko w stropie łądu słyszeli głuche dudnienie, przypominające huk dział pośród mgły. Świadczyło to, że lodowa masa została wtłoczona pomiędzy niepożyte rafy Wyspy Byłota, znajdującej się gdzieś poza niemi, na południu.

— Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widywałem! — bąknął Kotuko, wytrzeszczając oczy głupawo. — Toż jeszcze nie czas! Jakimże sposobem mogłaby o tej porze roku pękać skorupa lodowa?

— Idźmy za nim! — krzyknęła dziewczyna, wskazując na zjawę, która, utykając, to znów biegnąc nierównym krokiem, posuwała się przed nimi.

Ruszyli wślad za nią — i szli, szli, z całej mocy ciągnąc saneczki — a hucząca nawała lodów podchodziła ku nim corazto bliżej. Wkońcu położenie stało się wręcz groźne. Pola lodowe, otaczające ich oboje, poczęły ze wszęch stron trzeszczeć i pękać, a ukazujące się szczeliny naprzemian to zwierały się, to rozwierały, niby zębce zgłodniałych wilków. Atoli tam, gdzie usadowiła się zjawą — na wzgórkku, zasypnym zwałami brył lodowych, a mierzącym zgórz pięćdziesiąt stóp wysokości — był bezruch i martwa cisza. Kotuko rzucił się gwałtownie naprzód, pociągnął za sobą dziewczynę i wygramolił się na podnóże wzgórkka. Rozhovor lodów wokoło nich stawał się coraz głośniejszy, ale wzgórek trwał w miejscu nieporuszenie. Dziewczyna spojrzała na towarzysza pytająco — on zaś zgiął prawe ramię i podniósł je łokciem wwyż. Był to używany przez Inuitów znak, ogłaszający bliskość lądu wogóle — w szczególności zaś wyspy.

Tak jest! ośmionożne dziwo przywiodło ich na ląd — na jakąś daleką od kontynentu wysepkę, obmurowaną granitem, obwiedzioną wydmami piasku, ale tak do niepoznaki schowaną, zakutą i spowitą w pancierz białej śreni, iż niktby się nie domyślił, że to mocny ląd, nie zaś nietrwiała skorupa. Granice tej wysepki odsłoniły się i zarysowały

wyraźnie dopiero dzięki odpartemu zwycięsko atakowi kry, podruzgotanej o skały i powalonej w nieruchomej bezsile. Od strony północnej ukazała się powabna wydma, odrzucająca w bok miążgę lżejszego lodu, podobnie jak lemiesz pluga odkłada skiby miękkiej gliny. Coprawda groziło niebezpieczeństwo, że któraś z tafli lodowych, wypchnięta większym ciężarem, może przerzucić się przez brzeg i zrównać jakby strychulcem wierzchołek wysepki, — ale Kotuko i dziewczyna nie martwili się tem wcale. Zbudowali sobie chalupkę ze śniegu i zabrali się do jedzenia, słuchając jak lód tłucze o brzeg i ześlizguje się z jego powierzchni. Dziwna zjawia znikła kędyś — więc Kotuko, kucnąwszy koło kaganka, jął opowiadać o władzy, jaką miał nad duchami. Bajał i bajał — i zapalał się coraz bardziej, plotąc zgola niestworzone historie. Nie dobrnął jednakże do ich końca, gdyż dziewczyna nagle poczęła śmiać się do rozpuku, kołysząc się przytem gwałtownie to wtył, to naprzód.

Z poza jej ramienia wysunęły się nagle jakieś dwie głowy, — jedna czarna, druga żółta — i jęły z wielką trudnością, cal po calu, wpychać się do wnętrza lepianki. Były to głowy dwóch psów — a miały wyraz tak zawstydzony i smętny, że w całym świecie próznobyś szukał czegoś im podobnego. Jednym z psów był Kotuko, drugim zaś wielki czarny przodownik. Oba wyglądały dobrze, były wypasione i jakoby już całkiem zdrowe na umyśle — tylko przypadek jakiś powiązał je z sobą

w sposób zgoła osobliwy: Pamiętacie, że czarny przodownik zbiegł razem z uprzężą. Spotkawszy się z psem-Kotukiem, niewątpliwie wdał się z nim w bójkę, czy zabawę — wobec czego jego lejce zawikłaly się w pleciony drut obroży Kotuka, tak iż jeden z psów nie mógł dostać się do rzemienia i rozgryźć go, gdyż ich karki stykały się bezpośrednio z sobą. Ta przygoda, wraz z niemożnością swobodnego polowania na własny rachunek, wyleczyła je niechybnie z obłądu. Oba psy były zdrowe jak ryby.

Dziewczyna przywlokła do Kotuka oba zawstyżone zwierzęta i zaśmiewając się do łez, zawołała:

— Patrz, oto ten Quiquern, który nas doprowadził do bezpiecznego lądu! Nie widzisz, że ma osiem nóg i dwie głowy?

Kotuko rozciął rzemień, krępujący psy, a one — tak burek, jak kruczek — rzuciły mu się w ramiona, starając się w psim języku mu wyjaśnić, jakim sposobem powróciły do niego i do zdrowia. Kotuko pogładził ich spaśne i kudłate grzbiety i rzekł z uśmiechem:

— Aha! Znalazły żywność! Zdaje mi się, że nie od razu powędrujemy do Sedny. Moja *tornaq* przysłała mi tutaj te psiska! Choróbsko już je opuściło.

Przywitawszy się z Kotukiem, oba psy — zmuszone przez kilka ostatnich tygodni sypiać, jadać i polować razem w przykładowej zgodzie — natychmiast, jak na komendę, rzuciły się sobie do gardła,

i lepianka śnieżna stała się widownią okrutnej walki.

— Głodne psy nie zrą się z sobą! — zauważył Kotuko. — One tu gdzieś polowały sobie na foki. Prześpijmy się spokojnie, bo już napewno będziemy mieli pożywienie.

Gdy się zbudzili, ujrzeli koło wybrzeża wysepki otwartą przestrzeń wodną — bo pokruszone kry dawno już pognały w stronę lądu. Pierwszy odgłos morskiego przyboju jest prawdziwą muzyką dla ucha Inuita, gdyż zwiastuje nadchodzącą wiosnę. Kotuko i dziewczyna ujęli się za ręce i uśmiechnęli się do siebie. Wyraźny, donośny huk przyboju pomiędzy lodami wskrzesił w nich wspomnienie wypraw na reny i na lososie, oraz czarownego zapachu rozkwitającej loziny. Gdy tak patrzyli, morze, pokryte szumowinami zwelnionej kry, zaczęło się zwolna klarować, krzepnąć znów pod tchnieniem mroźnego wichru, ale na widnokręgu rozlewała się powódź jaskrawej czerwieni: — odbłask niewidocznej tarczy słonecznej. Słońce nietyle wstawalo, ile raczej ziewało sobie głośno przez sen — boć jasność ta trwała zaledwie przez parę minut. W każdym razie była to już zapowiedź nowego okresu w roku. Oni to czuli oboje — i byli spokojni o przyszłość.

Szukając psów, Kotuko znalazł je w zażartej bójce nad świeżo ubitą foką, która właśnie była ścigala ławicę ryb, gnaną wiatrem. Była to pierwsza z dwudziestu, czy trzydziestu fok, jakie w ciągu tego dnia wylądowały na wysepce, a zanim

morze zamarzło zpowrotem, już setki zuchwałych czarnych lbów foczych uwijały się po wolnych jeszcze od lodu pływaczach i mknęły w zawody z krą, bujającą się po falującej toni.

Jakże miło było pożywiać się znowu foczą wątróbką, napełniać kaganki obficie tranem i przyglądać się płomieniowi, strzelającemu na trzy stopy w górę! Ale skoro morze pokryło się ponownie lodową skorupą, Kotuko i dziewczyna obarczyli saneczki ciężkim ładunkiem, zmuszając psy do niebywalej wprost harówki, bo niepokoiłi się na myśl o tem, co też dzieje się w wiosce. Wichura wciąż dawała się tęgo we znaki — ale oni nic sobie nie robili z wszelkich trudów — boć łatwiejszą jest rzeczą ciągnąć sanie, naładowane brzemieniem smacznego mięsiwa, niż polować o głodzie. Dwadzieścia pięć zabitych fok zagrzebali na wszelki wypadek w lodzie koło wybrzeża, poczem ruszyli pośpiesznie ku rodzinemu osiedlu. Psy, dowiedziawszy się od Kotuka, jaka je czeka nagroda, same wskazywały im drogę, więc choć nie było żadnych drogowskazów, jednakże po dwóch dniach głośnem szczekaniem powitały wioskę. Tylko trzy psy im odpowiedziały — albowiem wszystkie inne już oddawna były zjedzone. W chatach panowała niemal zupełna ciemność, ale gdy Kotuko huknął:

— *Ojo!* (gotowane mięso!) — odpowiedziało mu kilka słabych głosów. Gdy zaś chłopak wszedł do osady i chodząc od chaty do chaty, jął wyraźnie, po imieniu, nawoływać jej mieszkańców,

odkrzykiwano mu się wszędzie bez zwłoki. Nie brakło nikogo.

W godzinę później w chacie Kadlu płonęły kanganki, grzano wodę z roztopionego śniegu, garnki zaczynały skwierczeć i bulgotać, a ze śniegowej zlodzi nad okapem sączyły się ciurkiem perliste krople: — to Amoraq gotowała ogromny obiad dla całego osiedla. Niemowlę ssalo z lubością tęgi skrawek soczystej tłustości, a bracia łowiecka jęła zwolna i z namaszczaniem opychać się po same gardło foczem mięsem. Kotuko i dziewczyna długo opowiadali wszystkim biesiadnikom swe przygody. Oba psy siedziały pośrodku, a ilekroć posłyszały swe imiona, natychmiast nadstawiały uszu i robiły minę wielce zawstydzoną. Powiadają Inuici, że pies, który wyleczył się z obłędu, jest już przed jego skutkami zabezpieczony na całe życie.

— Tornaq nie zapomniała o nas — mówił Kotuko. — Wicher dął, lód pękał, a foki płynęły za rybami, spłoszonemi burzą. Nowe jamy focze znajdują się o niecałe dwa dni drogi od nas. Niech więc jutro wyruszą co najtężsi myśliwi i przywiożą tu te dwadzieścia pięć fok, które — na zapas — zagrzebałem w śniegu. Zanim je pozjadamy, będziemy mogli wszyscy znowu polować na foki — na własnem naszym łowisku.

— A ty co zamierzasz zrobić? — zapytał go szaman miejscowy tym tonem, jakiego używał wobec Kadłu, najbogatszego obywatela Tunu-nirmiutu.

Kotuko spojrział na dziewczynę z północy i rzekł spokojnie:

— *My wybudujemy chatę.*

I wskazał ręką w stronę północno-zachodnią, bo w tym kierunku od ojczystej sadyby zakłada chatę syn lub córka, wstępując w związki małżeńskie.

Dziewczyna podniosła ręce dłońmi w górę, potrząsając desperacko głową. Była przecie cudzoziemką, ledwie uratowaną od głodowej śmierci i nie mogła wnieść żadnej wyprawy ślubnej w dom swojego małżonka.

Amoraq zerwała się z tapczanu i poczęła rzucać na kolana dziewczynie kamienne kaganki, żelazne zgrzebła, blaszane kociołki, skóry renifery, obszywane zębami wołu pizmowego, oraz prawdziwe szydła, jakich używają okrętnicy do łatania żaglowego płótna — słowem, dała jej najpiękniejsze wiano, na jakie zdobyć się można było na dalekich obszarach strefy podbiegunowej. Dziewczyna schyliła głowę do samej niemal ziemi.

— Weź sobie także i te dwa zwierzaki! — dodał ze śmiechem Kotuko, wskazując psy, które przytknęły zimne pyski do twarzy dziewczyny.

— Hm! — chrząknął poważnie *angekok*, jakby to on obmyślił całą sprawę. — Gdy Kotuko opuścił wioskę, udałem się do śpiewaczego domu i począłem zawodzić czarnoksięskie pieśni. Śpiewałem je przez noc całą, przyzywając ducha renifera. Moje to śpiewanie sprowadziło ową wicherę, która przełamała lody i przywiodła ku Kotukowi

oba psy, właśnie w chwilę, gdy mu zagrażała śmierć niechybna. Mój też śpiew przygnał foki za nawalą kry pokruszonej. Ciało moje leżało na *quaggi*, ale mój duch biegł po lodzie, służąc za przewodnika Kotukowi i psom na każdym ich kroku. Tak jest, jam to wszystko uczynił.

Wszyscy byli najedzeni i senni, więc nikt się nie sprzeciwiał jego słowom. *Angekok* uraczył się jeszcze jednym kęsem gotowanego mięsa i wraz z innymi ułożył się do snu w ciepłej, rześkiej oświetlonej izbie, nasyconej przemiłą wonią tranu...

Kotuko, który umiał pięknie rysować na sposób inuicki, wyrył na długiej tabliczce kościanej — z dziurą w rękojeści — szereg obrazków, przedstawiających opowiedziane tu przygody. Gdy z końcem owego roku, pamiętnego czarodziejskim pęknięciem lodów w zimowym okresie, udał się wraz z dziewczyną na północ, do kraju Ellesmere, zostawił tabliczkę w chacie swego ojca. Pewnego razu zgubił ją Kadlu nad jeziorem Netiling koło Nikosiring, gdzie mu się połamały sanie na twardym żwirze nadbrzeżnym. Następnej wiosny znalazł ją tam jeden z Inuitów Nadjeziornych i sprzedał ją w Imigen pewnemu człowiekowi, który służył za tłumacza wielorybnikom na sundzie Cumberlandzkim; ten zaś sprzedał ją Hansowi Olsenowi, który był później kwatermistrzem na wielkim parowcu, wożącym turystów do przylądka północnego w Norwegji. Gdy skoń-

czył się sezon turystyczny, parowiec kursował na linii Londyn—Australja, zatrzymując się po drodze w Cejlonie. Tam Olsen sprzedał tabliczkę syngalezkiemu jubilerowi za dwa sztuczne szafiry. Ja znalazłem ją wśród różnych rupieci w jednym domu w Colombo — i przepisałem ją od początku do końca, tłumacząc jej treść na nasz język.

PIESN POWRACAJĄCYCH ŁOWCÓW

(*Angutivun Taina.*)

(Podaję swobodny przekład „Pieśni Powracających Myśliwców“, śpiewanej przez Inuitów po odbyciu łowów na fokę. Nadmienię, że Inuici mają zwyczaj powtarzać każdą rzecz po wiele razy.)

Rękawice nam skrzepliły od zamarzniętej krwi
cieplej,
Śnieg na szubach nam przywarł, jak puch dzikich
labędzi.
Hej, wracamyż do chaty — łup przywozimy
bogaty —
Z polowania, z nad lodów krawędzi!

Au — jana! Aua! Oha! Haq!
Głośno szczeka psów sfora i w zaprzęgu — het! —
pędzi!
Długie bicze klaskają, bo myśliwcy wracają
Z polowania, z nad lodów krawędzi!

Idziem w ślady za foką, w jej kryjówkę głęboką:
Już słyszymy jej chrobot — w odległości trzech
piędzi...
Kryć się w mig za lodozwał!... Nikt się słowem
nie ozwał...
Czatuujemy na lodów krawędzi...

Foka z wód się wychyli — my się porwiem w tej
chwili —

Oszczepami ją po lbie!... nikt niech ciosów nie
szczędzi!

Zanim zipnąć zdołała, już ją łowcy dobili
I powlekli po lodów krawędzi...

Rękawice nam skrzepły od zamarzłej krwi ciepłej,
W oczy tnie nas zawieja, wiatr w powieki nas
swędzi —

Lecz my spieszym do żon i przywozimy im plon
Z polowania, z nad lodów krawędzi!

Au Jana! Aua! Oha! Haq!

Głośno szczeka psów sfora i w zaprzęgu het pędzi!
Więc niewiasty poznają, że mężowie wracają
Z polowania, z nad lodów krawędzi!

RUDE PSY

W imię nocy srebrzystych i cudnych,
gdy wzrok bystro wdał sięga,
gdy się świecą furtele lowieckie,
chyży bieg i urocza włóczęga!
W imię wonnych poranków, gdy w trawie
jeszcze iskrzy się rosa,
gdy wśród mgły można napaść zniwnacka
na zwierzyńcę zukosa!
W imię wrzawy kamratów, gdy losia
osaczą nagle wśród kniej!
W imię trudów, zdobyczą owocnych,
i hałasów conocnych!
W imię snów całodziennych, w ojczystej pieleszy, —
hej! kto żyw, niech się zerwie i na krwawy bój
śpieszy!

O hej! o hej! o heeej!

Po najeździe dżungli na ludzkie osiedla rozpoczął się najszczęśliwszy okres w życiu Mowglięgo. Odtąd już chłopak doznawał zupełnego spokoju sumienia, jak człowiek, który wyplacił się z wszystkich swych długów i należytości. Cała dżungla była z nim na stopie przyjacielskiej, bo cała dżungla go się bała. To, czego dokonał, co widział i słyszał, gdy bądź samopas, bądź z czwórka swych kamratów wędrował pośród

różnych plemion, złożyłoby się na wiele, wiele opowieści, z których każda byłaby równie długa, jak niniejsza. Przeto nigdy już wam nie opowiem, jak uszło na sucho Mowgliemu spotkanie z oszalałym słoniem mandlańskim, który uśmiercił dwadzieścia dwa woły, wiozące do skarbcza rządowego jedenaście wozów z pieniędzmi, i rozsypywał po ziemi błyszczące rupje; — jak Mowgli razu pewnego walczył przez noc całą z krokodylem Jacalą*) i złamał sobie nóż myśliwski na twardym, opancerzonym grzbiecie potwora; — jak następnie znalazł nowy, dłuższy nóż, zawieszony u szyi człowieka, zabitego kłami odyńca, — jak wytropił tego odyńca i śmiercią jego okupił nabycie noża; — jak podczas wielkich głodów omal na śmierć go nie stratowały przeciągające stada rozjuszonych, a w biegu niepowstrzymanych jeleni; — jak ocalił mrukliwego słonia Hathiego, wskazując mu czyhający nań dół z ostrym kołem na dnie; — jak następnie sam wpadł w misterną pułapkę, zastawioną na lamparty, i jak Hathi odwzajemnił mu się za przysługę, rozbijając na miazgę grube belki jego więzienia; — jak doił pasące się na żulawach dzikie bawolice i jak... Ale narazie trzeba się zadowolić jedną tylko opowieścią.

... Ojciec Wilk i Matka Wilczyca już pomarli, a Mowgli odśpiewał im tren żałobny, zawalwszy wielkim głazem wniście jaskini. Baloo bardzo się zestarzał i zniedołężniał, a nawet Bagheera,

*) Czyt. Dżakala.

która miała nerwy ze stali i żelazne mięśnie, czasem przecie trochę poszkapiała się w łowach. Akela z szarego stał się mleczno-biały od starości; widać mu było wszystkie żebra, a chodził tak, jakby miał nogi z drewna. To też Mowgli wyręczał go w łowach i zaopatrywał w zwierzynę.

Tymczasem młode wilczki, potomstwo rozwiązanej drużyny seeoneńskiej, rosły i rozmnażały się, ciesząc się pełnią dobrobytu; gdy zaś nabrało się już około czterdziestu takich samowolnych, bezpańskich wagabundów-pięciolatek, Akela jął im doradzać, by sprzymierzyły się w gromadę, wybrały sobie herszta i poddały się wilczemu prawu, jak przystało na członków wolnego plemienia.

Mowgli nie wtrącał się do tych spraw, boć — jak sam się wyraził — skosztował już kiedyś gorzkich owoców i wiedział, na jakim drzewie rosną. Atoli, gdy Phao, syn Phaony (którego ojcem był Szary Tropiciel z czasów naczelnictwa Akeli), wywalczył sobie, wedle praw dżungli, pierwszeństwo w drużynie — gdy pod gwiazdą niebem na nowo rozbrzmiewać poczęły stare hasła i śpiewy, Mowglię skusiło wspomnienie — i jął przychodzić na Skalę Radną. Siadywał przy boku Akeli, powyż Phaona, a ilekroć raczył zabierać głos, cała drużyna w ciszy wielkiej słuchała, póki nie skończył mówić. Wróciły się czasy szczęśliwych łowów i snu szczęśliwego. Nikt obcy nie śmiał wdzierać się w obszary puszczańskie, należące do plemienia Mowglię, jak teraz nazywano wilczą drużynę. Wilczki nabierały tuszy

i siły, a na obrzęd oględzin przyprowadzano zawsze spory zastęp wilczątek. Mowgli zawsze brał udział w oględzinach. W żywej pamięci miał ową noc, gdy dzięki pewnej czarnej panterze pewne голуśkie bobo zostało członkiem wilczej gromady. To też przeciągłe wołanie:

— Przyjrzyjcie się, przyjrzyjcie się, o wilki! — budziło w jego sercu dreszcze dziwnych uczuć.

Resztę czasu spędzał daleko, w głębi dżungli — gdzie zaznawał coraz to nowych przyjemności, widoków, spostrzeżeń i wrażeń.

Pewnego wieczoru o zmierzchu, gdy biegł marudnie przez haszcze, włokąc przeznaczoną dla Akeli połowę upolowanego kozła, a towarzysząca mu czwórka wilków-kamratów poszturchiwała się wzajemnie i z uciechą przewracała się po trawie — nagle opodal rozległ się wrzask, jakiego nie słyszano od czasów nieświętej pamięci Shere Khana. *Pheal* — taką nazwę nosi ów okrzyk przeraźliwy, jaki wydaje szakal, gdy poluje na ochłapy, zostawione przez tygrysa, lub gdy zanosi się na jakieś wielkie łowy. Jeżeli potraficie sobie wyobrazić bezładny zespół nienawiści, triumfu, trwogi i rozpacz, na dobitkę przetkany nutą przebiegłej złośliwości, to możecie sobie jako tako wyobrazić ów *pheal*, który rozbrzmiał nagle hen gdzieś poza Waingungą — i skonał w pogłosie drgających zawodzeń i jęków. Wilki najeżyły sierść i poczęły warczeć. Mowgli porwał się do noża i również stanął w miejscu, jak skamieniały.

— Wątpię, by jakiś „pręgowaty“ ośmielił się tu polować — rzekł nakoniec.

— To nie krzyk przodownika — zauważył Szary Brat. — To jakieś wielkie łowy! Słuchajcie ino!

Wycie ozwało się znowu, brzmiać naprzemian to lkaniem, to zjadliwym chichotem — jakgdyby paszcza szakala była tak miękka i do wszelkich dźwięków podatna, jak wargi człowieka. Mowgliabrał tehu całą piersią i popędził ku Skale Narady, zagarniając po drodze i przynaglając do biegu zaniepokojone wilki, należące do stada. Phao i Akela siedzieli już razem na Skale, a poniżej usiedli w napięciu inni. Samice z młodemi gnały cwałem do jaskiń, bo gdy zabrzmiał *pheel*, nie czas wtedy wałęsać się temu, co słabe i bezbronne.

Przez długi czas nie było słyhać nic, oprócz pluskotu fal Waingungi, płynących w wieczornej pomroce, oraz szelestu wiatrów pomiędzy liśćmi drzew leśnych. Naraz gdzieś poza rzeką rozległo się nawoływanie wilka. Nie był to żaden z wilków, należących do drużyny, te bowiem co do jednego znajdowały się pod skalą. Zew przeszedł w przeciągle, rozpaczliwe ujadanie, które głosiło:

— Dhole! dhole! dhole! dhole!*)

W chwilę potem usłyszano odgłos stóp, biegnących z trudem po gołoborzu, i ukazał się chudy, ociekający wodą wilczur, naznaczony na boku krwawą pręgą i utykający na prawą łapę przednią. Rzucił się w środek sejmującego koła i padł u stóp

*) Czyt. *dhul*.

Mowglięgo, ciężko dysząc i tuląc do ziemi spioną paszczkę.

— Jakże idą łowy? Któż waszym naczelnikiem? — z powagą spytał Phao.

— Szczęśliwych łowów! Jestem Won-tolla! — brzmiała odpowiedź.

Znaczyło to, że jest wilkiem-samotnikiem, żyjącym w ustronnej norze i mającym na pieczy jedynie siebie i swą rodzinę; miano Won-tolli oznacza jakby sobie-pana czy wywłokę, słowem, istotę, żyjącą zdala od wszelkiej gromady.

Przybysz dyszał ciężko i widać było, jak mu się serce tłukło gwałtownie.

— Kto nadciąga? — zagadnął go Phao; takie bowiem pytanie zadaje każdy, kto żyw w dżungli, posłyszawszy zew *pheea'u*.

— Dhole!... dhole!... krwiożercze rude psy dekkańskie! Nadciągnęły w nasze północne strony, głosząc, że Dekkan opustoszał i że zabrakło w nim zwierzyny. Gdy ten oto księżyc był jeszcze na młodziku, miałem przy sobie czworo istot najbliższych: samicę i troje małych. Ona zaprawiała dziatwę do łowów na trawiastym stepie, czając się na kozła, jak to jest w zwyczaju u nas, mieszkańców nieosłoniętej przestrzeni. O północy słyszałem, jako wyli pospołu, oznajmując sobie wzajem tropy. Gdy wionął chłodny dech poranku, jam znalazł ich skostniałych... nieżywych... wśród murawy! A było ich czworo, o Wolne plemię!... czworo ich było jeszcze przy nowiu

księżycu! Jąłem dochodzić praw... mego odwetu — i doszedłem, iż winowajcami były dhole!

— Ileż ich było? — zapytał Mowgli, a z gardzieli wilków dobyły się groźne pomruki.

— Nie wiem... Trzy z nich już nigdy nie wybiorą się na łowy... Atoli było ich tam więcej... znacznie więcej... To też przegnały mnie precz, jak kozła... Umknąłem na trzech nogach... Przypatrzcie się, obywatele Wolnego plemienia... Przyjrzyjcie się, o wiley!

To rzekłszy, wysunął pogruchotaną łapę przednią, szcerniałą od krwi zastygłej. Wzwyż od niej biegły po całym boku zwierzęcia ślady okrutnych ukąszeń, a na podgardlu widać było jedną straszliwą ranę.

— Pożyw się — rzekł Akela, odsuwając się od mięsiwa, które mu był przyniósł Mowgli. Przybysz rzucił się skwapliwie na to jadlo.

— Nie straciecie nic na swej uczynności! — odezwał się z pokorą, zaspokoiwszy głód jako tako. — Jeno mi dodajcie nieco sił, obywatele Wolnego plemienia, a będę polował wraz z wami. Moja nora, która tętniła życiem, gdy miesiąc był na młodziku, teraz jest milcząca i pusta, a krwawy dług nie został jeszcze splacony w zupełności!

Phao, posłyszawszy, jak gracko gość chrupie potężne gnacisko, pokiwał potakująco łbem i mruknął z uznaniem:

— No! no! Przydadzą się nam tak silne zębec i szczęki! Czy przy dholach były i szczenięta?

— Nie! nie! Sami tylko łowcy... Chyba co naj-
tęższe psiska z całej gromady... Olbrzymie
i mocne, co się zowie!

Wymiarkować stąd można było, że dhole, czyli
krwiożercze rude psy dekkańskie ruszyły na wy-
prawę wojenną. Niema takiego wilka, któryby
nie wiedział, że nawet tygrys nie zdzierzy w lo-
wach dholom. Zwierzęta te biegają zwartą kupą
przez dżunglę, obalając na ziem i rozdzierając na
strzępy wszystko, cokolwiek stanie im na drodze.
Co do wzrostu i przebiegłości ustępują wilkom,
zato przewyższają je siłą i liczebnością. Dla przy-
kładu dość wspomnieć, że nie uważają za sto-
sowne zwać się gromadą, póki nie zbiorą się
w sile co najmniej stu osobników, gdy natomiast
czterdzieści wilków uchodzi już za pokaźną gro-
madę.

W wędrówkach swych Mowgli dotarł kilkakrot-
nie aż na granicę wyżynnych, bujną trawą po-
rosłych stepów Dekkanu, przeto natrzył się
nieulekłym dholom, śpiącym, hasającym lub iska-
jącym się w zachronie drobnych zakłęśłości grun-
tu oraz gęstszych kępach trawy, zastępujących im
jaskinie. Żywił dla tych stworzeń nieopisaną nie-
nawiść i wzdardę, jako że nie miały tej woni, co
wolne plemię, że nie mieszkały w norach, a co
najgorsza, miały — w przeciwieństwie do niego
i do jego przyjaciół — długie włosie pomiędzy
palcami. Wszelakoż dzięki Hathiemu wiedział
dobrze, jak groźnem zjawiskiem jest gromada ru-
dych psów, zarządzających łowy. Sam Hathi zwykł

był od nich stronić. Póki ich kto nie wytępi do szczytu, albo póki nie zbraknie im zwierzyny, nawała niszcząca posuwają się naprzód, mordując wszystko po drodze.

Akela też wiedział coś niecoś o dholach — przeto odezwał się spokojnym głosem:

— Lepiej umierać w gromadzie, niż w bezholowiu i samotności. Szczęśliwe będą to lowy — a będą napewno ostatnie w mem życiu... Ale ty, Mały Braciszku, licząc wedle wieku ludzkiego, masz jeszcze przed sobą wiele dni życia. Idź na północ i wypoczywaj, a jeżeli choć jeden wilk pozostanie przy życiu po najeździe dholów, napewno otrzymasz wieść o przebiegu bitwy.

— Ho — ho! — ozwał się Mowgli, srogo naburmuszony. — Mam-że zaszyć się w trzęsawisku, żywić się plociczkami i sypiać na drzewie, czy też udać się pod opiekę *bandar-logu* i żywić się orzechami, patrząc zgóry na wasze boje?

— Będzie to bój śmiertelny — rzekł Akela. — Jeszcze nigdy nie spotkałeś się z krwiożerczą czeredą rudych dholów... Nawet pręgowaty...

— O wa! o wa! — odrzekł pobłaźliwie Mowgli. — Wszak nie kto inny, ale ja zabiłem pręgowaną stworę... A teraz słuchajcie! Ojcem moim był wilk, matką była mi wilczyca, a pewien sędziwy, szary wilk (obecnie już osiwiwały) był mi ojcem i matką. Dlatego — (tu głos podniósł) — powiadam wam, że jeżeli nadejdą tu dhole (o ile nadejdą), Mowgli i Wolne Plemię będą w tych lowach wspólnie nadstawiać swej skóry! Tak wam powia-

dam, klnąc się na tego wołu, który był okupem za mnie, na tego wołu, którego dała za mnie Bagheera w dawnym bardzo, niepamiętnym dla was czasie! Oświadczam to wszem wobec głośno, by słyszały drzewa puszczy i fale rzeczne i zachowały pamięć tego ślubowania, nawet gdybym ja o niem zapomniał. Powiadam oto, że ten mój nóż będzie jakoby kłem naszej drużyny... a nie jest-ci on bynajmniej tępy! Takie jest słowo, dane wam przeze mnie!

— Oj, nie znasz ty dholów, czlecze, mówiący wilczym językiem! — zawołał Won-tolla. — Co do mnie, to jedynie pragnę uiścić się im z krwawego długu, zanim mnie te psy rozedrą na sztuki. One posuwają się zwolna, mordując wszystko po drodze, ale za dwa dni odzyskam siłę i powrócę, by dług mój spłacić. Co się jednak was tyczy, obywatelu Wolnego plemienia, radzę, byście udali się na północ i zadowalali się łada kęsem jadła, póki dhole precz sobie nie pójdą. Łowić to są, lowy srogie! Nie można zmrużyć oka spokojnie!

— Słuchajcie tego przybłądy! — roześmiał się Mowgli. — Hej, Wolne plemię! Mamy-ż iść na północ, żywić się jaszczurkami i szczurami wodnymi, aby przypadkiem nie spotkać dholów?! Ta psiarnia będzie nam bezkarnie wytępiała zwierzęnę i ogołacała łowiska, a my schowamy się tchórzliwie na północy, czekając, póki tym panom nie spodoba się oddać nam tego, co do nas prawie należy!? Toż to psy... psie syny... rude, bezdomne sobaki-wypędki o żółtych podbrzuszach

i owłosionych stopach! Przychodzą na świat po sześć do ośmiu naraz, jak małe szczury-skoczki Chikai... Juści! My, Wolne plemię, powinniśmy uciec pomiędzy plemiona północy i tam żebrać o resztki łada zdechłego bydłęcia! Znacicie-ż przy-słowie „na północy robactwo, na północy wszy!”. My, to dzungla! Wybierajcież tedy, wybierajcie! Piękne to będą łowy! W imię gromady... w imię całego plemienia... w imię legowisk i barłogów... w imię łowów na obszarze puszczy i poza nią... w imię samic, uganiających za zwierzyną, oraz maleńkich szczeniąt, igrających w głębi jaskiń... pójdziemy wszyscy wraz... na bój!... na bój!...

— Na bój! — odpowiedziała gromada jednym potężnym szczeknięciem, które w ciszy nocnej zagrzmiało jak loskot i trzask walącego się drzewa.

— Zostańcie przy nich! — zawołał Mowgli do swej czwórki. — Każdy kiel nam się dziś przyda! Phao i Akela niech poczynią przygotowania do bitwy, ja zaś pójdę policzyć te psy.

— Toż to śmierć! — krzyknął Won-tolla, zrywając się z miejsca. — Cóż taki chłystek, jak ty, poradzi wobec rudego psa? Pamiętaj, że nawet przegowaty...

— Widzę, że z ciebie prawdziwy wywłoka — odkrzyknął mu się Mowgli, — ale pomówimy z sobą dopiero wtedy, gdy dhole wszystkie polegną. Życzę wam wszystkim pomyślnych łowów!

I uniesiony dzikiem podnieceniem, pomknął naoslep w czarny mrok nocy, nie zważając na to,

co miał pod stopami; nic też dziwnego, że wkrótce runął jak długi na ziemię, uwadziwszy o splątane cielsko pytona Kaa, czatującego na tropie zwierzęcym koło rzeki.

— Kusz-sz-sz! — ofuknął go wąż gniewnie. — Czyż zgadza się z obyczajami dżungli urządzenie hałasów i tartasów po nocy i przeszkadzanie drugim w łowach... zwłaszcza, gdy zwierzyna tuż — tuż nadciąga?

— Przyznaję się do winy — odrzekł Mowgli, powstając. — Ciebie to właśnie szukałem, o Płaskogłowy, ale ilekroć cię spotkam, jesteś dłuższy i szerszy o całą długość mej ręki! Nikt w całej dżungli mierzyć się z tobą nie może, o mądry, stary, silny i przepiękny Kaa!

— Dokądże trop ten zmierza? — spytał Kaa łagodniejszym głosem. — Niedalej jak miesiąc temu, pewien człowieczek, uzbrojony nożem, rzucał mi na łeb kamienie i lżył mnie, niby żbik nikczemny, brzydkimi przezwiskami... za to, żem sobie spał na otwartej polanie.

— Tak, tak... i jeszcze za to, że gdy Mowgli polował, tyś rozpędzał na cztery wiatry wszelką ściganą przez niego zwierzynę... Tak, Płaskogłowy, zamiast usunąć mi się z drogi i przepuścić zwierzynę, leżałeś jak pień głuchy i nie zważałeś na moje gwizdania — odrzekł spokojnie Mowgli, sadowiąc się na wzorzystych splotach węzowych.

— Teraz zaś ten sam człowieczek przychodzi do tegoż płaskogłowego węża i głaszcze go czufemi i pochlebnemi słowami, mówiąc o nim, że jest

mądry, silny i urodziwy; a rzeczony stary Płaskogłowiec wierzy wszystkiemu i zwiija się w kłębek... ot, tak... robiąc ze siebie krzesło dla tegoż człowieczka, rzucającego kamieniami... No i cóż? czy ci teraz wygodnie? Czy Bagheera potrafiłaby ci sporządzić tak wygodne legowisko?

To mówiąc, Kaa podług swego zwyczaju utworzył z siebie rodzaj miękkiego hamaku, w którym Mowgli mógł bujać się przyjemnie. Chłopak wyciągnął przed siebie rękę w ciemności i jął przygarniać ku sobie giętką, do zwojów liny podobną szyję pytona, a gdy już miał na swoim ramieniu jego płaską głowę, opowiedział mu wszystko, cokolwiek zdarzyło się tej nocy w dżungli.

— Być może, żem mądry, — rzekł Kaa, dosłuchawszy do końca — ale żem głuchy, to pewna... W przeciwnym bowiem razie posłyszałbym *pheel* niechybnie. Teraz już się wcale nie dziwię, że trawozercy czują się tak nieswojo... Jaka może być liczba tych rudych psów?

— Jeszczem ich nawet nie widział. Kwapiłem się do ciebie i zetknąłem się z tobą zaraz po wyruszeniu w drogę. Tyś starszy od Hathiego... Ale powiadam ci, o Kaa — (mówiąc to Mowgli aż wil się z uciechy) — to ci dopiero będą pyszne lowy! Niewielu z nas doczeka drugiej zmiany księżyca!

— Czy ty będziesz się do tego mieszal? Pamiętaj, że jesteś człowiekiem... i przypomnij sobie, jaka to gromada wygnała cię precz. Niechaj wilki

się same rozprawiają z psami. Tyś jest człowiekiem.

— Zeszłoroczne orzechy są w tym roku już czarną ziemią — odrzekł Mowgli. — Prawda, że jestem człowiekiem, ale tej nocy oświadczyłem, że jestem wilkiem... a tego już cofnąć niepodobna. Wezwałem rzekę i drzewa na świadków mego postanowienia. Wiedz przeto, że póki dhole nie odejda stąd lub nie wyginą, póty należę do Wolnego plemienia!

— Do Wolnego plemienia! — sarknął Kaa. — Powiedz raczej: wolnych złodziejasz-szków! Zaplątałeś się w węzeł ś-ś-śmierci gwoli pamięci zdechłych już wilków. Takich łowów nie możesz nazywać sz-sz-szczęśliwemi!

— Słowo się rzekło. Rzeka i drzewa są świadkami. Póki dhole nie wyginą, nie mogę słowa cofnąć.

— Isz-sz! — syknął pyton. — To zmienia zupełnie całą rzeczy postać! Myślałem, że będę mógł zabrać cię z sobą na trzęs-sawis-ska północne... Jednakże s-s-słowo... nawet słowo małego, bezwłosego nagus-ska-człeczyny... jest słowem... i powinno być ś-ś-świête! Otóż ja, Kaa, powiadam ci...

— Namysł się dobrze, Płaskogłowy, byś i ty nie zaplątał się w węzeł śmierci. Nie potrzebuję twego słowa, boć wiem dobrze...

— Niechże i tak będzie! — zgodził się Kaa. — Nie będę dawał ci s-słowa... ale co zamierzasz zrobić, gdy nadejdą dhole?

— One muszą przepłynąć Waingungę. Przyszło mi na myśl, by zastąpić im drogę na płytkiej wodzie. Zębiska mej drużyny wspomogłyby siłę mego noża. Tak dżgając, szarpiąc i gryząc napastników, moglibyśmy zawrócić ich w dół rzeki, albo nieco ochłodzić im gardziele.

— Dhole nie zawracają z drogi, a ich gardziele goreją zawziętością — odpowiedział Kaa. — Gdy skończą się te łowy, nie będzie już ani człowieczątka, ani wilczątka... pozostaną jeno same suche kostki...

— Olala! Jest się czem martwić! Jak pomrzemy, to pomrzemy! Będą to łowy, jakich świat nie widział. Ale młody jest jeszcze mój żywot, bo niewiele pór deszczowych było mi danem oglądać. Nie jestem ani mądry, ani silny. Masz może jakiś lepszy pomysł, mądry wężu Kaa?

— O, jam już widział sto... i jeszcze raz sto pór deszczowych! Zanim Hathi stracił mleczne zęby, jam już pozostawiał za sobą znaczny ślad na piasku! Klnę się na pierwsze w świecie jajko, że jestem starszy od wielu drzew i że widziałem wszystko, co w ciągu wielu lat działo się w dżungli!

— Ale teraz mamy do czynienia z nowym zgoła rodzajem łowów — odrzekł Mowgli. — Nigdy wszak się dotąd nie zdarzyło, by dhole przeciągały naszym szlakiem.

— Wszystko, co jest, było już kiedyś, a to, co będzie, jest tylko powtórzeniem zdarzeń z jakiegoś dawnego, zapomnianego roku. Siedź cicho, bo teraz będę przeliczał zbiegle moje lata.

Przeszło godzinę Mowgli leżał nawznak wśród węzowych skrętów, zabawiając się nożem, a tymczasem Kaa, położywszy leb nieruchomo na ziemi, rozmyślał o wszystkim, co kiedykolwiek był widział, słyszał i poznał, począwszy od dnia, w którym wylął się z jajka. Oczy jego mżyły światłem, jak zwietrzałe opale, zasię od czasu do czasu głowa poruszała się sztywnie to w lewo, to w prawo, jakgdyby polował przez sen. Mowgli drzemał spokojnie, bo wiedział, że niemasz to, jak przespać się przed polowaniem — a spać umiał o każdej porze, czyto dnia, czy nocy.

Naraz poczuł, że Kaa staje się coraz grubszy i większy, jakoby się rozdymał, a z paszczy jego zaczął wychodzić syk, przypominający zgrzytanie miecza dobywanego z pochwy.

— Widziałem wszystkie umarłe lata — syczało stare węzysko. — Widziałem wielkie drzewa, stare słonie, oraz nagie jeszcze skały, nieporosłe mchem i poszarpane. Czy ty jeszcze żyjesz, mój człowieczku?

— Toż dopiero przed chwilą wzeszedł księżyc — odpowiedział Mowgli. — Nie rozumiem, o co ci...

— A kysz! Zgińcie mary! Oto znów jestem sssobą, węzem Kaa! Zresztą byłem niemal przekonany, że czasu upłynęło niewiele... Teraz pójdźmy nad rzekę, a pokażę ci, w jaki s-sposób damy s-sobie radę z dholami.

Wykonał zwrot wtył i pomknął — prosto i chyżo jak strzała — ku głównemu łożysku Waingungi,

poczem ręczo, na wyścigi z Mowglim, przebrnął lachę, co oddzielała od brzegu Skalę Rozejmu.

— Nie plyn! — zawołał. — Ja prędzej się przepawię, niżbyś ty potrafil! Hop na mój grzbiet, mały braciszku!

Mowgli oplótl lewą ręką szyję węża, prawą rękę opuścił wzdłuż ciała i wyprostował nogi; Kaa począł piersią pruć prąd rzeczny, w czem nikt nie mógł nigdy mu zrównać. Kręgi wypartej wody sfaldowały się naksztalt krezy wokół szyi Mowgliego, a jego nogami miotal to w lewo, to w prawo gwałtowny wart rzeczny, wywołany śmigłemi poruszeniami wężowego cielska. O jaką milę ponad Skalą Pokoju koryto Waingungi zwęża się w gardzieli skał wapiennych, mierzących od 80—100 stóp wysokości, a słup wody przewala się, niby olbrzymia młynówka, poprzez stawidła olbrzymich, szorstkich i przykrych głazów. Ale Mowgli nic sobie nie robił z wody — bo żaden prąd, choćby najsilniejszy, niezdolen był przejąć go trwogą. Rozejrzał się po obu zboczach przełomu, krzywiąc nosem, bo poczul w powietrzu słodkawo-kwaśny zapach, podobny temu, jaki bije z wielkiego mrowiska w upalny dzień letni.

Instynktem wiedziony, chłopak natychmiast schował się całkowicie pod wodę, wynurzając jeno nieznacznie głowę celem nabrania oddechu. Tymczasem Kaa zakotwiczył się podwójnym skrzętem dokola podwodnej skały i stanął pośrodku rwącego i pędzącego nurtu, obejmując mocno Mowgliego oplotem swych pierścieni.

— Tu jest siedlisko śmierci! — rzekł Mowgli.
— Poczéśmy tu przybyli?

— One śpią... — syknął Kaa. — Hathi nie zszedłby z drogi Pręgowanemu, atoli i Hathi i Pręgowany, gdyby się tu nawet znaleźli we dwójkę, musieliby zejść z drogi dholom... O dholach zasię powiadają, że jakoby nie ustępują nikomu. Ale chciałbym wiedzieć, przed kim cofnęłoby się Małe Plemię Skalne!... Władco dżungli, powiedz mi teraz: kto jest władcą dżungli?..

— One! właśnie one! — szepnęła Mowgli. — Tu jest siedlisko śmierci! Oddalmy się stąd!

— Nie! Przypatrz się, one śpią. Wszystko tak, jak było... jak było wówczas, gdym jeszcze ledwie dosięgał długości twojego ramienia.

Popękane i zwietrzałe skały w pieninach Wain-gungi były zdawien dawna — boć, że od czasów powstania dżungli — siedzibą Małego Plemienia Skalnego, czyli skrzętnych, zajadłych, czarnych, dzikich pszczoł indyjskich. Mowgli wiedział, że wszelkie ślady, ludzkie czy zwierzęce, oddalone były co najmniej o pół mili od ich siedzib. Od wielu już stuleci Małe Plemię gnieździło się po skałach, a w ustawicznych różkach przenosiło się kolejno od szczeliny do szczeliny, pstrząc białe skały wapienne smugami zwietrzałego miodu i lepiąc olbrzymie plastry w czarnej głębi pieczar, gdzie ich dosięgnąć nie mógł ani człek, ani zwierz, ani ogień ani woda. Obie ściany wąwozu były na całej swej długości obwieszane jakby czarnymi, połyskliwymi kotarami. Mowgliemu słabo się zro-

biło, gdy im się przyjrzał dokładniej — były to bowiem ni mniej ni więcej tylko miliony pszczół, śpiących w gęstej ciżbie jedna obok drugiej. Widać też było jakoweś płachty, girlandy i jakby spróchniałe pnie drzewne, przyćwiekowane niewidzialnem spojeniem do powierzchni opoki. Były to bądź plastry, pozostałe tu z lat dawnych, bądź nowe osiedla, budowane w cienistym zaciszu urwiska — tudzież zwaly śmiecia, które stoczyły się wdół i utknęły wśród drzew i pnączy naskalnych. Czujne ucho chłopca kilkakrotnie rozpoznało szelest ciężkiego miodnego plastra, osuwającego się lub przewracającego kędyś w czarnych lochach kamiennych — potem zaś gniewny pobrzęk pszczelich skrzydeł i senne kapanie zmarnowanego miodu, co rozlewał się z wolna po całej barci, póki dzięki jakiejś bocznej szparze nie znalazł ujścia nazewnątrz i nie zaczął sączyć się ociężale po napotkanych badyłach i gałązkach. Po jednej stronie rzeki widniał pod wantą skalną mały zdiar, szeroki na pięć stóp nieledwie, a zasypany grubym pokładem wszelakiego gruzu, nagromadzonego w ciągu wieków. Leżały tu martwe pszczoły i trutnie, różne odpadki i szczątki, zwietrzałe plastry, pokruszone skrzydła przybłądów chrząszczy i motyli, ugrzęzłych w mazi kuszącego miodu — wszystko to zaś przysłonięte warstwami drobnego, czarnego pyłu. Sama ostra woń tego śmietnika zdolna była napęlić przerażeniem każdą istotę bezskrzydłą, wiedzącą choćby ze słyszenia, czem było Małe Plemię.

Kaa runął znów w górę rzeki; wkońcu dobił do wydmy piaszczystej u wnijscia wąwozu.

— Popatrz — rzekł — oto tegoroczne lupy myśliwskie.

Na wydmie leżały szkielety dwóch jelenków i bawołu. Przyjrzał się im Mowgli i stwierdził, że ani wilk, ani szakal nie tknął tej padliny; zniszczała wskutek naturalnego rozkładu.

— Przekroczyły zakazaną granicę, nie zdając sobie z tego sprawy — mruknął — no, i zginęły od żądał Małego Plemienia. Oddalmy się stąd, zanim się te juchy obudzą.

— Nie obudzą się przed świtem — zapewnił go Kaa. — A teraz słuchaj, co ci powiem. Przed wieloma, wieloma porami deszczowemi przybiegł tu z południa kozieł, ścigany przez całą zgraję wilków, a nie znający dżungli. Oszolomiony trwożą, nie zważał, co czyni, i zbiegł z urwiska wdół, a zgraja, rozżarta i oślepiona zaciekłością pościgu, pomknęła tuż za nim. Słońce stało wysoko, a Małe Plemię było nader liczne i ogarnięte ogromnym gniewem. Wiele wilków zbiegło również wdół, ale nim dotarli do wód Waingungi, już nie żył z nich ani jeden. Ale i ci, którzy zatrzymali się nad skalnym zrębem, wyginęli co do jednego. Natomiast kozieł uszedł cało.

— Jakim-że sposobem?

— Biegł pierwszy, ratując życie przed pościgiem, przeto nim Małe Plemię się spostrzegło i zebrało się do natarcia, on już dopadł nurtów rzeki. Ścigająca go zgraja wprost zniknęła pod

nawałą Drobneho Plemienia, poruszonego racicami kozła.

— Więc koziel ocalał? — powtórzył z wolna Mowgli.

— Czy żył długo, tego nie wiem. W każdym razie wówczas nie zginął, mimo że nikt nie czekał nań tam w dole, by siłą swego ciała zabezpieczyć go od prądu wody... jak czekałby na małego człowieczka pewien stary, opasły, głuchy, żółty płaskogłowiec... choćby tam wszystkie dhole z całego Dekkanu szły jego tropem. Cóż to się z tobą dzieje?

Słowa te Kaa chłopcu syczał do ucha, trzymając łeb na jego mokrem ramieniu. Uplynęła długa chwila ciszy, zanim Mowgli odszepnął mu:

— Wygląda to tak, jakbyśmy chcieli samą śmierć wytargać za wasy... ale... Powiem ci szczerze, mój Kaa, że jesteś najmędrzy ze wszystkich stworzeń dżungli!

— Niejeden mi to już mówił. Ale do rzeczy! Gdy dhole będą cię ścigać...

— Napewno będą mnie ścigały! Ho! ho! Mamci ja pod językiem niejeden cierń, którym mogę je rozjątrzyć.

— Jeżeli będą cię ścigały zajadle i naosleją wpatrując się tylko w twe plecy, wszystkie te które nie wymrą tu w górze, będą się przeprawiać albo tu, albo nieco poniżej, bo Małe Plemię spadnie na nich całą chmarą. Otóż Waingunga jest rzeką zachłanną... a żaden Kaa nie przyjdzie im z pomocą... więc wszystkie dhole, jakie przy

życiu zostaną, będą musiały podążyć aż do brodów koło leż seonejskich. Tam zaś powinna czatować twoja szajka i złapać ich za gardło.

— Ehej! Eowawa! Dalibóg, czegoś lepszego nawet pomyśleć nie można... chyba to, by w porze suchej padały deszcze! Tu chodzi tylko o tę drobnostkę, jaką jest ucieczka przed pościgiem, a następnie skok ze skały. Zaraz dam znać o sobie dholom, by ruszyły za mną.

— Czy przyjrzałeś się tym skalom... od strony lądu?

— Prawda! zapomniałem o tem!

— Idź-że więc je obejrzeć. Grunt tam jest zmurzwały, pełen jam i rozpadlin. Jedno niezgrabne, nieopatrzone stąpienie może położyć kres gonitwie. Miejże się więc na baczności. Zostawiam cię tutaj i udam się z meldunkiem do twej drużyny, by wiadano, gdzie należy spodziewać się napaści dholów. Czynię to jedynie ze względu na ciebie, nie poczuwam się bowiem do żadnej łączności z wilczą halastrą.

Gdy Kaa nie lubował sobie w czyjejsz znajomości, potrafił okazać się szorstkim i przykrym, jak nikt w całej kniei — z wyjątkiem może Jagheery. Popłynąwszy z prądem, wylądował naprzeciwko Skały Narad; tu natknął się na Phaona i Akełę, wsłuchujących się w nocne głosy.

— Huzia, pies-ski! — zaśmiał się. — Dhole, tylko patrzeć, jak podążą w dół rzeki. O ile nie

stchórzycie, jak ps-sy, będziecie mogli rozprawić się z niemi na mieliznach.

— Kiedyż nadejdą? — zapytał Phao.

— A gdzie jest moje człowieczątko? — dorzucił Akela.

— Przyjdą wtedy, gdy zechcą przyjść — syknął Kaa. — Stójcie w pogotowiu i nie zasypiajcie s-s-prawy!... Co zaś-s się tyczy „twojego“ człowieczątka, od którego nie wahałeś-s się wziąć s-słowa, narażając go tem samem na pewną śmierć... co się tyczy, powtarzam, „twego“ człowieczątka, to jes-s-st ono teraz pod moją opieką... a jeżeli dotychczas-s nie uświerkło nędznie, nie jest to bynajmniej twoją zasługą, ty stara, osiwiała sobako! Warujcież tu s-sobie, pieski i suczeta, czekając s-s-spotkania z dholami, i czujcie się szczęśliwi, że ludzkie szczeniátko i ja s-s-stoimy po waszej s-s-stronie!

Spróbowałszy w ten sposób ostrości swego języka, Kaa pomknął zpowrotem w górę rzeki i znów przycumował się ogonem u skały pośrodku wąwozu, pilnie pogładając wzwyż, ku zrębowi urwiska. Nagle na tle gwiazdneho nieba ujrzał poruszającą się głowę Mowglię — potem coś szurnęło w powietrzu, rozległ się doraźny i wyraźny plusk ciała ludzkiego, spadającego równemi nogami w wodę — a w chwilę potem już to ciało spoczywało znowu w wielkiej pętli splotów węzowych.

— Sam skok to fraszka dla mnie w nocnej porze — ozwał się Mowgli głosem spokojnym. —

Skakałem-ci nieraz dla zabawy nawet z dwa razy większej wysokości. Ale tam w górze grunt jest paskudny, pełen niskich krzaczków i głębokich żlebów, pokrytych ciżbą Małego Plemienia. Koło trzech żlebów ustawiłem kopczyki z dużych głazów. Gdy będę biegł, przewracam je nogą, doprowadzając Małe Plemię do szalonej złości.

— Co to znaczy s-s-spryt ludzki! — cmoknął Kaa. — Mądry jesteś, bratku, ale Małe Plemię bywa zawsze pełne złości.

— O nie! Gdy zapada zmierzch, wszelkie stworzenia skrzydlate układają się do spoczynku. Zabawię się z dholami o zmierzchu, bo one lubią polować w dziennej porze. Teraz idą za krwawym śladem Won-tolli.

— Chil nie zostawia zdechłego wołu, ani dhole krwawego śladu — rzekł Kaa.

— W takim razie zgotuję im nowy ślad krwawy, z własnej ich krwi, jeżeli mi się uda... i nakarmię ich gnojem. Czy będziesz tu na mnie czekał, Kaa, póki nie powrócę z dholami?

— Tak jest, ale co będzie, gdy one zabiją cię w dżungli, albo gdy Małe Plemię zabije cię, zanim zdążysz wskoczyć w rzekę?

— O jutrzejszych łowach należy mówić jutro — odrzekł Mowgli, cytując przysłowie puszczańskie, dodał jednak niebawem: — Na odśpiewanie pieśni żałobnej będzie czas, gdy umrę. Szczęśliwych łowów, Kaa.

Uwolnił ze swych objęć szyję pytona i popłynął z wodą niby tram, niesiony powodzią, kierując się

w stronę wydmy u przeciwległego brzegu. Znalazszy się na powolnym prądzie, zaczął śmiać się głośno z wielkiej uciechy. Nie było rzeczy, która by Mowgliemu, wedle jego własnego wyrażenia, taką sprawiała przyjemność, jak „targanie śmierci za wąsy“ i odczuwanie swego władztwa nad puszczą. Już za lat młodszych niejednokrotnie zdarzało mu się wylupiać plastry miodu z drzewnych barci — przeto wiedział, że Małe Plemię niczem tak się nie brzydzi, jak wonią dzikiego czosnku. Zebrał więc sobie pęczek tego ziała, przewiązał go tykiem, potem zaś puścił się krwawym śladem Won-tolli, w kierunku południowym od legowisk. Przebiegł tak może z pięć mil, a przez cały ten czas wpatrywał się uważnie w korony drzew, przegiąwszy w bok głowę.

— Byłem już Mowglim-żabą — mówił, śmiejąc się do rozpuku, — a sam się podaję za Mowgliego-wilka. Teraz muszę być Mowglim-malpą, zanim zostanę Mowglim-koźłem. Wkońcu jednak będę Mowglim-człowiekiem. Ho! ho!

To rzekłszy, przesunął palcem po osiemnastocalowej klindze swego noża.

Ślad Won-tolli, cały usiany plamami czarnej posoki, biegł wzdłuż kniei gęstego starodrzewu, ciągnącej się zrazu zwartą ścianą w kierunku północno-wschodnim, potem zaś rzędzącej stopniowo aż na odległość dwóch mil od Skal Pączelich. Od ostatniego z tych drzew aż do zarośli ponad skalami była przestrzeń otwarta, gdzie nawet wilk nie miałby gdzie się ukryć. Mowgli

biegł wytrwałym klusem wzdłuż drzew, oceniając odległość pomiędzy gałęziami, wdrapując się czasami na ten lub ów pień i próbując skoku z drzewa na drzewo; doszedłszy wkońcu do otwartej polany, jął z całą dokładnością i uwagą badać jej teren. Godzinę całą trwało to badanie — poczem Mowgli zawrócił z drogi, podjął przerwany wprawdzie trop Won-tolli, usadowił się na wystającej gałęzi jakie osiem stóp nad ziemią, zawiesił pęczek czosnku na bezpiecznym sęku i czas jakiś siedział spokojnie, ostrząc nóż o podeszwę stopy.

Przed samem południem, gdy słońce przypiekało tęgo, usłyszał tętent wielu stóp i poczuł odrażający cuch zgrai dholów, mknących zawzięcie i nieubłaganie śladem Won-tolli. Oglądane zgóry czerwone psy wydają się co najmniej o połowę mniejsze od wilków, ale Mowgli wiedział, jak potężne są ich łapska i szczęki. Wypatrzywszy ostry pysk przodownika, wężącego za śladem, ogłosił hasło łowieckie:

— Szczęśliwych łowów!

Zwierz stanął jak wryty i spojrzał w górę. Towarzysze poszli za jego przykładem. Pod drzewo przyciągnęły jedne za drugimi zastępy rudych psów o chwostach obwisłych, krępych karczyškach, chudych grzbietach i krwawych paszczkach. Dhole są z natury wielkimi mrukami i nawet w ojczystym Dekkanie nie odznaczają się zbytnią wytwornością obyczajów. Poniżej Mowgliego zebrały się chyba ze dwie setki tych drapichróstów, on widział jednak, że przodownicy

węszyli łapczywie ślad Won-tolli, starając się przynaglić zgrają do dalszego biegu. W ten sposób napastnicy mogliby jeszcze za dnia dotrzeć do wilczych legowisk. Nie na rękę to było Mowgliemu, przeto postanowił przetrzymać ich pod drzewem aż do zmierzchu.

— Kto wam pozwolił tu przychodzić? — huknął na nich zgóry.

— Wszystkie dżungle do nas należą! — odpowiedział jeden z dholów i błysnął białymi zębami. Mowgli spojrział z uśmiechem wdół i jał ludząco naśladować przenikliwy zgrzyt zębów, cechujący dekkańskiego szczura-skoczka Chikai, przez co chciał zaznaczyć, że stawia dhole narówni z owym zwierzątkiem. Zgraja stoczyła się kolo pnia, a herszt jał ujadać zaciekle, przezywając Mowglię małpą. W odpowiedzi na to Mowgli zsunął nogę wdół i począł wymachiwać bosą stopą tuż ponad zadartym łbem herszta. To już aż nadto wystarczyło, by do bezsilnej wściekłości pobudzić całą zgrają. Kto ma stopy owłosione nawet pomiędzy palcami, oczywiście nie lubi, by w ten sposób pokpiwano z tej jego wściekłości. Przeto rudy arcy-pies podskoczył wgórze, pragnąc dopaść stopy Mowglięgo, ten jednak cofnął ją w samą porę i cienkim, słodziutkim głosem zaszydził z napastnika:

— Hej, pieski! Rude pieski! A wynocha do Dekkanu! Wracajcie pożywiać się jaszczurkami na swych barłogach! Wracajcie do swych bra-ciaszków Czykajów! Czyk-czykezyk! Psy! rude

psy! Każdy palec na waszych nogach jest owłosiony!

To rzekłszy, znów zaczął zamasyżować wywijając nogą w powietrzu.

— Zejdźno natychmiast na ziemię, bo cię zamorzemy głodem na tem drzewie, ty dudku, ty bezwłosa, bezogoniasta małpo! — zawyła, jak jeden pies, cała gromada, skupiając się coraz to ciaśniej pod drzewem.

Tego właśnie pragnął Mowgli. Położył się całą długością ciała wzdłuż gałęzi, przytuliwszy do kory policzek, i mając wolną rękę prawą, klarował przez parę minut rabusiom wszystko, co wiedział i myślał o nich, o ich zwyczajach i obyczajach, ich sukach i szczeniętach. Niema w całym świecie mowy tak złośliwej i kąśliwej, jak gwara plemion puszczańskich, gdy chodzi o wyrażenie szyderstwa i wzgardy. Sami po namyśle przyznacie napewno, że inaczej być nie może. Mowgli (jak słusznie przechwalał się wobec pytona) miał nie jeden kolec na języku, przeto posługiwał się tą bronią niezawodnie i wymyślnie, doprowadzając dhole zwolna najpierw do dziwu i oniemiaenia, następnie do pomruków i skowytów, następnie do wycia przeraźliwego, wreszcie zaś do całkowitego ochrypnięcia, spowodowanego zaciekłem, niezmordowanym ujadaniem. Staraly się wprawdzie sprostać mu ciętością wyzwisk — ale był to trud daremny: równie dobrze mogłoby się liche szczeniátko kusić o to, by iść o lepsze z rozwścieczonym wężem Kaa.

Przez cały ten czas Mowgli mocno obejmował stopami gałąź, i gotów każdej chwili do czynu, przyciskał do boku pięść ręki prawej. Wielki kasztanowaty przodownik dał kilkakrotnie susa w górę, mimo to Mowgli hamował się jeszcze w swym zamiarze — nie chciał bowiem chybić ciosu. Gdy jednak wkońcu napastnik, pobudzony do niepomiernej wściekłości, zdwoił wysiłki i skoczył na siedem albo i osiem stóp ponad ziemię, wówczas dłoń chłopca wysunęła się nagle wdół, niby łeb drzewnego węża, i pochwyciła go — jak małego psiaka — za kudłate karczysko. Zatrzęsa się gałąź i zatrzeszczała, przygięta ciężarem, a Mowgli omal nie zsunął się na ziemię. Nie wypuścił jednak zdobyczy, ale windował zwolna na gałąź rudą bestję, — oklapniętą teraz i niemrawą, niczem zdechły szakał. Lewą ręką domacał się noża i jednym ciachnięciem odciął zwierzowi rudy puszysty ogon, poczem zrzucił dhola nadół zpowrotem. Zamiar był w zupełności osiągnięty. Odtąd już rude psy porzuciły ślad Won-tolli: postanowiły wprawdzie stoczyć z Mowglim bój na śmierć i życie. Widział, jak przysiadaly po kilka wraz na ziemi, trzęsąc groźnie pośladkami, co u nich było zapowiedzią krwawego odwetu. Wspiął się przeto na jeden z wyższych konarów, oparł się wygodnie plecami o pień — i zasnął najspokojniej w świecie.

Po upływie trzech czy czterech godzin zbudził się, spojrział wdół i przeliczył oczyma zgraję napastników. Byli wszyscy, co do jednego — cała

czereda milczących, posepnych, najeżonych dra-
pieźców, wpatrujących się weń ostremi i lśniącemi
niby stal ślepiami. Słońce chyliło się ku zacho-
dowi. Za pół godziny małe plemię skalne miało
zakończyć całodzienną pracę, a wiadomo, że dhole
niezbyt tego walczą pociemku.

— Cóżście się uwzięli tak warować koło
mnie? — huknął, stanąwszy na gałęzi. — Nie
potrzeba mi tak licznej straży, w każdym razie
zachowam w pamięci waszą wierność i wytrwałość.
Juści, psiska jesteście, rude psiska . . . ale, na mój
rozum, to was tu trochę za wiele nalazło z jedne-
go gatunku! Wszystkie jednej maści, ani którego
odróżnić! Mając to na względzie, nie oddam ogona
grubemu zjadaczowi jaszczurek. Cóż, nie cieszysz
się z tego, stary hurku?

— Ja ci za to zębami wypruję kiszki! — zawył
przodownik, ostrząc sobie owe zębce o pień
drzewa.

— No, no, zastanów się dobrze, lepski szcurze
dekkański! Teraz to-ci się wylęgnie cała archan-
dryja małych kusych, bezogoniastych rudych psia-
ków, co sobie poparzą pośladki, gdy siądą na go-
rącym piasku. Huzia do domu, rudy psie, i ogłoś
tam wszystkim, że to jakaś małpa tak cię uszlach-
ciła . . . czy uszlachtowała! Co, pies nie chce
odejść? Chodź-że więc, kochasiu, do mnie, to cię
nauczę arcymądrych sztuczek!

To rzekłszy, przegibnął się jak małpa na naj-
bliższe drzewo, potem znów na następne, stąd
znów na trzecie zkolei — i tak posuwał się coraz

dalej i dalej, ścigany przez tłuszcę wrogów, zadzierających bezustanku lby do góry i wpatrujących się weń uporczywie zajadłemi ślepiami. Od czasu do czasu udawał, że zlatuje na ziemię — a wówczas zgraja cisnęła się jeden przez drugiego, by przyspieszyć jego zgubę. Dziw brał zaiste, gdy było patrzeć na tego chłopaka przemykającego się, z nożem lśniącym w pozłocie zachodu, pośród gałęzi drzewnych — i na śledzącą go milczkiem zdołu, ścigającą go niestrudzenie cizbę rudych zwierzaków, których nastroszone kudły gorzały w leśnym ostępie niby żywe płomienie. Gdy dobiegł do ostatniego drzewa, rozwiązał pęczek czosnku i natarł nim starannie całe ciało.

— Malpo o wilczym języku! — zawyły dhole szyderczo. — Czy myślisz, że w ten sposób zdołasz omylić nasz węch? My i tak rozpoznamy twój zapach i będziemy cię ścigać zawzięcie aż do samej śmierci...

— Zabierz sobie swoją kitę! — krzyknął Mowgli, rzucając ogon wtył poza siebie, w kierunku drogi już przebytej. — A teraz ścigajcież mnie, pieski, ścigajcie... aż do samej śmierci!

Jak można było przewidzieć, zgraja cofnęła się nieco, poczuwszy zapach farhy zwierzęcej. Tymczasem chłopak zsunał się chyżo po pnium na ziemię i nim dhole się spostrzegły, pomknął na bosaka — jak wiatr nieścigły — ku skałom, kędy gnieździły się dzikie pszczoły.

Rude psy zawyły ponuro i puściły się w pogoń ciężkim, posuwistym klusem, zdolnym doprowa-

dzieć do zupełnego wyczerpania wszelką ściganą zwierzynę. Mowgli wiedział, że bieg ich stada jest znacznie powolniejszy od biegu wilków; gdyby nie to, nigdyby się nie odważył biec przez dwie mile po otwartej równi. Dhole były pewne, że wkońcu dogonią chłopca, on zaś był pewny, że może igrać sobie z niemi dowoli, byle zdołał utrzymać je na swym tropie i nie pozwolił im ochłonąć w zawziętości; zależało mu bowiem na tem, by nie pokwapily się z odwrotem. Biegł równo, zręcznie, sprężystym krokiem; kusy pies-przodownik następował za nim w odległości niespełna pięciu sążni, za tym zaś mknęła zgraja rozsypana bodajże na ćwierćmilowej przestrzeni, zaślepiona i obłąkana szaleńczą żądzą mordy. Uchem chwytal każde poruszenie przeciwników, a trzymał się wciąż w jednakowej odległości, zachowując siły na ostatek gonitwy — na cwał i pęd opętany poprzez rojowiska pszczoł skalnych.

Kwiaty w owej porze roku nienadługo otwierały swe kielichy, to też małe Plemię Skalne już o wczesnym zmierzchu udało się na spoczynek. Atoli zaledwie stopy Mowgliego trąciły głuchym pogłosem o pełną zagłębien opokę, rozległ się głośny brzęk i szum — jakgdyby ziemia nagle ożyła i poczęła gwarzyć całą swą powierzchnią. Wówczas Mowgli jął biec wdół tak chyżo, jak nie zdarzyło mu się biec nigdy w życiu — a po drodze stracił najpierw jedną, potem drugą, potem trzecią kupę kamieni w głąb ciemnych, słodkawą wonią zalatujących parowów. Z jakiejś czeluści nie-

widnej buchnął gwar potężny, podobny do huku bijących o skały, rozszalałych fal morskich — i Mowgli kącikiem oka dostrzegł jakąś czarną chmurę wzbijającą się poza nim w powietrzu. Jednocześnie obaczył hen w dole srebrny nurt Waingungi i wychylający się z wody płaski, do brylantu podobny łeb węża. Zebrał wszystkie siły i wymykając się kusemu przodownikowi, miotającemu się wgórę i mierzącemu zębata szczęką wprost w jego plecy, dopadł krawędzi skalnej i skoczył nogami nadół w wodę. Zdyszany był śmiertelnie, ale czuł radość niepomierną z powodu bezpieczeństwa i osiągniętego triumfu. Ani jedno żądło nie ugrzęzło w jego ciele, bo woń czosnku odpędziła od niego Małe Plemię na ten krótki moment, jakiego potrzebował, by przedrzeć się przez skały.

Gdy wynurzył się z wody, utrzymywany w równowadze splotami węża Kaa, obaczył jakieś dziwa, co staczały się z urwiska wdół — prosto w rzekę, niby ołowianki. Na pierwszy rzut oka wydawały się poprostu klębówiskiem zbitego gęsto pszczelego roju — atoli gdy który z tych klębów miał już spaść w wodę, pszczoły wzbijały się wzwyż, a po toni rzecznej splywało z prądem, wirując, martwe ciało dholą. Z nad zrębu przepaści dolatywało zaciekle, urywane poszczekiwanie, zagłuszone jednakże piorunnym hukiem i wrzawą — wrzawą skrzydeł małego skalnego plemienia. Na dobitkę niektóre z dholów wpadły do szczelin łączących się z podziemnymi piecza-

rami, tam dusiły się i szamotały wśród zwałonych na kupę plastrów, klapiąc bezskutecznie szczękami, aż wkońcu martwe ich zwłoki, poniesione bezlikiem rojących się pod nimi pszczół wysuwały się z jakiejś czeluści skalnej nad rzeką i staczały się na stosy czarnego rumowiska. Niektóre dhole dobiegły tylko do drzew nad skalami — i znikły doszczętnie pod chmurą pszczół. Większość jednakże, doprowadzona do szału ukąszeniami żądeł, rzuciła się w rzekę — a Kaa miał słuszną, gdy toń Waingungi nazwał żarłoczną.

Kaa dzierzył mocno Mowgliego, póki chłopak nie przyszedł zupełnie do siebie.

— Nie możemy tu pozostawać! — syknął jednakże wkońcu. — Małe Plemię rozjątrzyło się nie na żarty! W drogę!

Trzymając się tuż przy powierzchni wody i wedle możliwości często nurkując, Mowgli dał się ponosić prądowi, a noża nie wypuszczał z dłoni.

— Wolnego! wolnego! — hamował go Kaa. — Jeden ząb (o ile to nie jest ząb kobry) nie podola całej setce zębatych stworzeń! Wiele dholów zdołało zbiec przed Małym Plemieniem do wody... i wyszły bez szwanku!

— Tem-ci więcej będzie miał do roboty mój nóż! Ale... o fe! jak te małe istotki nas ścigają!

I dał znów nurka w wodę, bo powierzchnię rzeki zakryła ławica dzikich pszczół, buczących złowrogo, a tnących wszystko, co napotkały po drodze.

— Na milczeniu jeszcze nikt nie stracił — zauważył Kaa, którego twardych łusek nie zdołało przebić ani jedno żądło; — a wszak ciebie czekają jeszcze całonocne lowy! Posłuchaj, jak one wyją!

Tylne szeregi psiej zgrai — niemal jej polowa — spostrzegły odrazu pułapkę, w jaką wpadli ich towarzysze, przeto wykonawszy bystry zwrot w bok, rzuciły się ku rzece, tam, gdzie wąwóz obrywał się nagle stromą, prostopadłą niemal krzesanicą. Ich wściekle okrzyki oraz pogrózki, skierowane przeciwko „malpie łążącej po drzewach“, która ściągnęła na nich taką sromotę, mieszały się z wyciem i skowytem współbraci pokąsanych przez pszczoły. Pozostawanie na brzegu groziło śmiercią — z tego zdawał sobie dobrze sprawę każdy z dholów. Przeto cała gromada jęła bez namysłu skakać w wodę — i popłynęła z prądem aż hen ku skalom Łachy Pokoju. Atoli i tam nie dało im spokoju Małe Plemię — i kąśliwym natarciem zmusiło zwierzęta do niejednokrotnego chowania się pod wodę. O uszy Mowglięgo obijał się dyszący wściekłością głos kusego przodownika, zachęcającego towarzyszy, by trzymali się dzielnie i wymordowali wszystkie wilki w Seonee. Ale chłopak nie tracił czasu na podsłuchach — tylko płynął uporczywie coraz dalej.

— Ktoś morduje nas podstępnie w ciemności! — warknął jeden z dholów. — Woda zbrukała się krwią!

To Mowgli popłynął był, jak wydra, nurkiem pod wodą, wciągnął jakiegoś dhola w głąb topieli, zanim ten zdążył szarpnąć się i pysk rozewrzeć. Za chwilę trup rudego zwierza wychynał z pluskiem na powierzchnię, a wokół Skaly Rozejmu ukazały się na wodzie smugi ciemnej, kleistej cieczy. Przerażone dhole próbowały zawrócić z drogi, ale przemoc nie zdołały wartkiego i silnego prądu; zresztą pszczoły cięły je nadal zawzięcie po szyjach i uszach, nadomiar zaś złego w gęstniejącym mroku rozlegało się coraz to głośniejsze i wyraźniejsze hasło bojowe drużyny seconeńskiej.

Mowgli znów dał nurka i znów jeden z dholów zniknął pod wodą, by w chwilę później wypłynąć — już jako trup — na powierzchnię. Znowu podniosła się wrzawa na tyłach. Rude psy jęły klócić się z sobą: jedne głosiły, że najlepszą rzeczą byłoby wyjść na brzeg, drugie błagały swego przywódcę, by odprowadził je zpowrotem do Dekkanu, inne wreszcie wyzywały Mowgliego, by wynurzył się z wody i stanął do otwartej rozprawy.

— Każdy z dholów, idąc w bój, ma dwa żołądki i wiele głosów! — zauważył Kaa. — Reszty dokonają twoi bracia na brzegu. Małe Plemię powraca na spoczynek... a ja mam ochotę pójść za jego przykładem. Nie myślę pomagać wilkom.

Nad brzegiem pomykał właśnie jakiś wilk na trzech łapach, co pewien czas w sposób nader dziwny podskakując w górę, następnie kładąc się bokiem na ziemię, wyginając grzbiet i wymachując

dwiema łapami w powietrzu, jakgdyby igrał ze swemi szczeniętami. Był to Won-tolla, owdowiały, bezdzietny Wilk-Samotnik. Zabawiał się tak w milczeniu przez czas dłuższy, drwiąc sobie w żywe oczy z dholów. Te, jako że już czas niemal spędziły w wodzie, płynęły obecnie z wielkim wysiłkiem, nasiąklszy jak gąbka wodą od grzbietu aż po końce puszystych ogonów, wlokły się ociężale, wyczerpane i drżące — i również nie odzywały się ani słowem, wpatrując się jeno bacznie w parę roziskrzonych ślepiów, krążących nieopodal.

— Niedobre to lowy! — przemówił wkońcu jeden z dholów.

— Dobrych lowów! — rozległ się nagły krzyk ponad wodą.

To Mowgli wynurzył się zuchwale z wody, wpakował owemu dholowi długi nóż pod piąte żebro i pomknął szybko naprzód, by uniknąć zwierających się szczęk zdychającego zwierza.

— Hola! To ty, szczenię ludzkie? — zawołał nań z brzegu Won-tolla.

— Przypatrz się trupom, wilku-powsinogo! — odparł mu Mowgli. — Czy żaden z nich tu nie nadpłynął? Zatkalem tym psom pyski błotem i różnemi paskudztwami i w biały dzień wywiodłem w pole całą ich halastrę. Sam herszt postradał sromotnie ogon, a bardzo wielu utraciło życie. Ale nie martw się! Zostało ich trochę i dla ciebie! Gdzież mam ci ich przypędzić?

— Zaczekam tutaj — rzekł Won-tolla. — Mam jeszcze długą noc przed sobą, to rozejrzę się należycie!

Coraz to bliżej, coraz to wyraźniej słychać było nawoływanie wilków seeonejskich:

— Na bój! W imię stada! W imię całego stada! Na bój!

Silny prąd na zakręcie rzeki poniósł dhole wprost na wydnię i płycizny, leżące naprzeciw wilezych legowisk.

Poznały omyłkę psy rude. Powinny były wylądować o pół mili wyżej i napaść wilcze stado na suchym lądzie. Teraz było już zapóźno. Wzdłuż całego wybrzeża jarzył się rząd błyszczących ślepi, a w całej dżungli nie było słychać nic, jeno ów straszliwy *pheal*, który rozbrzmiewał nieprzerwanie od zachodu słońca. Won-tolla wciąż bawił się, niczem mały, łaszący się piesek: — rzekłbyś, że zaprasza swych wrogów, by zechcieli wyjść na brzeg.

— Front ku brzegowi! Natrzeć na to wилcze plemię! — krzyknął nagle herszt dholów.

W jednej chwili cała gromada rzuciła się ku wybrzeżu, brnąc z tętentem i chlupotem przez płytką wodę. Powierzchnia Waingungi rozkolysała się i spieniła na wielkiej przestrzeni, a od brzegu do brzegu rozparły się wielkie fale podobne do szlaku pędzącej łodzi.

Mowgli szedł trop w trop za klębiącą się i tłoczącą hordą, rąbiąc, waląc i klując wszystko, co tylko wpadło mu pod rękę.

Rozpoczął się bój długi i przewlekły. Walczące zastępy wzbierały, przeżyły się, rozbijały i rozdrabniały w małe gromadki, rzedły i gęstniały naprzemian, niby dwa wielkie zalewiska, na wydmach czerwonego piasku, wśród pogmatwanych korzeni drzewnych, skroś zarośli i haszczy, pomiędzy kępami trawy — boć jeszcze i teraz dhole były w sile dwóch na jednego. Atoli tym razem wypadła im sprawa z wilkami, stojącymi w obronie swego stada — i to nietylko z krępymi, przysadzistymi lowcami, ale (cogorsza) z *lahiniami* czyli z patrzącymi srogo z podelba matkami-wilczycami, broniącymi swych młodych; matkom zasię do pomocy szły małe, ledwo owłosione roczniaki, gotowe już do brania się za gardło i do utarczki. Trzeba wiedzieć, że wilk zwykły chwytając przeciwnika za gardziel albo dochodzić go z boku zębami, natomiast rudy pies woli kąsać po psiemu — od brzucha lub po lydkach. Gdy więc dhole jęły wylazić z wody, podnosząc z konieczności lby wgórze — przewaga była po stronie wilków. Na suchym gruncie wilki zaczęły ponosić straty, ale nóż Mowgliego sprawiał się równie dobrze w wodzie, jak i na lądzie. Czwórka wilków też ze swej strony dzielnie służyła mu pomocą. Szary Brat warował pomiędzy jego kolanami, osłaniając brzuch chłopca, tamci zaś trzej pilnowali jego pleców i boków i stawali ponad nim, ilekroć zwałił się na ziemię wskutek wstrząsu, wywołanego skokiem rozwścieczonego, rozszczekanego dhole, rzucającego się wprost na twardą, niezwalczoną

klinę... Pozatem na całym placu boju panował zupełny rozgardjasz i zamęt. Zbita, kołysząca się cizba zapaśników posuwała się to w lewo, to w prawo wzdłuż brzegu rzeki, ścierając się przytem na miazgę w wolnym obrocie wokół swego środka. W jednym miejscu widniało jakby falujące wzniesienie, podobne do bańki wodnej na wirującej topieli, które — podobnie też jak bańka wodna — rozpryskiwało się co pewien czas, wyrzucając w górę po cztery lub pięć zduszonych dholów, starających się dostać zpowrotem do środka. Tam zasię jakiś wilk osamotniony padal na ziemię, stłamszony przez kilku dholów, cisnących się naprzód. Owdzie roczny szczeniaczek tkwił sztorcem w ścisku, jakoby żywy, pomimo że utracił był życie jeszcze z początkiem walki, gdy jego matka, ogarnięta wściekłością i rozpaczą, parla naprzód, gryząc wszystko, co nawinęło się pod jej paszczkę. Nierzadko w najgęstszym tłoku walczących wilk z rudym psem walczyły we dwójkę, zmierzając sobie wzajem do gardła, głusi pozatem na wszystko w świecie, póki ich nie rozłączyła fala rozwrzeszczanych przeciwników. Raz Mowgli dojrzał przelotem Akelę, do którego boków dobierały się dwa dhole, podczas gdy on niepozbawionemi jeszcze zębów szczękami wgrzył się w lydki trzeciego napastnika. Drugim razem zauważył Phaona, który zatopił zębiska w gardzieli jednego z dholów, wlokąc bestję pomimo jej woli naprzód, by powierzyć jej zabicie jednołatkom. Atoli przeważna część walki ginęła

w czarnych kłębach oślepiającego pyłu. Wkółko siebie, poza sobą i ponad sobą Mowgli widział jeno ciosy, starcia, wzajemne obalanie się i kłębienie, słyszał wrzaski, skowyty, szarpaninę, okrzyki bólu i rozpacz.

W miarę jak gęstniała noc, wzmagała się oszłamniająca, wartka bieganina i ruchawka. Dhole, zbyt wyczerpane i zestrachane, nie ośmielały się nacierać na silniejsze od nich wilki, ale też nie ważyły się na rozpoczęcie odwrotu. Atoli Mowgli czuł, że zbliża się już koniec rozprawy i zadowalał się uderzaniem na słabszych jeno, okaleczonych już przeciwników. Roczniaki z wolna nabrały zuchowatości, przeto starsi mogli sobie od czasu do czasu pozwolić na wypoczynek. Zresztą obecnie dość już było błysnąć nożem, a przeciwnik uciekał jak niepyszny.

— Dogryźliśmy już mięso niemal do samej kości! — sapnął Szary Brat, obryzany krwią, sączącą się z kilkunastu głębokich ran.

— Tak, ale jeszcze trzeba zgryźć kość samą! — odparł Mowgli. — Ouaa-ua! Tak to my się sprawiamy w dżungli!

Okrwawiony brzeszczot błysnął jak płomień tuż obok dhola, którego grzbiet i tylne łapy były przygniecione ciężarem jakiegoś zajadłego wilczura.

— To mój łup! — fuknął wilczur, rozdymając chrapy. — Zostaw mi go!

— Co? Jeszcześ się nie nasycił, samotniku? — spytał Mowgli.

Won-tolla pocharatany był szpetnie, ale chwyt udał mu się znakomicie, albowiem zaskoczony dhole — obezwładniony całkowicie — nie mógł ani się odwrócić, ani dosięgnąć napastnika.

— Na wołu, który mnie okupił! — krzyknął Mowgli, śmiejąc się gorzko. — Toż to moja kusa psinka!

W rzeczy samej był to nie kto inny, jeno we własnej osobie sam arcypies-przodownik.

— Nieogłębłą jest rzeczą zabijać szczenięta i *lahini* — dorzucił Mowgli tonem filozoficznym. — Chyba, że się zabije także i ojca legowiska!... Ale ja czuję to... tu w dołku... że ten ojciec ciebie teraz zabije!

Jeden z dholów skoczył z pomocą przodownikowi, lecz zanim zdołał wpić zęby w bok Won-tolli, już mu z prawej strony wszedł pomiędzy żebra nóż Mowgliego, a po lewej błysnęły kły Szarego Brata.

— Tak to my sprawiamy się w dżungli! — powtórzył Mowgli.

Won-tolla nie rzekł ani słowa, ale szczęki coraz bardziej mu się zwieraly i coraz bardziej wgrzyzały się w grzbiet przeciwnika — w miarę, jak upływało zeń życie. Rudy pies drgnął kurczowo, opuścił wdół głowę i legł bez ruchu, a Won-tolla zwałił się bezwładnie na niego.

— Pst! Krwawy dług już spleacony! — syknął Mowgli. — Zanuć pieśń triumfu, Won-tollo!

— On już nie zapoluje nigdy w życiu! — ozwał

się Szary Brat. — Ale i Akela jakoś zamilknął już od dłuższego czasu.

— Zgryźliśmy i kość! — huknął Phao, syn Phaona. — Uciekają! Bić ich, bić, o łowcy Wolnego Plemienia!

Rude psy jeden po drugim poczęły wymykać się z mrocznych i okrwawionych wydm to ku wodzie, to w gęstwinę dżungli, to wdół, to wgórze rzeki, słowem, gdzie kto widział przed sobą otwartą drogę ucieczki.

— Dług! Dług! — krzyczał Mowgli. — Trzeba spłacić dług! Te psy zabiły wilka-samotnika! Niech żadnemu z nich nie ujdzie to na sucho!

I ścisnąwszy nóż w dłoni, leciał już nad rzekę, by zatrzymać każdego z dholów, któryby ośmielił się przystąpić do rzeki, aż tu nagle z pod stosu dziewięciu trupów wynurzył się leb i część kadłuba Akeli. Mowgli zatrzymał się i padł na kolana obok sędziwego Wilka-samotnika.

— Czyż nie mówiłem, że będzie to ostatnia walka w mem życiu? — westchnął Akela. — Udały się łowy! I jakże się czujesz, Mały Bracie?

— Żyję, a zgładziłem wielu nieprzyjaciół.

— To dobrze! Ja... już umieram... a chciałbym... chciałbym umrzeć na twych rękach, Mały Bracie.

Mowgli wziął na kolana pokaleczoną straszliwie głowę starego wilka i zarzucił ramiona na jego poszarpaną szyję.

— O ileż to czasu upłynęło od owych dni, gdy żył Shere Khan i gdy małe голуśkie ludzkie szcze-

niątko tarzało się w piasku! — wykrztusił z siebie Akela.

— No, no, przecież jestem wilkiem! Jestem z tej samej sierści i skóry, co reszta Wolnego Plemienia! — obruszył się Mowgli, płacząc. — Ani mi się kiedy śniło być człowiekiem!

— Ale jesteś człowiekiem, Mały Bracie, przyhołubiony przeze mnie wilczaszku. Jesteś człowiekiem z krwi i kości! Gdyby nie to, nasza wilcza gromada pierzchłaby od razu przed natarciem rudych psów. Tobie zawdzięczam me życie, dziś zaś uratowałeś naszą gromadę tak, jak ongi uratowałem ciebie. Czy zapomniałeś? Teraz jużesmy skwitowani. Nie masz co tu robić dłużej! Odejdź do swego plemienia, swych bliźnich. Raz jeszcze ci powiadam, o ty oczko moje, żeśmy już zakończyli łowy... Wracaj do swego plemienia!

— Nie pójdę tam nigdy. Będę polował w dżungli samopas, na własną rękę. Jużem ci raz to mówił.

— Po lecie przychodzi pora deszczowa, a po niej następuje wiosna. Odejdź, zanim będziesz zniewolony do odejścia!

— Któż mnie zmusi?

— Mowgli przymusi Mowglię. Wracaj do swego plemienia. Wracaj do ludzi!

— Pójdę... gdy Mowgli wygna Mowglię — odrzekł Mowgli.

— Nie będę ci już nic więcej radził — rzekł Akela. — Teraz chcę przemówić do moich krewniaków. Czy nie mógłbyś postawić mnie na nogi,

Mały Bracie? Jam przecie jest również wodzem Wolnego Plemienia!

Powoli, łagodnie, z wielką ostrożnością Mowgli podniósł na nogi Akełę, podtrzymując go oburącz. Stary Wilk Samotnik nabrał tchu całą piersią i począł nucić żalosalną pieśń zgonu, jaką winien przed śmiercią odśpiewać herszt wilczej gromady. Pieśń ta nabierała mocy z każdą chwilą, krzepła, potężniała, rozchodziła się coraz dalej i dalej — hen poza rzekę — aż nakoniec zadzwoniła ostatnim refrenem myśliwskiego wołania: „Szczęśliwych łowów!“

Wówczas Akela wyszarpnął się na chwilę z rąk Mowgliego, skoczył w górę i upadł nawznak nieżywy, zakończywszy ostatnie i najstraszniejsze w swem życiu łowy...

Mowgli oparł głowę o kolana i siedział tak nieruchomo, nie dbając zgoła o to, co działo się dookoła niego. Tymczasem już niedobitki dholów zostały osaczone i zaatakowane przez nieubłagane *lahinie*. Zwolna krzyki ucichły, a wilki jęły jeden po drugim wracać do gromady, ślaniając się od ran, zaskorupiałych już potrosze, ale teraz właśnie dolegających najwięcej. Zaczęło się przeliczanie poległych. Kilkunastu z drużyny łowieckiej oraz ze sześć matek-wilczyc leżało trupem ponad rzeką, a z pozostałych przy życiu uczestników walki mało który nie miał na sobie blizny. Mowgli, nie zwracając uwagi na to wszystko, siedział nieporuszenie aż do chłodnego poranku, gdy uczuł na ręce wilgotne dotknięcie okrwawionej paszczki

Phaona. Wówczas Mowgli odsunął się, ukazując oczom Phaona chude zwłoki Akeli.

— Szczęśliwych lowów! — zawołał Phao, jak-gdyby miał przed sobą żywego Akele; a potem, obracając się okrwawioną szyją w stronę towarzy-szy, rzucił hasło: — Zawyjcicie, wilcy! Wilk, wilk sławny zmarł w noc dzisiejszą!...

Ale ze zgrai dwustu dholów-wojowników, ru-dych psów dekkańskich, szcycących się tem, iż rzekomo żadne ze stworzeń dżungli nie ośmieliło-by się stawić im czoła, — z całej tej zgrai nie ocalał nikt, ktoby mógł choć wieść o wypadkach tu opisanych zanieść do Dekkanu.

PIEŚŃ CHILA.

(Taką to pieśń śpiewał Chil, gdy drapieżne ptaki jeden za drugim opuszczały się nad brzeg rzeki po ukończeniu wielkiego boju. Chil żyje w przyjaźni z wszystkimi, atoli w sercu jego brak gorętszych uczuć — boć wie on dobrze, że prędzej czy później niemal każde ze stworzeń dżungli dostanie się w moc jego.)

Druhami mymi byli oni, gdy w noc szli na wyprawę —
(*Baczność! Chil idzie! Chil!*)

A teraz idę, by mym światem uciszyć boje krwawe...
(*Ze świtą Chil idzie! Chil!*)

Hej! Ślali-ż oni mi meldunki o świeżem w polu ścierwie —
Hej, meldowałem im zwierzynę, nad lasem mknąc —
w rezerwie...

A teraz nikt już się nie ozwie — i ślad się wszelki
przerwie...

Ci, co łowiecki zew rzucali po rosie, wśród rozlogów —
(*Baczność! Chil idzie! Chil!*)

Ci, którzy losia osaczali — niebaczni jego rogów —
(*Ze świtą Chil ciągnie! Chil!*)

Ci którzy wlekli się za węchem — lub kryli się w gęstwinie,
Ci którzy byli rączy w nogach — lub nie mniej rączy
w czynie,

Nie będą odtąd gnać po kniei — i wszelki ślad ich zginie...

Druhami mymi byli oni! Hej, w głośnej żyli chwale!...
(*Baczność! Chil idzie! Chil!*)

Ostatnią dziś im dam posługę — i zgonu się uzalę...
(*Ze świtą Chil ciągnie! Chil!*)

Wzrok zagaśł, krew im bluzga z boków, a szczęki się nie zwarły:
Bezwładną, mdlą, żalostną kupą na zmarłym leży zmarły...
Hej, miały-ż ucztę sługi moje — i wszelki ślad zatarły...

(*Chil! Chil! Chil!*)

(*Baczność! Ze świtą Chil idzie! Chil!*)

HARCE WIOSENNE

Do ludzi wraca człowiek! Rzućcie zew po dżungli!...
W tym człowieku tracimy druha-pobratyma!
Słuchajcie i rozważcie, o plemiona dżungli!
Zali go kto zawróci z drogi lub powstrzyma?

Do ludzi wraca człowiek!... Ach, on płacze w dżungli!...
Nasz kochanek-pobratym cierpi i narzeka!
Do ludzi wraca człowiek! Precz odchodzi z dżungli —
Ścieżką dla nas zamkniętą, — ku leżom człowieka!...

W dwa lata po wielkiej bitwie z rudemi psami i po śmierci Akeli Mowgli liczył już sobie siedemnasty rok życia. Wyglądał na starszego, bo ciągly ruch, wyborne jadlo i częsta kąpiel, której zażywał, ilekroć choćby trochę dokucały mu brud lub upał, uczyniły go nad wiek roslým i krzepkim. Fraszką mu było uczeplić się jedną ręką najwyższej gałęzi drzewa i tak wisieć bez odpoczynku przez pół godziny, przepatrując wzrokiem szlaki zielonych rozchwiei. Umiał zatrzymać jelenia pędzącego cwałem i schwyciwszy za rogi cisnąć go o ziemię. Ba, potrafił bez wielkiego wysiłku zwałać z nóg olbrzymie, silne dziki, barłozące się wśród trzęsawisk na północy. Plemiona dżungli, które dotąd miały cześć dla jego

rozumu i przebiegłości, zaczęły teraz obawiać się jego siły, przeto gdy nawet spokojnie, bez żadnych planów zdradzieckich włóczył się po lesie, rozmyślając wyłącznie o swych osobistych sprawach, biegły przed nim szepty ostrzegawcze — i wszystko, co żyło, usuwało mu się skwapliwie z drogi. Wszelakoż oczy jego miały zawsze wyraz łagodny. Nawet podczas walki nie rozjarzały się ogniem, jak oczy Bagheery — jakkolwiek uwydatniało się w nich rosnące podniecenie i zaciekawienie. Było to jedno z wielu zjawisk, których objaśnić sobie nie umiał nawet bywalec pomiędzy ludźmi — czarna pantera Bagheera.

Zwróciła się do Mowgliego z zapytaniem w tej sprawie, ale chłopak roześmiał się tylko i rzekł:

— Gdy poszkapię się w łowach, bywam gniewny. Największy jednak gniew mnie ogarnia, gdy mi wypadnie ze dwa dni chodzić z pustym żołądkiem. Czy moje oczy nie mówią ci nic wtedy?

— Usta twoje są wówczas głodne — odrzekła Bagheera, — ale twoje oczy nic nie mówią. Czy pożywasz się, czy pływasz, oczy twoje bywają zawsze jak głaz jednakie... zarówno latem, jak zimą...

Mowgli spojrzal na nią ociężale z pod długich rzęs — a niebawem Bagheera, jak to zwykle bywało w takim wypadku, spuściła potulnie łeb ku ziemi. Znała mores Czarna Pantera i wiedziała, z kim ma do czynienia.

Leżeli we dwójkę na stoku wzgórza, panującego nad brzegiem Waingungi. U stóp ich snuły się

pasma mgły, naprzemian białe i zielone. Gdy wstało słońce, mgła zmieniła się w falujące morze złota i czerwieni, następnie wyklarowała się — i rozesełane po ziemi promienie musnęły wysoką trawę, na której spoczywał Mowgli wraz z Bagheerą. Było to pod koniec chłodnej pory, więc liście drzew i ziół obumarły i powiędły, a powiew wiatru budził suche i drażniące szelesty. Szczególnie jeden mały listek łopotał zawzięcie o gałązkę — jakby skarżąc się na swą samotność. Ocknęła się Bagheera, pobudzona tym szmerem, zachłysnęła się rzeźwym tchem poranku, aż jej w grdyce coś głucho zachrzęściło, poczem przewróciła się na wznak i jęła czterema łapami — kocim obyczajem — potrącać ów listek, trzepocąc jej się nad głową.

— Nadchodzi zmiana roku! — zawołała. — Życie dżungli posuwa się znów krokiem naprzód. Ten liść to wyczuwa. Wszystko to cieszy mnie niezmiernie.

— Trawa jest zeschnięta — odrzekł Mowgli, wrywając całą jej kępkę. — Nawet oko wiosny (tak zwie się czerwony kwiatusek o lejkowatym kielichu, snujący się długimi kłęczami pomiędzy trawą) ... nawet oko wiosny jest jeszcze zamknięte ... a zresztą ... Bagheero, czy wypada, by czarna pantera wywracała się po ziemi i majdała nogami w powietrzu, niby nieobyty żbik?

— O-o-o! — ziewnęła Bagheera, najwidoczniej zajęta w tej chwili zgoła inną myślą.

— O ładnie, ładnie! — zgromił ją Mowgli. —

Widział-że kto, by Czarna Pantera otwierała tak szeroko paszczę, kaszłała, wyla i tarzala się, jak warjat, po ziemi? Pamiętaj, że i ty i ja jesteśmy dziś władcami dżungli!

Bagheera przewróciła się czemprędzej zpowrotem i przysiadła na zakurzonej ziemi. Widać teraz było dobrze jej wyliniące boki — była to bowiem pora, w której zrzucala z siebie futerko zimowe.

— Owszem, owszem, słucham cię, Ludzkie Szczęnię! Masz słusność! My oboje jesteśmy bezsprzecznie panami dżungli! Kto siłą, kto rozumem dorównywa Mowgliemu?

Słowa te wycodziła tak jakoś dziwnie, że Mowgli obejrzał się, chcąc się przekonać, czy pantera przypadkiem nie pokpiwa sobie z niego; albowiem w dżungli mnóstwo jest słów takich, co brzmią inaczej, a inne mają znaczenie.

— Powiadam ci, że bezsprzecznie my oboje jesteśmy panami dżungli! — powtórzyła Bagheera. — Czyż postąpiłam niewłaściwie? Nie wiedziałam, że Ludzkie Szczęniętko już nie lubi tarzać się po ziemi. Zapewne więc nauczyło się latać?

Mowgli siedział, wsparłszy kolana na łokciach, i patrzył w dolinę, zalaną już światłem dziennem. Kędyś poniżej, w głębi lasów, jakiś ptak głosem jeszcze niewprawnym i schrypniętym dobywał pierwszych tonów wiosennej piosenki. Był to ledwie cień owego hucznego hejnału, który niebawem miał rozbrzmieć z ptasiego gardła — ale Bagheera i tak posłyszała to preludjum.

— Mówiłam ci, że zbliża się czas Nowej Gwary — zamruczała, wymachując ogonem.

— Słyszę — odpowiedział Mowgli. — Bagheera, powiedz mi, czemuś tak zadrzała? Przecież słońce już grzeje!

— To Ferao, szkarlatny dzięciol — odrzekła wymijająco Bagheera. — On nie zapomniał! Teraz i ja muszę sobie przypomnieć moją śpiewkę.

To rzekłszy, poczęła pomiaukiwać i mruzczeć coś zcicha, nadsłuchując co pewien czas z widocznym niezadowoleniem.

— Ależ ja tu nigdzie nie czuję zwierzyny! — skrzywił się Mowgli obojętnie.

— Ej, braciszku, czyżeś już ogłuchł na oba uszy? Przecież to nie hasło łowieckie, tylko moja śpiewka, która wnet może mi się przydać . . . ćwiczę się więc w niej na wszelki wypadek.

— Zapomniałem o tem — odrzekł Mowgli z pewną opryskliwością w głosie. — Zresztą ja i tak poznam, kiedy nadejdzie czas Nowej Gwary, bo wówczas ty i reszta towarzyszy uciekniecie precz i każecie mi chodzić samopas.

— Ależ, Braciszku — zaczęła Bagheera — przecież my niezawsze . . .

— Mówię ci, że tak jest! — burknął Mowgli gniewnie, wyrzucając przed siebie palec wskazujący. — Tak! Wy odchodźcie sobie precz, a ja, pan dżungli, muszę chodzić samopas! A jak to było w zeszłym roku, gdy przyszła mi oskoma na trzcinę, rosnącą na polach ludzkiej gromady?

Posłałem ciebie jako gońca do Hathiego, rozkazując mu, by przybył w oznaczoną noc i trąbą swą nazrywał dla mnie tej słodkiej trawy...

— Przybył przecie, tylko się spóźnił o dwie noce — odrzekła Bagheera, pochylając zlekka łeb ku ziemi. — Tylko o dwie noce... A co się tyczy tej długiej, słodkiej trawy, którą tak lubisz, toż przyniósł ci jej o wiele więcej, niżby potrafiło spożyć małe ludzkie szczeniátko przez wszystkie noce pory deszczowej. Ja tu nie bylam nic winna...

— Rzecz cała w tem, że on nie stawił się na me wezwanie w ową noc, którą mu oznaczyłem, ale biegł jak szalony po wertepach górskich, trąbił, dudnił i hałasował. Widziałem go przy świetle księżycowem, jak tańczył nieopodal domów ludzkich. Nie potrafił ukryć się pośród drzew, bo ślady jego były jako ślady trzech słoni. Jam go widział, a jednak on do mnie nie przybył, mimo że przecie jestem panem dżungli!

— Był to właśnie czas Nowej Gwary! — tłumaczyła pantera z pokorą. — A może, mały Bracie, nie przywołałeś go władcem zaklęciem?... Ale słuchaj, co tam nuci Ferao!

Mowgli — jakby już ochłonął z gniewu — położył się nawznak, podparł głowę rękami i zamknął oczy.

— Nie rozumiem... a zresztą nie obchodzi mnie to wcale — rzekł sennym głosem. — Prześpijmy się, Bagheero. Coś mi tak cięży w żołądku... Przygotuj mi oparcie pod głowę!

Pantera legła potulnie na ziemi — ale westchnęła głęboko, bo z głębi kniei raz po raz dolatywał ją głos dzięcioła Ferao, ćwiczącego się w piosnce na powitanie wiosny, czyli tak zwanej doby Nowej Gwary.

Pory roku w dżungli tak splywają się z sobą, że trudno dostrzec pomiędzy nimi jakieś granice. Napozór istnieją tylko dwie — mokra i sucha, ale kto umie przeniknąć wzrokiem tumany kurzu, klęby dymu i strugi ułewy, przekona się, że wszystkie cztery pory roku płyną najzupełniej normalnym trybem. Najdziwniejsza jest wiosna; gdyż zamiast okrywać nagie pola nowymi kwiatami i liśćmi, usuwa i uprzęta obwisłe — ledwo ocalałe przy życiu — szczątki zieleni, oszczędzone przez łagodną zimę, odmładzając i odświeżając zaschłą, skąpo odzianą ziemię. Pod tym względem żadna wiosna w świecie nie może się równać z wiosną w dżungli.

Jest taki dzień jeden, w którym wszystko jest ogarnięte znużeniem — gdy nawet wonie płynące w ciężkiem powietrzu są jakby stęchłe i zwietrzałe. Każdy to czuje, ale wytłumaczyć nikt nie potrafi. A potem nadchodzi drugi dzień — napozór nie różniący się od poprzedniego — gdy wszystkie wonie tchną świeżością i rozkoszą, — gdy wąsy zwierząt puszczańskich drgają aż po same korzonki — a zimowe uwłosienie osypuje się długimi kłakami z kosmatych grzbietów. Potem zazwyczaj mży drobny deszczyk, a wszystkie drzewa, krzewy, bambusowe oczerety, szare mchy i soczy-

ste ziola budzą się do nowego, szumnego życia — niemal słycać jak żyją i rosną. Poszumowi temu wtóruje dniem i nocą buczenie jakieś gluche, gędzenie niewytlumaczone. Gwar-ci to jest wiosenny — nito pobrząk pszczół ni pogrzmot siklawy ni szemranie wiatru w drzew koronach — ale gaworzenie szczęśliwe, pomruk radosny zadowolonego, ogrzanego świata.

Po inne lata Mowgli zawsze cieszył się nawrotem pór roku. On to pierwszy umiał wypatrzyć male „oczko wiosny“, schowane głęboko w trawie, oraz lawicę obłoków wiosennych, z którymi nie w dżungli nie daje się porównać. Jego to głos rozbrzmiewał przy blasku gwiazd na ukwieconych niecieczach i mokradłach, wspomagając śpiewkę żabich zespołów lub przedrzeźniając hukanie puszczyków, psujących nastrój srebrnej księżycowej nocy. Jak dla wszystkich podległych mu plemion, tak i dla niego wiosna była ulubioną porą harców. Niewysłowioną uciechę sprawiał mu ruch i przebywanie wśród ciepłych blasków słońca, przeto hasał niezmordowanie od jutrzni do wieczora, aż wkońcu, przebiegłszy trzydzieści, czterdzieści lub nawet pięćdziesiąt mil, wracał do domu, sapiąc i śmiejąc się jednocześnie, przystrojony równiankami dziwnego kwiecica. Czwórka wilczków nie towarzyszyła mu w tych dzikich hulankach, ale zmykała kędyś w głąb matecznika i wyla w zawody z innemi wilkami. Plemiona dżungli ożywiają się niezmiernie z wiosną — przeto do uszu Mowgliego dochodziły wciąż to wrzaski,

to jęki, to poświstywania. Każdy gatunek zwierza innym wabił się głosem. W owym czasie głosy te bywają zgola inne niż w innych porach roku — to zaś jest jedną z przyczyn, że wiosnę przezwano „dobą nową gwary“.

Ale owej wiosny, jak zwierzył się Bagheerze, coś mu się odmieniło na wewnątrz. Odkąd lodygi bambusu upstrzyły się w centki brunatne, Mowgli z utęsknieniem wyczekiwał poranka, który inne wonie rozniesie po kniei. Skoro jednak nadszedł ów poranek... a paw Mao^{*)}, mieniący się barwą złotą, brązową i błękitną, głośnym krzykiem obwieścił go po omglonych kniejach, Mowgli otwarł usta, by podać dalej okrzyk — słowa uwięzły mu w gardle i jakieś dziwne uczucie owładnęło nim całym od koniuszków nóg po koniuszki włosów. Czuł się bardzo, bardzo nieszczęśliwy, więc obejrzał dokładnie całe swe ciało, by przekonać się, czy nie wbił gdzie sobie jakiego ciernia. Mao ogłaszał wieść o nowych woniach, co szły w przestworzu. Podjęły ją inne ptaki i niosły dalej, a od skał nad Waingungą rozległo się miauczenie Bagheery — przypominające potrosze skwir orla i rzenie konia; w górze, wśród pączkujących gałęzi, słyhać było wrzaski i szamotanie się *bandarlogu*. Mowgli stał i stał, pragnąc z głębi wezbranej piersi odpowiedzieć na zew pawia Mao, — i nie mogąc się zdobyć na nic wię-

*) Czyt. Mò.

cej, jak na ciche westchnienie — gdyż dech mu zatamowało owo nagłe poczucie nieszczęścia.

Stał — i rozwierał oczy szeroko — ale widział jedynie szydereze twarze małpiąt, baraszkujących wśród drzew, oraz rozpostarty w pełni blasku ogon pawia Mao, pływający w wąwozie.

— Świeża woń nadciąga! — krzyknął paw. — Pomyślnych łowów, braciszku! Nie raczysz mi odpowiedzieć?

— Szczęśliwych łowów, mały bracie! — zaświstali razem orlik Chil ze swoją samicą, spadając na ziemię tak blisko, że otarli się pękiem puszystych białych skrzydeł o nos Mowglięgo.

Lekki deszczyk wiosenny, zwany deszczem słońca, przebiegł przez półmilowy skrawek puszczy, zrosił i rozkołysał świeżo rozwinięte liście i skonał, rozbity w dwa luki tęczy oraz stłumione warczenie grzmotu. Rozhovor wiosny wzmagal się na chwilę, to cichł znów; wszystko co żyło w kniei, dawało znać o sobie, przekrzykując się wzajem.

Wszystko — z wyjątkiem Mowglięgo.

— Cóż to mi się stało? — rozmyślał. — Wszak pożywialem się nieźle, nie brakło mi jadła i napoju! Gardło mi nie zaschło i nie skurczyło się, jak wtedy, gdym skosztował owego korzenia w sine kropki, który zdaniem żółwia Oo*) nie zawierał w sobie trucizny. Ale w dolku mnie coś ściska, a bez najmniejszej po temu przyczyny odezwałem

*) Czyt. U.

się bardzo niegrzecznie do Bagheery i do innych mieszkańców puszczy a moich ziomek. Na domiar złego robi mi się naprzemian zimno i gorąco... to znów ani zimno, ani gorąco, tylko coś mnie tak złości... sam nie wiem co! Hu-hu! Nadszedł czas biegów! Dziś nocą przebiegnę cały ostęp. Tak jest, urządzę wiosenny wyścig ku północnym żulawom i zpowrotem! Dość już długo, dość już długo wiodłem ladajakie łowy! Czwórka mych braci pójdzie za mną, bo tak obrosły sadłem, że wloką się powoli, jak pędraki!

Jął hukać po lesie — ale żaden z czterech wilczków nie dał mu odpowiedzi. Przebywały bowiem daleko, kędy już nie sięgało wołanie, i wmieszawszy się w tłum wilków, śpiewały pieśni wiosenne — pieśń księżycy i pieśń *sambhura* — albowiem o wiosnie zwierzęta puszczańskie niemal nie czynią różnicy między dniem i nocą.

Mowgli zaszczeakał donośnie, ale jedyną odpowiedzią było szydereze miauczenie centkowanego żbika, uwijającego się wśród gałęzi w poszukiwaniu gniazd ptasich. Oburzyło to Mowglię; drgnął gniewem i wysunął nóż z pochwy. Schował go jednakże zaraz, odął się, i choć nie mógł tu zwracać na siebie niczyjej uwagi, jednakże stąpał dumnie z miną srogą, ściągawszy brwi i zadarłszy w górę podbródek. Szedł i szedł po stoku góry — ale nikt go nie zagadnął po drodze, bo wszyscy byli nazbyt zajęci własnymi sprawami.

— Aha! — rzekł do siebie, choć w głębi serca czuł, że nie ma racji. — Niechno rude psy nad-

ciągną z Dekkanu lub czerwony kwiat pocznie hasać wśród bambusów... a już cała dżungla z płaczem przybiega do mnie o pomoc i obdarza mnie wielkimi, jak słonie, tytułami. Ale teraz że tam gdzieś zabłysło „oczko wiosny“, a Mao (wielkie mi rzeczy!) podkasał sobie nogi do jakiegoś tam wiosennego tańca, to już cała dżungla szaleje, niczem Tabaqui!... Na byka, który mnie wykupił! Czy jestem jeszcze panem dżungli, czy nie? Hej, uciszyć się tam! Cóż to was napadło?

Na ścieżkę wypadły naraz dwa młode wilczki, szukając dogodnego miejsca do stoczenia walki. (Zapewne pamiętacie, że prawo dżungli zabrania wilkom pojedynkować się wobec stada.) Sierśc na karku zjeżyła się im jak zgrzebło — i poczęły ujadać zaciekle, gotując się do skoku. Już miały rzucić się sobie do gardła, gdy Mowgli skoczył pośrodek, schwycił każdego z zapaśników jedną ręką za grdykę, spodziewając się, że roztrąci ich w dwie strony, jak to nieraz był czynił w czasie igrzysk lub wielkiej obławy. Tym razem jednak się przeliczył — boć nigdy dotąd nie miewał do czynienia z bójką wiosenną. Wilczki wyrwały się, obalily Mowglię na ziemię i nie tracąc ani słowa jęły w zwartym uścisku tarzać się po ziemi.

Mowgli zerwał się natychmiast z ziemi, błyskając brzeszczotem noża i wyszczerzonemi, białemi zębami. W chwili tej pragnął zabić obu zapaśników — ot, poprostu dlatego, że walczyli, gdy chciał ich uciszyć — jakkolwiek każdy wilk ma zupełne prawo walczyć wedle przepisów. Biegł

przeto dokola nich, podawszy się naprzód i wywijając nożem, gotów zadać cios obu naraz wilczkom, skoro ochłoną z pierwszej zamiętaności boju. Ale gdy czekał na sposobną chwilę, uczuł, że ciało mu słabnie, a ręka zbrojna nożem opada bezsilnie. Włożył więc nóż do pochwy i jął patrzeć przed siebie.

— Ani chybi, jestem otruty! — rzekł wkońcu. — Od czasu, gdy mocą czerwonego kwiatu rozpedziłem wiec wilków — od czasu, gdy zabiłem Shere Khana, żaden z wilków nie zwałił mnie z nóg... aż dopiero teraz dokazały tego dwa takie fryce, młokosy, łaziki wilczego stada! Odeszła ode mnie siła moja... umrę już chyba. Ach, Mowgli, Mowgli, czemu nie zabiłeś tych dwóch chłystków?

Bójka trwała jeszcze czas jakiś. Wkońcu jeden wilk uciekł, a drugi puścił się za nim w pogoń. Mowgli został sam. Usiadł na wytłamszonej i okrwawionej ziemi, spoglądając to na nóż, to na swoje nogi i ramiona, a rozgoryczenie, jakiego nigdy wpierw nie zaznawał, ogarnęło go całego, jak powódź zagarnia zwałony pień drzewny.

Do polowania wziął się jeszcze przed zmierzchem. Wieczerzał sam tylko, bo wszystko, co żyło w puszczy, wyruszyło gdzieś wdał, śpiewając i staczając bójki po drodze. Jadł zresztą niewiele, by nie utracić zwinności potrzebnej mu do wiosennego biegu. Noc była jasna, biała nocka, jak mawiają w puszczy. Wszędy zieleń rozwinęła się bujnie — a od rana tyle jej narosło, co kiedy-

indziej przez cały miesiąc. Gałązka, która jeszcze dnia poprzedniego była odziana żółklemi liśćmi, teraz gdy Mowgli ją ulamał, puściła sok obfity. Stopy tak mile grzęzły w ciepłym i głębokim mchu, świeżo porosła trawa nie miała kłujących naroży, a wszystkie głosy dżungli zgodnym akordem brzęczały niby jedna basowa struna jakowejś harfy czarnoksięskiej, trącana światłością księżycą — jasną księżycową pełnią Nowej Gwary, rozlewającą swe blaski po skalach i wodach, wkradającą się pomiędzy pnie i lodygi i przesiewającą się przez miljonową gęstwę liści. Pomimo wszelkich strapień, Mowgli rozśpiewał się pieśnią zachwytu, gdy ruszył na włóczęgę.

Nie włóczęga to raczej była, lecz lot, albowiem chłopak obrał sobie za kierunek drogi długie pochyłe zbocze, wiodące ku żuławom północnym skroś matecznika, którego prężne, miękkie ścielisko tłumilo wszelki odgłos kroków. Człowiek wychowany wśród ludzi, byłby się przedzierał z trudnością przez ten ostęp i nierazby się potknął lub poblądził w złudnej księżycowej poświatli; natomiast Mowgli, dzięki gibkości swych mięśni zaprawionych wieloletniem ćwiczeniem, mknął chyżo i lekko, niczem piórko. Gdy jakiś pień zmurszały lub ukryty kamień wymknął mu się z pod nogi, on nawet nie zwalniał kroku, ale bez najmniejszego wysiłku — bez myśli niemal — uchylał się od niebezpieczeństwa. Ilekroć znużył się stąpaniem po ziemi, czepiał się oburącz, jak małpa, grubych zwojów pnączy i raczej płynął

niż wspinał się hen ku najwyższym gałęziom, poczem wędrował sobie zielonemi gościńcami, póki mu to nie zbrzydło — a wówczas zjeżdżał zpowrotem na ziemię po długiej liściastej krzywiznie. Były tam ciche liściaste jamy, opasane wilgotnemi skałami, gdzie ledwie można oddychać wskutek ciężkiego zapachu nocnych kwiatów oraz rozwijającego się pąkowania. Były i ciemne aleje, gdzie światło miesięczne stało się pasmami, przypominającemi prążkowane marmury w nawie kościelnej. Były i gąszcze, których rosiste młode podszycie zakrywało go do piersi i jakby ramion mnóstwem przytrzymywało go w pasie. Były i wzgórki wieńczone złomem skalnym, gdzie przeskakiwał z kamienia na kamień ponad kryjówkami strwożonych lisiąt. Nieraz doleciało go zdala — ledwo dosłyszalne — zgrzytliwe szast-prast kłów dziecych, ostrzonych o pień drzewny; wnet zaś ukazywał się przed nim sam zwierz — knur odyniec, łyskający krwawemi ślepiami, a spienionym ryjem szarpiący w kawały zdartą z drzewa korę. Kiedyindziej Mowgli zbaczał z drogi, słysząc znany mu pochrzęst rogów i świszczące chrapanie — i przemykał się koło dwóch rozwścieczonych łosi, co chwiejnym krokiem szły wzajem na siebie, nachylając czoła rogate, obryzgane posoką, jakoby czarną na tle miesięcznego blasku. To znowu koło jakiegoś szemrzącego brodu słyszał ryczący — iście byczy głos krokodyła Dżakali; kiedyindziej zasię uwadził o kłębowisko żmij jadowitych — ale zanimby zdążyły

cios mu zadać, czmychał czempredzej przez zdziary błyszczących kamyków i zaszywał się w knieję.

Tak biegł, to hukając, to pośpiewując sobie — jakby był najszczęśliwszą w dżungli istotą — aż dotarł do miejsca, gdzie z woni kwiatów wy-miarkował, iż znajduje się w pobliżu oczarów — hen daleko poza krańcem znanego mu obszaru łowieckiego.

Tu znów człek, po ludzku wychowany, jużby się zapadł po czuprynę, uszedłszy ledwie parę kroków. Wszelakoż Mowgli miał oczy nietylko w głowie, ale i w nogach, więc dzięki nim skakał i dyrdał od krzaczka do krzaczka po listeczku, z kępki na kępkę po kamyczku, nie wytrzeszczając swych źrenic po próżnicy. Zapuścił się na sam środek oczaru, wyplaszając po drodze stada dzikich kaczek — aż wkońcu, zmęczony biegiem, przysiadł na omszałej kłodzie, sterczącej z czarnego rozlewiska. Wszędy wokół przebudziły się mokradła, bo na wiosnę ptactwo ma sen nader lekki; całe chmary skrzydlate latały przez noc całą to w jedną, to w drugą stronę. Atoli nikt nie zwrócił uwagi na Mowglię, który siedział wśród kępy wysokich trzcin i, nucąc pod nosem jakąś melodję nieokreśloną, oglądał ogorzale stopy, by z nich powyciągać niezauważone dotąd zadry i ciernie. Wszelkie smutki, wszelkie strapienia precz gdzieś odeszły od niego, jakby je pozostawił w rodzinnej kniei. Już miał rozpocząć pieśń jakąś — alic naraz powróciło doń poprzednie usposobienie — gorsze — dziesięćkroć gorsze,

niż przódy. Nadomiar złego księżyc zaczął właśnie chować się za skraj niebios.

Mowgli zatrwożył się.

— Więc ono jest i tutaj! — rzekł półgłosem. — Przyszło za mną!

Obejrzał się, chcąc sprawdzić, czy „Ono“ nie stoi poza nim.

— Ależ tu niema nikogo!...

W moczarach wciąż słyhać było nocne krzykania, gwary i swary, ale żaden ptak, żaden zwierz nie odezwał się doń głosem wyraźnym. Napływ smutku niedoli spotężniał w sercu Mowgliego.

— Tak, spożyłem truciznę — rzekł głosem zdławionym od lęku. — Nie inaczej! Wskutek nieostrożności zjadłem jakąś truciznę i odeszła ode mnie moc moja. Bałem się... a jednak nie jam się bał... Mowgli bał się, gdy dwa wilczki wiodły z sobą bójkę! Akela, ba, nawet Phao zmusiłby je bez trudności, by zamknęły jadaczkę... ale Mowgli się bał. To dowód oczywisty, że spożyłem truciznę... Ale cóż to oni tam wyrabiają w dżungli?! Śpiewają, wyją, biją się i biegają gromadkami w świetle księżycy, a ja... *hai-mai!*... ja tu ginę wśród bagnisk... otruty spożyta niebacznie trucizną!

Rozzalił się swą dolą i był bliski płaczu.

— A wkrótce — mówił dalej — znajdą mnie tutaj nieżywego... unurzanego w czarnej wodzie. O nie! Wolej powrócę do rodzinnej kniei i skonam na Skale Narady... a kto wie... może

Bagheera, którą tak ukochałem... może Bagheera... o ile nie miłsze jej są miaukoty w dolinie... zechce przez czas pewien strzec mych szczątków, by Chil nie postąpił ze mną tak, jak z Akelą.

Wielka, ciepła łza spłynęła z oka i rozprysnęła się na kolanie. Pomimo całego strapienia Mowgli (rzecz do pojęcia trudna) czuł się nader szczęśliwym właśnie dlatego, że się trapił.

— Jak orlik Chil postąpił z Akelą w ową noc, gdy ocalił stado przed hordą psów rudych...

Uspokoił się nieco, rozważając ostatnie słowa Wilka-Samotnika, które niewątpliwie macie w pamięci.

— Ej, nabajał-ci mi Akela wiele niestworzonych rzeczy, zanim skonał, bo gdy ktoś umiera, to zawdy umie się żołądkować... jakoś na inny sposób. Mówił... Ale wszystko furda! Ja i tak należę do dżungli!

Wspomnienie bitwy nad brzegami Waingungi tak go podnieciło, iż ostatnie słowa wykrzyknął na całe gardło, przeraźliwie.

Jakaś bawolica, wylegująca się wśród oczerętów, zerwała się na nogi i wykrztusiła z siebie jęk trwogi:

— Człowiek!

— My-y-ylisz się! — zaryczał dziki bawół Mysa, obracając się z chlupotem i chrzęstem w swem legowisku. — To nie człowiek! To ino nieowłosiony wilk z gromady seeonejskiej.

W takie noce, jak dzisiejsza, on zawdy biega sobie tędy-owędy.

— Mo-o-іście-wy-y! — odryczala krowa, pochylając znowu łeb nad paszą. — A ja se my-y-yślałam, że to jakisi człek nieznamomy-y-y!

— Mó-ó-wię ci, że nie. Ach, mó-ój Mowgli! czy komu-u-u grozi niebezpieczeństwo? — jął go przedrzeźniać chłopak. — Ten Mysa nie umie myśleć o niczem innem, jak tylko o tem, czy zagraża mu niebezpieczeństwo. Ale czemu wtrącać się do spraw Mowgliego, który chodzi tędy-owędy po dżungli, nie śpiąc nocą?

— Cóż on tak krzyczy głośno? — zapytała krowa.

— Zawdy tak krzykają ci, którzy, wydarłszy z ziemi kępę trawy, nie wiedzą, jak ją zeżreć — odrzekł Mysa ze wzgardą.

— Ej, gdyby to było w zeszlą porę deszczową — jęknął Mowgli, — to za mniejszą, daleko mniejszą zniewagę wydzgałbym Mysę z legowiska i pojeździłbym na nim przez bagniska, zarzuciwszy mu na szyję powróż z sitowia!

Wyciągnął rękę, by ułamać badyl strzępiastej trzciny, ale natychmiast cofnął ją z westchnieniem. Mysa nawet się nie poruszył, ale najspokojniej w świecie przeżuwał zjedzony pokarm, a krowa pasła się niefrasobliwie, rwąc pęki bujnej trawy.

— O, nie myślę tutaj umierać — zachnął się Mowgli. — Mysa, który jest spokrewniony z dziką świnią i Dżakalą, urągalby mi napewno. Wyjde

za obręb bagniska, a wtedy zobaczę, co mnie czeka. Nigdy-ci jeszcze w życiu nie miał takich harców wiosennych... jednocześnie gorących i przejmujących zimnem. Wstawajże, Mowgli!

Opanowała go nicodparta pokusa, by podkraść się przez zarośla do Mysy i ukuć go końcem noża. Byczysko, ociekając wodą i bryzgając błotem, wypadło z kałuży jak bomba. Widok był tak zabawny, że Mowgli ze śmiechu aż przysiadł na ziemi.

— Opowiedz-że wszystkim, ty hyku, że bezwłosy wilk z gromady seeonejskiej pognał cię raz, aż miło! — huknął za nim.

— Co? Wilk? Mo-o-że to ty jesteś tym wilkiem? Ha! ha! — fuknął Mysa, wierzgając racicami w błocie. — Dyć cała puszcza wie, że byłeś pastuchem domowego bydła... jednym z tych ludzkich bachorów, co bawią się w piasku, wzniecają kurz i robią ciągly harmider tam koło lanów zboża... Ty tu nam będziesz mydlkował, że urodziłeś się w puszczy?! Czyż prawdziwy my-y-śliwiec przemykałby się tak pokryjomu-u-u, jak wąż wśród pijawek, by dla głupich żartów... godnych szakala... ośmieszać mnie w oczach mej krowy? Chodź-no na ubitą ziemię, smy-y-ku jeden, a ja... ja ci pokażę!

Nie dokończył, bo już mu się pysk cały pokrył pianą. Mysa należał do najbardziej gniewliwych stworzeń w całej dżungli.

Mowgli utkwil w nim nieruchomo oczy, nie sobie nie robiąc z jego fumów i dąsów. Gdy

zdołał już zapanować głosem ponad mlaskliwą chlapaniną błotnych rozbryzgów, zapytał:

— Czy w pobliżu tych trzęsawisk jest jakie ludzkie osiedle, mój Myso? Ta połać kniei jest mi nieznana.

— Idź-że sobie na północ! — ryknął byk rozjuszony, bo Mowgli kolnął go nożem dość dotkliwie. — Tylko chamy ostatnie, gołe pastuchy-obdartusy zdobyć się mogą na tak głupie żarty! Idź-że sobie do nich, do osady poniżej trzęsawisk, i opowiedz wszystkim, jakiś ty zmy-y-ślny!

— Ludzie nie lubią leśnych opowieści, a przyszem wydaje mi się, Myso, że jedna bliźna więcej czy mniej nie zaszkodzi zbyt twojej grubaśnej skórze. Ale niema co, pójdę przyjrzeć się tej wiosce. Tak jest! Pójdę! A teraz, Myso, uspokój się! Wolnego! Nie w każdą noc spotka się to szczęście, by sam władca kniei miał być twym poganiaczem!

Pobrnął grząskim szlakiem, wiodącym ku brzegowi trzęsawiska, wiedząc doskonale, że Myso nie poważy się natrzeć w tym kierunku. Biegając, śmiał się do rozpuku na samą myśl o wściekłości byka.

— Niecałkiem jeszcze odeszła mnie siła — mówił sobie w duchu. — Być może, że trucizna nie weszła mi w kości... Tam wdole... niziusko... migoce sobie jakaś gwiazdka...

Złożył ręce i przez ich szczelinę jął przyglądać się onemu światelku.

— Na wołu, który był okupem za mnie! Toż to Czerwone Kwiecie... to Czerwone Kwiecie, przy którym spoczywałem... zanim... zanim... przystałem po raz pierwszy do gromady seeonejskiej! Skorom je obaczył, to już ukończę mą gonitwę!

Mokradła przeszły w wielką, rozległą równię. Stamtąd to mrugało doń owo światełko. Jakkolwiek Mowgliemu oddawna wszystkie ludzkie sprawy stały się najzupełniej obojętne, to jednak w tę noc blask Czerwonego Kwiecia wabił go ku sobie i nęcił, niby jakaś nowa, nieoczekiwana zdobycz myśliwska.

— Przyjrzę się im jeno — mówił sobie — i przekonam się, czy wiele się zmieniło w ludzkiej gromadzie od czasu, gdym ją opuścił.

Zapomniawszy, że nie znajduje się już w ojczyźnej kniei, gdzie wolno mu było robić, co mu się żywnie podobało, biegł niechętnie przez obciążone rosą trawiaste łąny, póki nie dobiegł do chaty, skąd biło światło. Rozległo się naszczekiwanie trzech czy czterech psów podwórzowych. Widocznie znalazł się na skraju jakowejś ludzkiej osady.

Mowgli zmusił do milczenia kundysy, odpowiadając na ich psie głosy prawdziwym wilczym wyciem, ponurem i złowrogiem.

— Ho-o! — rzekł do siebie, siadając zwolna na ziemi. — Co będzie, to będzie. Mowgli, Mowgli! Cóż to ciebie znów pociągnęło ku siedliskom ludzkiej gromady?

Przetarł usta, szukając znaku owego kamienia.

który go zranił był dawno, dawno temu — wówczas, gdy ludzka gromada — nie ta, lecz inna — chciała go się pozbyć, precz go odegnąć...

Rozwarły się dźwierza chaty — i stanęła w nich jakaś kobieta, usiłując przebić wzrokiem ciemność. Z izby doleciał nagły płacz dziecięcy. Kobieta odwróciła się w tamtą stronę i rzekła:

— Luli, luli, dziecineczko. To jakisik szakał pewnikiem pobudził nam psiska! Rychło dzionek już zaświta.

Mowgli, przysłonięty trawą, zaczął trząść się jak w febrze... O jakże dobrze... o jakże dobrze znał ten głos!... Żeby jednak się upewnić, zawołał wabnie i tkliwie, sam nie wiedząc, kiedy mu się przypomniały nagle ludzkie słowa:

— Messuo!... Ach, Messuo!...

— Kto mnie woła? — spytała kobieta, ale jakieś wzruszenie zadrgało w jej głosie.

— Czy zapomniałaś? — odkrzyknął Mowgli, a w gardle czuł spiekę nieznośną.

— Jeśli to ty jesteś, to powiedz... o powiedz: jakie nadałam ci miano?

Przymknęła drzwi do połowy, a rękę złożyła kurczowo na piersi.

— Nathoo! Ohē Nathoo! — odpowiedział Mowgli, bo (jak sobie przypominacie) takie imię nadała mu Messua, gdy po raz pierwszy zawitał do ludzkiej gromady.

— Chodzi-no, chodzi-no, synusiu! — wezwwała go ku sobie.

Mowgli postąpił ku światłu i przyjrzał się Messui — tej kobiecie, która była dlań tak dobra i którą ocalił był z rąk ludzkiej hasty.

Postarzala się i włosy miała już siwe, ale głos jej i oczy pozostały te same co dawniej. Wzniosła teraz te oczy w górę, wodząc niemi w zdumieniu i zakłopotaniu po barczystej postaci przybyłego, od rozrosłej piersi aż do głowy, co dotykała górnego węgara dzwierz. Messua wyobrażała sobie zawsze — iście po kobiecemu — że jeżeli będzie jej danem oglądać Mowglię, ujrzy go takim, jakim widziała niegdyś w chwili pożegnania.

— Mój synu! — wyjąkała potem z nowym jękiem i upadła mu do nóg. — Ależ to nie mój synaczek! Toć to jakowś bożek leśny! Ohej!

Gdy tak stał w jaskrawem świetle kaganka, wysoki, krzepki i urodziwy, przystrojony jeno grzywą czarnych włosów, spływających mu na barki, migotliwym brzeszczotem, wiszącym mu u szyi, oraz wieńcem jaśminowym, zdobiącym mu głowę, mógł być snadnie wzięty za jakieś dzikie półbożę, o jakich mówią leśne legendy. Dziecko, leżące na tapczanie, zerwało się w półśnie i jęło płakać ze strachu. Messua odwróciła się, by je utulić. Mowgli wciąż stał nieporuszenie i cicho, przyglądając się stągwiom i garnkom, worom ze zbożem i innym sprzętom ludzkim, których wspomnienie odżyło w nim nagle tak wyraźnie.

— Chciałbys co zjeść albo wypić? — wybelkotała nieśmiało Messua. — Wszystko, co haw widzisz, jest twoje. Dyć my tobie zawdzięczamy

życie! Ale powiedz mi szczerze, prawdę wierutną: czyś ty jest ten, na którego wołała Nathoo... czy też może jakiś bożek?

— Jestem Nathoo — odparł Mowgli. — Odda-
liłem się bardzo od mych pieleszy. Ujrzałem
światło i zaszedłem tutaj, aż pod tę chalupę. Nie
wiedziałem, że ty tu mieszkasz.

— Kiej przyszliśwa do Kanhiwary — zaczęła
z lękiem opowiadać Messua, — Anglicy mieli
nam dać pomoc przeciw naszym wioskim sąsia-
dom, co to chcieli nas spalić. Czy pamiętasz, jak
to było?

— Juści, zem tego nie zapomniał.

— A kiej już to angielskie prawo było wy-
rychtowane, poszliśwa do onej wioski, kaj żyli
ci źli ludziska... Ale napróżnośmy tam szukali...
Znikła kędysi i ani śladu z niej nie ostało...

— I to sobie przypominam — odrzekł Mowgli,
a nozdrza jakoś rozdęły mu się dziwnie.

— Wówczas mój chłop wziął się do roboty...
Przynajął się za parobka, służywał w różnych miej-
scach, uprawiał rolę, aż wkońcu, że to mój chłop
był człek silny i nie ułomek, dorobiliśwa się
jakosik kawalka własnego gruntu. Nie taki to
dostatek, jaki był w dawnej naszej wiosce, ale
co ta wiele potrzeba... na nas dwoje!...

— Gdzież jest on... ten człowiek, co to grze-
bał w brudnej ziemi w ową noc pełną trwogi?

— Zmarło mu się... już przed rokiem...

— A ten? — zapytał Mowgli, wskazując na
dziecko.

— To mój synaczek... urodził się dwie wiosny temu... Jeżeli jesteś bożkiem, to go obdarz laską kniei, żeby był prześpieczny pośród twego... pośród twego ludu... jakieśmy byli prześpieczni za twoją sprawą w oną noc pełną strachu...

Mówiąc to, wzięła na ręce dziecko, które zapomniawszy lęku, pochyliło się naprzód, by pobawić się nożem, wiszącym na piersiach Mowglięgo. Mowgli przezornie chwycił go za rączkę, odsuwając drobne paluszki od tej niebezpiecznej zabawki.

— Jeżeli to ty jesteś Nathoo, którego mi porwały tygrysy — mówiła dalej Messua, łkając, — to on jest twoim młodszym braciszkiem. Dajże mu więc błogosławieństwo jako brat starszy.

— Hej-mej! Czy ja wiem, co to wy nazywacie błogosławieństwem? Nie jestem ani bożkiem, ani bratem tego malca... a przytem... O matko, matko!... jakże mi ciężko na sercu!...

— A juści! — westchnęła Messua, krzątając się wśród garnków. — Wszystko to poszło z tego, żeś se biegał w nocy po mokradłach. Ani chybi, to febryja wlaźła ci w kości!

Mowgli uśmiechnął się na samą myśl o tem, że cokolwiek w dżungli mogłoby mu zaszkodzić.

— Zara rozniecę ognisko, to się napijesz ciepłego mleka. Wyrzuc precz ten wianek jaśminowy, boć zaduch idzie od niego na całą izbę.

Mowgli usiadł, mruczając coś do siebie, i zakrył twarz dłońmi. Owładnęła nim cała nawała naj-

przeróżniejszych, dziwnych jakichś uczuć, nigdy dotąd niezaznanych. W głowie mu się męciło, zrobiło mu się jakoś słabo — jakby istotnie był otruty. Łapczywie wychlipał podane mu ciepłe mleko. Messua od czasu do czasu głaskała go po łopatkach, niezupełnie jeszcze upewniona, jest-li to jej rodzony syn Nathoo, od tylu lat niewidziany, czy też jakaś puszczańska zjawa-niejawa, boruta, leszy czy odmieniec. Ostatecznie uspokoiło ją i pocieszyło to, że stwierdziła w nim istotę namacalną, z krwi i kości.

— Synu! — odezwała się wkońcu, patrząc nań wzrokiem pełnym dumy. — Czy już ci kto powiedział, że jesteś piękniejszy nade wszystkich ludzi?

— Hę? — odmrugnał Mowgli półgębkiem, boć istotnie nie zdarzyło mu się nigdy posłyszeć czegoś podobnego. Messua zaśmiała się łagodnie i radośnie. Wyraz jej twarzy starczył za wszelką odpowiedź.

— Więc ja pierwsza ci to mówię? Niech-ta będzie... chocia rzadko się zdarza, by dopiero matka miała o tem mówić swemu synowi... Oj pięknyś ty, piekniński, mój synku! Jeszczem nikiej nie widziała chłopca tak urodziwego!

Mowgli napróżno kręcił głową, usiłując przyrzec się swym krzepkim, rozrośniętym łopatkom, do których odniósł całą powyższą pochwałę. Messua znów zaniósła się śmiechem tak głośnym i serdecznym, że Mowgli, sam nie wiedząc czemu, jął zaśmiewać się wraz z nią do rozpuku. Dziecko

krążyło biegiem pomiędzy nimi i również śmiało się, ile siły starczyło w gardziółku.

— O nie! Nie rób se drwinek ze starszego brata! — skarciła malca Messua, przyciskając go jednakże do piersi. — Jeżeli będziesz choć w polowie taki ładny jak on, to cię ożenimy z młodą, piękną królewną i będziesz se paradował na wielkich słoniach, na jakich jeżdżą królowie...

Z całej tej gadaniny Mowgli rozumiał ledwie piąte przez dziesiąte. Gorące mleko razem ze zmęczeniem po czterdziestogodzinnej uganiaczce zrobiło swoje. Rozciągnął się na ziemi — i już w chwilę później spał jak zabity. Messua odgarnęła mu od czoła czarne włosy, okryła go derką i czuła się nad wyraz szczęśliwa. Obyczajem dzungli chłopak przespał resztę nocy i cały dzień następny, gdyż czujny zawsze głos wewnętrzny napelnił go przeświadczeniem, że nie ma czego się lękać. Zbudził się wkońcu i skoczył z takim rozmachem, aż cała chata się zatrzęsała. Derka, zakrywszy mu część twarzy, tamowała mu oddech we śnie — i przeto trażyły go przez noc całą ciężkie sny o pułapkach i niewoli. Stał przeto, gotów do walki, z ręką na głowicy noża, ale mierzony jeszcze snem ciężkim, widniejącym w kątach błędnych oczu.

Messua zaśmiała się i postawiła przed nim wieczerzę. Złożyło się na nią jedynie kilka placków z praśnej mąki, upieczonych na dymiącym ogniu, odrobina ryżu i garstka kwaśnych owoców tamaryndy — wszelakoż można było

o tem jako-tako wytrzymać aż do czasu, gdy Mowgli zdecydował się wyruszyć na wieczorne lowy. Woń rosy wśród trzęsawisk obudziła w nim głód i niepokój. Rwał się do ukończenia wiosennego biegu — atoli dzieciak uparł się, że chce siedzieć w jego ramionach, a Messua uważała za rzecz konieczną uczesać i przyprowadzić do porządku bujną, czarną czuprynę swego Nathoo. Czesala go i czesała, śpiewając przytem niedorzeczne dziecięce piosenki, w których to nazywała Mowgliego swym synem, to znów prosiła go, by raczył jej malca obdarzyć częścią swej władzy nad knieją.

Drzwi chaty były zamknięte — atoli w pewnej chwili Mowgli posłyszał dobrze sobie znany głos i obaczył, iż Messua otwarła szeroko usta w wielkiem przerażeniu. Z pod drzwi wysunęło się wielkie szare łapsko — a tuż poza drzwiami rozległ się stłumiony i potulny skowyt, znamionujący niepokój i trwogę.

— Wynosić mi się stąd natychmiast... i warować pokornie! Nie chcieliście przyjść, gdym was wołał!... — przemówił Mowgli językiem puszczy, nie odwracając nawet głowy.

Wielka szara łapa znikła natychmiast.

— Nie... nie przyprowadzaj... z sobą... z sobą... swych... swych... podwładnych! — jękała się Messua. — Ja... ja... to jest my... żyliśwa w zgodzie z plemionami dżungli... zawdy ostawialiśwa je w spokoju...

— Toż właśnie chodzi o ten spokój — odpowiedział Mowgli, powstając. — Przypomnij sobie noc, spędzoną w drodze do Kanhiwary. Wówczas to całe gromady takich stworzeń szły przed tobą i za tobą... Ale widzę, że nawet na wiosnę plemiona puszczańskie nie tracą doszczętnie pamięci. Bywaj mi zdrowa, matko!

Messua z pokorą usunęła mu się z drogi — pewna już, że on naprawdę jest bóstwem leśnym. Ale gdy Mowgli dotknął drzwi, w niej naraz zbudziło się z nieprzemogoną siłą uczucie macierzyńskie. Zrzuciła mu ręce na szyję, tuliła, przygarniała.

— Wróć, wróć, synaczku! — szeptała. — Czyś ty syn mój, czy nie syn, ostań ze mną, bo ja cię miluję... Patrz, i on się też zasmucił...

Dziecko zaczęło płakać, widząc, że człowiek z błyszczącym nożem chce wyjść z chaty.

— O powróć tu jeszcze! — powtórzyła Messua. — Drzwi te dniem i nocą stoją otworem dla ciebie.

Grdyka Mowgliego poruszała się z trudem, jak gdyby przeżyły się w niej wszystkie mięśnie, a głos wydarł mu się z niej niemal przemocą.

— Przyjdę, przyjdę z pewnością! — zapewnił chłopak Messuę, poczem odepchnął głowę wilka, laszącego się pod progiem:

— Mam ja z tobą na pieńku, Mały Braciszku. Czemuście nie przybyli we czwórkę na moje wezwanie? Wołałem was przecie tak dawno!

— Tak dawno? Ależ to było w noc zeszłą! Ja... to jest my... śpiewaliśmy nowe pieśni wśród kniei, boć to przecie czas Nowej Gwary! Czyżes zapomniał?

— Owszem! owszem! — przypominam sobie.

— A ledwośmy odśpiewali pieśni — ciągnął Szary Brat poważnym głosem — poszedłem w trop za tobą. Prześcignąłem wszystkich, bom-ci mknął co sił w nogach. Ej, ej, Braciszku, ale cóżes ty zrobił najlepszego... iżeś jadł i spał z ludzkim plemieniem?

— Nigdyby do tego nie doszło, gdybyście przyszli na moje wezwanie — odrzekł Mowgli, przyspieszając biegu.

— A co teraz będzie? — zapytał Szary Brat.

Właśnie Mowgli miał odpowiedzieć, gdy na ścieżynce wiodącej z końca wsi, ukazała się jakaś dziewczyna w białej odzieży. Szary Brat zszedł jej z oczu natychmiast, a Mowgli schował się cicho w łan młodego, choć już bujnego zboża. Mógł nieomal tknąć ją ręką, gdy ciepłe, zielone łodygi zwarły się przed jego obliczem — i zniknął poza niemi nihy widmo. Dziewczyna krzyknęła, myśląc, że ujrzała ducha; — potem zaś westchnęła głęboko. Mowgli rozgarnął dłońmi zboże i przyglądał się jej, póki nie zeszła mu z oczu.

— Teraz ja nie wiem, co się ze mną dzieje — rzekł, westchnąwszy wzajemnie. — Och, czemuście nie przyszli, gdym was wołał?

— Przecież idziemy za tobą... idziemy za tobą — belkotał Szary Brat, liżąc piętę Mowgliemu. —

Idziemy za tobą zawsze, za wyjątkiem czasu Nowej Mowy.

— A poszlibyście ze mną do plemienia ludzkiego? — szepnął Mowgli.

— Czyż nie poszedłem za tobą w ową noc, gdy nasza dawna drużyna odepchnęła ciebie? Któż to obudził ciebie, śpiącego wśród sterty zboża?

— Tak, tak! Ale czy pójdziecie raz jeszcze?

— Czyż nie poszedłem za tobą w noc dzisiejszą?

— Tak... ale jeszcze raz... i jeszcze raz... i może raz drugi... i trzeci... Co, mój Szary Bracie?

Szary Brat milczał czas jakiś, potem warknął.

— Czarrrrna Panterrrra mówiła prrrrawdę!

— Cóż mówiła?

— Że człowiek wkońcu odejdzie do ludzi. Nasza matka Raksha powiadała...

— Tak samo mówił Akela w noc ową, gdyśmy się potykali z Rudemi Psami — mruknął Mowgli.

— To samo mówił i Kaa, który jest mędrzy od nas wszystkich.

— A co ty powiesz, Szary Bracie?

— Oni już raz cię wypędzili, lżąc plugaweni słowy. Rozcięli ci usta kanieniem. Wysłali Buldea, żeby cię zgladził. Chcieli wtrącić cię do Czerwonego Kwiecia. Ty, a nie ja, mówiłeś, że oni są źli i głupi. Ty, a nie ja (boć ja mam na głowie własne, plemienne sprawy), podbechtałeś przeciw nim całą dżunglę. Ty, a nie ja, ułożyłeś przeciw nim pieśń zjadliwszą, niż nasze pieśni o rudych psach.

— Pytam ciebie, co ty o tem sądzisz!

Rozmowę tę prowadzili, biegnąc. Szary Brat przez chwilę klusował w milczeniu, a potem jął między jednym skokiem a drugim rzucać takie oto słowa:

— Szczęnię ludzkie... władco kniei... synu Rakshy... mój bracie i towarzyszu legowiska... wiedz, że chociaż... na wiosnę... trochę ci czasem skrewię... to jednak... twój ślad jest moim śladem... twój barłog moim barłogiem... twój łów moim łowem... a twoja walka moją walką na śmierć i życie. Mówię to w imieniu mojem i trzech moich braci. Ale co ty zamierzasz powiedzieć dżungli?

— Mądrześ to przemyślał. Niema co zwlekać z łowami, gdy zdobycz już upatrzona. Pobiegnij naprzód i zwołaj wszystkich na Skalę Narady, a oznajmię im, co leży mi na sercu. Ale może nikt się nie zjawi... w porze Nowej Gwary napewno wszyscy o mnie już zapomnieli...

— A ty... czyś nie zapomniał niczego? — rzucił mu zapytanie Szary Brat, obejrzawszy się poza siebie, poczem pomknął wyteżonym cwałem. Mowgli podążył za nim, pogrążony w zadumie.

W innej porze roku wieść, rozniesiona przez Szarego Brata, poruszyłaby odrazu całą dżunglę i zwołałaby na jedno miejsce wszystkich jej mieszkańców, zjeżywszy im sierść na grzbietach. Teraz jednak wszyscy byli zajęci łowami, walką i śpiewaniem. Szary Brat biegł od jednego do drugiego, oznajmiając:

— Władca dżungli wraca do ludzi! Przybądźcie na Skalę Narady!

Ale szczęśliwe, rozhasane zwierzęta odpowiadały spokojnie:

— E, wróci, wróci podczas upałów letnich! Deszcze przypędzą go do naszych legowisk. Biegaj i śpiewaj wraz z nami, Mały Bracie!

— Ależ władca dżungli powraca do ludzi! — powtarzał z uporem Szary Brat.

— Eee!... owa!... — odpowiadano. — Czyż czas Nowej Gwary straci przez to dla nas swój urok?

To też gdy Mowgli z ciężkim sercem przybył poprzez dobrze znajome mu skały do miejsca, gdzie go przyjęto przed laty w poczet wilczej drużyny, znalazł tu jeno czwórkę przybranych swych braci-wilczków, niedźwiedzia Baloo, niemal ośleplego od starości, oraz ciężkiego, zimnokrwistego pytona Kaa, owiniętego wokół opuszczonego siedliska Akeli.

— A więc tutaj kończy się twój trop, człowieczku? — spytał Kaa, gdy Mowgli rzucił się na ziemię, zakrywając twarz dłońmi. — O tak, wypłacz się, wypłacz dowoli!... Ja i ty... wąż i człowiek... jesteśmy z jednej krwi!...

— Czemuż nie zginąłem pod pazurami rudyh psów? — jęczał chłopak. — Odeszła ode mnie siła, chociaż nie jestem otruty. Dniem i nocą słyszę podwójny chód na mym tropie. Gdy odwracam głowę, to wydaje mi się, jakby w tej chwili ktoś chował się przede mną. Wracam się i zaglą-

dam za drzewa, ale nie mogę go tam znaleźć. Wołam i nikt nie odpowiada, ale wydaje mi się, że ktoś nadsluchuje i wstrzymuje się z odpowiedzią. Kładę się, ale nie zaznaję spoczynku. Urządzam harce wiosenne, ale i one nie mogą mnie uciszyć. Kąpię się, ale kąpiel ta mnie nie chłodzi. Brzydzą się łowami, ale nie mam odwagi walczyć, gdy nie poluję. Czerwone Kwiecie jarzy się w mem ciele, kości moje stały się jako woda... i sam nie wiem, czego mi trzeba.

— Co tu gadać? — rzekł Baloo zwołna, zwracając łeb w stronę Mowglięgo. — Akela powiadał... tam nad rzeką... że Mowgli wygna Mowglięgo zpowrotem do ludzkiej gromady. Ja to też mówiłem... ale kto teraz słucha starego Baloo? Bagheera (gdzież ona się wałęsa w noc dzisiejszą?) również wie o tem. Takie jest prawo.

— I ja też-ż wiedziałem o tem, człowieczku, gdyś-ś-śmy się s-spotkali przy Chłodnych Legowiskach — rzekł Kaa, rozkręcając nieco swe potężne sploty. — Człowiek musi wkońcu wrócić do ludzi, chociażby puszcza wcale go nie wypędzała.

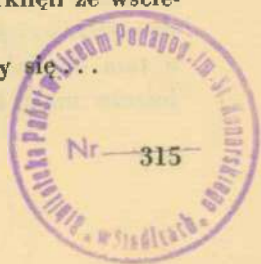
Czwórka wilcząt poglądała to wzajem na siebie, to na Mowglięgo, zmieszana i potulna jednocześnie.

— A więc dżungla mnie nie odpędza od siebie? — wyjąkał Mowgli.

Szary Brat i trzech jego bracia warknęli ze wściekłością i już zaczęli:

— Póki żyjemy, nikt nie odważy się...

Ale Baloo im przerwał, mówiąc:



— Ja uczyłem cię prawa, więc mnie teraz głos się należy... bo choć nie widzę nawet tych skał przed sobą, to jednak wzrok mój daleko sięga. Żabuchno moja, idź teraz własnym tropem... załóż sobie legowisko wśród własnych krewniaków, własnego plemienia i drużyny... Ale jeżeli będzie ci potrzeba bądź naszych nóg, bądź zębów, bądź oczu, bądź szybkiego przeniesienia wieści nocą... pamiętaj, władco kniei, że dżungla służy ci na każde zawołanie!

— To samo tyczy się i Średniej Dżungli — dodał Kaa. — A przemawiam w imieniu dość znacznego plemienia...

— *Hej-mej, bracia moi!* — zawołał Mowgli, wznosząc wśród głośnego szlochania ręce w górę. — Nie chcę odchodzić, ale coś mnie ciągnie za obie nogi... Jakże rozstanę się z wami w nocie tak szczęsne?

— O nie, Braciszku! Głowa do góry! — jął powtarzać Baloo. — Nie przynoszą wstydu takie łowy. Wyjadłszy wszystek miód, pozostawiamy przecie barć pustą.

— Zrzuciwszy skórę, nie możemy w nią wleźć zpowrotem. Tak głosi prawo.

— Sluchaj, o najulubieńszy! — mrucał Baloo — Niczyje słowo, niczyja wola nie zdoła cię powstrzymać! Głowa do góry! Zastanów się tylko... kto będzie się dopytywał o władcę dżungli?... Ja widziałem, jak bawiłeś się... o tam opodal... białymi kamykami, gdy byłeś jeszcze małą żabką... Widziałem cię takim...

ja i pantera Bagheera, która wykupiła cię za cenę świeżo ubitego byczka. Z czasu owych wilczych oględzin pozostaliśmy jeno my dwaj, bo twoja przybrana matka Raksha pomarła wraz z twoim ojcem. Dawna gromada wilcza też powymierała różnemi czasy. Wiesz sam, co się stało z Shere Khanem! Akela poległ wśród dholów, gdzie wyginęłaby również i druga drużyna seeonejska, gdybyś jej nie uratował swą przebiegłością i siłą. Nic już się nie ostało, jeno stare gnaciska. Ty zaś nie jesteś szczenięciem, co rozstaje się ze swą gromadą; jesteś władcą kniei, który obrał sobie nowy trop. Kto będzie stawiał człowiekowi zawady w jego drogach?

— Ależ co powie Bagheera . . . i ten byk, co był za mnie wykupem?! . . . — zatroskał się Mowgli. — Nie chcę . . .

Słowa jego przerwał nagły ryk i chrzęst w zaroślach . . . Pod skałą ukazała się Bagheera, zwinna, mocna i straszliwa, jak zawsze.

— Oto powód, dla którego nie przybyłam wcześniej! — odezwała się pantera, wyciągając prawą łapę, z której sączyła się świeża krew. — Połowanie trwało długo . . . ale powiodło się nakoniec . . . i oto w zaroślach leży zabity dwuletni byczek . . . ten właśnie byk, który zwalnia cię od zobowiązań! Wszystkie długi zostały splacone! Co się zaś tyczy innych spraw, to przyłączam się do głosu Baloo!

I polizala stopę Mowglięgo.

— Pamiętaj, że Bagheera kochała cię zawsze!
— wykrzyknęła wkońcu i oddaliła się w podskokach. U podnóża góry zatrzymała się i jęła wołać znowu, przeciągle i donośnie:

— Szczęśliwych łowów na nowym szlaku, władco dżungli! Pamiętaj, że Bagheera kochała cię zawsze!

— Słyszałeś?... — rzekł Baloo. — Już się skończyło! Czas ci odejść... ale wpieryw podejdz ku mnie!... O mała, mądra żabuniu, podejdz ku mnie na chwilę!

— Trudno i ciężko jest zrzucić s-s-skórę! — zauważył Kaa, gdy Mowgli zanosił się rzewnym płaczem, tuląc głowę do boku ośleplego niedźwiedzia i obejmując mu rękami szyję, a Baloo z trudnością usitował lizać jego stopy.

— Gwiazdy już bledną — ozwał się Szary Brat, wciągając w siebie dech poranku. — Gdzież urządzimy dziś dzienne legowisko?... Od dziś przecie będziemy chodzili innym tropem!

— — — — —
Na tem się kończy ostatnia opowieść o Mowglim.

PIEŚN POŻEGNANIA

Taką to pieśń słyszał Mowgli poza sobą
w dżungli, gdy zdązał ku chacie Messui.

BALOO.

Przez wzgląd na tego, co od lat wczesnych
wiódl ciebie drogą mądrych praw leśnych, —
przez wzgląd na twego starego Baloo —
słuchaj praw ludzkich, drogi synalu! . . .
Czyć one pachną, czy może cuchną,
słuchaj praw ludzkich, mądra Żabuchno!
I dniem i nocą bądź na ich tropie
i nie schodź z drogi, o miłe Chłopię!
Przez wzgląd na ślepeca, który cię zowie
oczu swych światłem, swem oczkiem w głowie — —
gdy brać ci twoja da się we znaki,
mawiaj: „To wyje szakal Tabaqui!“
a gdy brać twoja cię napastuje,
mawiaj: „Shere Khana wnet upoluję!“
Gdy klingę noża dobyto srogą,
trzymaj się prawa — i idź swą drogą.
*Niech miód, korzonki, drzewa, jagody
chronią cię, Szczenie, od krzywd i szkody.
Niech wiatr i woda i laska kniej
zawsze się jawią na drodze twej!*

KAA.

Z gniewu, jak z jajka, s-s-strachy się lęgną.
Oczy bez powiek — wszędy dosięgną!

Zginiesz, gdy jadę wąż-kobra bryźnie;
 lecz s-s-słowa kobry — równe truciznie...
 Oznaką siły jest mowa szczerza:
 a grzeczna mowa siłę tę ws-s-spiera.
 Więc wszelkie dąs-s-sy miej na uwięzi —
 a po s-s-spróchniałej nie łaż gałęzi!
 Nim połkniesz kozła, zmierz go oczyma —
 bo nuż on w gardle ci się zatrzyma?
 A gdyś-ś już s-s-syty, ś-ś-pijże nieboże,
 ale w us-s-stronnej i s-s-skrzytej norze,
 by jakiś-ś-ś s-s-smarkacz — lub gad plugawy —
 nie przywiódł na cię zdradnej oblawy!
 Myj częs-s-sto s-s-kórę, by była ś-ś-śliska,
 a nie rozwieraj daremnie pys-s-ska!
*Obyś miał zawsze w dniach swej wędrówki
 bezpieczne jamy, s-s-skalne kryjówki!
 Niech wiatr i woda i laska kniej
 zawsze się jawią na ścieżce twej!*

BAGHEERA.

W klatce się moje zaczęło życie,
 więc ludzkie sprawy znam wyśmienie.
 Na ową kratę, którą naścieżaj
 wyrwałam! ludziom ty niedowierzaj!...
 Gdy skrzy się rosa, w gwiazd świetle bladym,
 nędznego żbika nie chadzaj śladem.
 W stadzie czy w radzie, w lowach czy leżach,
 z człkiem-szakalem nie bądź w przymierzach!
 Gdy ci się lasić zacznie ten rakarz,
 ty mu natychmiast milczenie nakaż!

Każ mu też milczeć, gdyć będzie judził,
byś krwią słabszego ręce swe brudził.
Niech się kiep-bandar zręcznością chelpi —
ty nie naśladowaj próżności małpic!
W ciszy podążaj myśliwskim szlakiem,
nie daj się zmylić krzykiem ni znakiem!
*Niechaj ci służą Stróże Zwierzyny:
szare mgły ranne i rozbrzask siny!
Niech wiatr i woda i laska kniej
jawią się zawsze na drodze twej!*

WSZYSCY TROJE.

Na tej rozstajnej drodze ostatniej,
która cię wiedzie do strasznej matni,
tam kędy Krwawy Kwiat się szkarlatni, —

w noc, gdy oczu sen ci nie sklei,
bo będziesz płakał, próżen nadziei,
słyszac nęcące odgłosy kniei, —

w ranki, gdy będziesz z marzeń się budzić,
ażeby ciężką pracą się trudzić,
tęsknem wspomnieniem puszczy się łudzić, —

*niech wiatr i woda i laska kniej
zawsze się jawią na drodze twej!*

Poz. ks. inw. 1500



BIBLIOTEKA
Państw. Gimnazjum i Liceum Pedagog.
w Siedlcach
Dział..... Inwentarza Nr.....

№829/III



SPIS RZECZY

	Str.
Skąd wziął się Strach	1
Prawo dżungli	31
Cud Puruna Bhagata	35
Pieśń Kabira	61
Najazd dżungli	62
Pieśń Mowgliego zlorzcząca ludziom	110
Grabarze	112
Pieśń fali	153
Ankus królewski	154
Pieśń młodego myśliwca	188
Quiquern	190
Pieśń powracających z łowów	232
Rude psy	234
Pieśń Chila	280
Harce wiosenne	281
Pieśń pożegnania	319



WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA
W POZNANIU.

Biblioteka Laureatów Nobla.

Ukazały się do lata 1934 następujące tomy:

		T.
JACINTO BENAVENTE	<i>Zle kochana</i>	36
BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON	<i>Synnöwe Solbaken</i>	4
	<i>Tomasz Rendalen</i>	24
GRAZIA DELEDDA	<i>Tęsknoty</i>	62
	<i>Annalena Bilcini</i>	66
RODOLF EUCKEN	<i>Wielcy Myśliciele t. I.</i>	39
	„ „ t. II.	40
ANATOL FRANCE	<i>Poglądy Ks. Hieronima</i>	8
KAROL GJELLERUP	<i>Dojrzały do życia</i>	20
	<i>Gdym po raz pierwszy</i>	42
	<i>Pielgrzym Kamanita</i>	14
	<i>Wędrowcy świata</i>	23
	<i>Młyn na wzgórzu</i>	47
KNUT HAMSUN	<i>Błogosławieństwo ziemi</i>	12
	<i>Głód</i>	21
	<i>Kobiety u studni</i>	35
	<i>Ostatni rozdział t. I.</i>	53
	„ „ t. II.	54
	<i>Misterja</i>	59
	<i>Włóczęgi</i>	67
	<i>Pan — Wiktorja — Marzyciele</i>	73
	<i>August Powsinoga</i>	76
GERHARD HAUPTMANN	<i>Głupiec</i>	31
	<i>Wyspa Wielkiej Matki</i>	70
VERNER v. HEIDENSTAM	<i>Hans Alienus</i>	26
PAWEŁ HEYSE	<i>L'Arrabiata</i>	18
	<i>Wesele na Kapri</i>	28
	<i>Kicopatra</i>	55
RUDYARD KIPLING	<i>Księga dżungli</i>	5
	<i>Druga księga dżungli</i>	15
	<i>Stalky i spółka</i>	19
	<i>Kim</i>	46
	<i>Światło, które zagasło</i>	61
	<i>Gawędy z pod Himalajów</i>	69

		T.
RUDYARD KIPLING	<i>Kapitanowie zuchy</i>	71
SELMA LAGERLÖF	<i>Gösta Berling</i>	29
	<i>Tętniące serce</i>	7
	<i>Maja Liza</i>	38
	<i>Anna Swärd</i>	68
	<i>Charlota Loewenskoeld</i>	52
	<i>Pierścień generała</i>	75
TOMASZ MANN	<i>Pan i pies</i>	77
MAURYCY MAETERLINCK	<i>Życie pszczół</i>	3
	<i>Inteligencja kwiatów</i>	13
	<i>Wielka tajemnica</i>	17
	<i>Gość nieznany</i>	32
	<i>Mądrość i przeznaczenie</i>	34
	<i>Skarb ubogich</i>	45
	<i>Życie termitów</i>	49
	<i>Śmierć</i>	57
	<i>Życie przestrzeni</i>	65
	<i>Ścieżkami wzwyż</i>	72
	<i>Życie mrówek</i>	74
HENRYK PONTOPPIDAN	<i>Djabel domowego ogniska</i>	11
	<i>Ziemia obiecana</i>	22
	<i>W czepku urodzony t. I.</i>	63
	" " t. II.	64
WŁADYSŁAW REYMONT	<i>Pęknięty dzwon</i>	30
ROMAIN ROLLAND	<i>Colas Breugnon</i>	1
	<i>Jan Krzysztof t. I.</i>	37
	" " t. II.	44
	" " t. III.	48
	" " t. IV.	50
	<i>Dusza czarar. I. Anetka</i>	25
	" " II. Lato	27
	" " III. Matka i syn	56
BERNARD SHAW	<i>Miłość wśród artystów</i>	60
KAROL SPITTELER	<i>Imago</i>	10
	<i>Konrad porucznik</i>	33
RABINDRANATH TAGORE	<i>Opowiadania</i>	2
	<i>Rozbicie</i>	6
	<i>Sadhana — Szept duszy</i>	9
	<i>Wspomnienia</i>	16

RABINDRANATH TAGORE	<i>Gora</i>	T. 43
	<i>Dom i świat</i>	51
	<i>Zerwane pęta</i>	58
W. BUTLER YEATS	<i>Opowiadania o Hanrahanie</i>	
	<i>Rudym</i>	41

Dalsze tomy w przygotowaniu.

